Żołnierze wyklęci
Sensacyjny wywiad z bohaterem wojny z komuną

Czerwony Holokaust
Czy Stalin planował wymordować Żydów?

Pierwsi polscy komandosi
Szalone akcje dywersyjne powstania śląskiego

NR 3(85)/2020 MARZEC 2020

CENA 8,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

DO RZECZY
MIESIĘCZNIK LISICKIEGO

Mroczne sekrety służb

WOJNA SZPIEGÓW PRL

DO RZECZY HISTORIA
Nr indeksu 296 031
ISSN 2299-9515
9 772299 951509 03

HONOROWY PATRONAT

Ministerstwo Zdrowia

AGENCJA BADAŃ MEDYCZNYCH

WIZJONERZY
ZDROWIA 2020

24 marca 2020 r. Warszawa

KONFERENCJA
„PRZYSZŁOŚĆ OCHRONY ZDROWIA W POLSCE 2020–2023"

GALA WRĘCZENIA NAGRÓD
„WIZJONERZY ZDROWIA 2020"

Laureatami nagrody są wybitne osobowości świata medycyny oraz systemu ochrony zdrowia, ludzie, którzy zmieniają polską medycynę i opiekę nad pacjentami.

INFORMACJE I ZGŁOSZENIA DO NAGRODY NA:
dorzeczy.pl/wizjonerzy-zdrowia

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

ORGANIZATOR

DO RZECZY

PARTNERZY MERYTORYCZNI

Polskie Towarzystwo Diabetologiczne

FUNDACJA OnkoCafe RAZEM LEPIEJ

Polska Koalicja Pacjentów Onkologicznych

FUNDACJA CARITA

POLSKIE STOWARZYSZENIE DIABETYKÓW

ALIVIA

Federacja Pacjentów Polskich

eprasa.pl feb53ef4b7

HISTORIA DO RZECZY

ADRES: HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.SUPERHISTORIA.PL
PROWADZĄCY: Marcin Bartnicki

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM:
Redaktorzy: **Maciej Rosalak, Tomasz Stańczyk, Piotr Włoczyk**
Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska**
Okładka: **Krzysztof Wyrzykowski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Blanka Aleksowska, Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także SuperExpress), **Marek Budzisz**

WYDAWCA:
Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA: **Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska**
Zarząd spółki Orle Pióro: **Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY:
reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż),
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515
Nr indeksu 296031

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów.
Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Worochta, luty 1938 r.

Pomnik marszałka Józefa Piłsudskiego wykonany ze śniegu

FOT. NAC

Od redaktora

Piotr Zychowicz

Szpiedzy, Żydzi i Putin

Trwająca przez blisko pół wieku zimna wojna nie przeistoczyła się w wojnę gorącą. Nie doszło do totalnego militarnego zderzenia między Stanami Zjednoczonymi i ich sojusznikami z jednej strony a Związkiem Sowieckim i uciemiężonymi przez niego państwami z drugiej. Co pewien czas dochodziło jedynie do mniejszych lub większych wojen toczonych na pobocznych, zamorskich frontach. W Korei, Wietnamie czy Afganistanie.

Przez cały ten czas – począwszy od roku 1945, na roku 1991 skończywszy – obie strony toczyły jednak zaciętą wojnę na cichym froncie. Wojna ta rozegrała się między zachodnimi i sowieckimi służbami wywiadowczymi. Spopularyzowana przez szpiegowskie filmy z agentem 007 w roli głównej, rywalizacja tajnych służb USA, Wielkiej Brytanii, Francji i Związku Sowieckiego rozpalała wyobraźnię społeczeństw. I sądząc po niegasnącej popularności takich produkcji – rozpala do dziś.

Na świecie mało znane jest jednak to, że również wywiad PRL miał w tej batalii swój udział. Służby komunistycznej Polski również starały się infiltrować państwa bloku zachodniego. Wysyłały na ich teren szpiegów – m.in. nielegałów – i pozyskiwały agentów. I odwrotnie, służby zachodnie prowadziły swoją działalność na terenie PRL.

W efekcie doszło do wielu spektakularnych afer szpiegowskich. Zabójstw, zamachów, wzajemnego demaskowania agentów i wsyp. Brawurowych ucieczek i wykradania tajnych informacji. Wiele z tych afer mogłoby stanowić kanwę sensacyjnej powieści szpiegowskiej lub filmu. A na razie stały się tematem okładkowym nowej „Historii Do Rzeczy".

W numerze znalazły się również teksty będące odpowiedzią na oskarżenia, które Władimir Putin wysunął wobec Polski. Według rosyjskiego prezydenta Polska była krajem, który straszliwie prześladował Żydów. Dobroczyńcą Żydów był zaś Związek Sowiecki. Jak było w rzeczywistości – piszemy na naszych łamach.

Doktor Marek Gałęzowski opisał sprawę Henryka Ehrlicha i Wiktora Altera – dwóch wybitnych przywódców żydowskich z Polski – którzy w 1941 r. zostali uprowadzeni i zamordowani przez NKWD. Z kolei prof. Mikołaj Iwanow przedstawia historię „spisku lekarzy kremlowskich", czyli sowieckiej prowokacji, której celem była masowa czystka Żydów. Zdecydowanie, poruszając sprawy żydowskie, prezydent Putin wkroczył na cienki lód. ©℗

eprasa.pl feb53ef4b7

/ TEMAT NUMERU

.6 PATRYK PLESKOT
Kaczmarek: szpieg sobowtór

.10 PIOTR ZYCHOWICZ
Zabójstwo czerwonego zdrajcy

.14 WITOLD BAGIEŃSKI
Tajemnice nielegałów

.18 SŁAWOMIR KOPER
Wpadka francuskiego szpiega w PRL

/ CZASY I LUDZIE

.24 JAKUB OSTROMĘCKI
Sprawa Dreyfusa

.30 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Dziwna okupacja Danii

.34 GRZEGORZ JANISZEWSKI
Pierwsi polscy komandosi

.38 JERZY STAWSKI
Walczyłem u „Warszyca"

.42 MARIAN ZACHARSKI
Wpadka Luftwaffe

.46 MACIEJ ROSALAK
Upadek Marcosa

.50 TOMASZ STAŃCZYK
Sąd nad atletą

.53 PIOTR SEMKA
Sołówki – wynalazek diabła

.58 MAREK GAŁĘZOWSKI
Porwanie Altera i Ehrlicha

.62 MIKOŁAJ IWANOW
Spisek lekarzy z Kremla

.66 JOHN MEARSHEIMER
Ameryka potrafi być bezwzględna

.70 PIOTR ZYCHOWICZ
Jak Polska mogła uniknąć klęski

.96 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Lamus wynalazków

/ CO CZYTAĆ

.74 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Tajemnica Skiwskiego

/ FELIETONY

.82 JACEK BARTOSIAK
Chiński podbój oceanów

.84 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Z dziejów praworządności w Polsce

.85 PIOTR SEMKA
„Lublu Tiebia Pietra twarienje"

.99 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
Dmowski a Bałtyk

/ KRESY

.86 TOMASZ STAŃCZYK
Hetmański ród Sieniawskich

/ BATALIE I WODZOWIE

.90 MACIEJ ROSALAK
Syn Dzikich Pól

/ KOMIKS

.98 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Zagłada „Gustloffa"

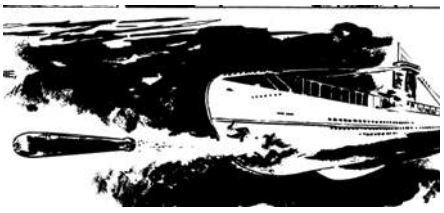

eprasa.pl feb53ef4b7

Najpierw powołał ich Bóg.
Potem zrobiła to Ojczyzna.

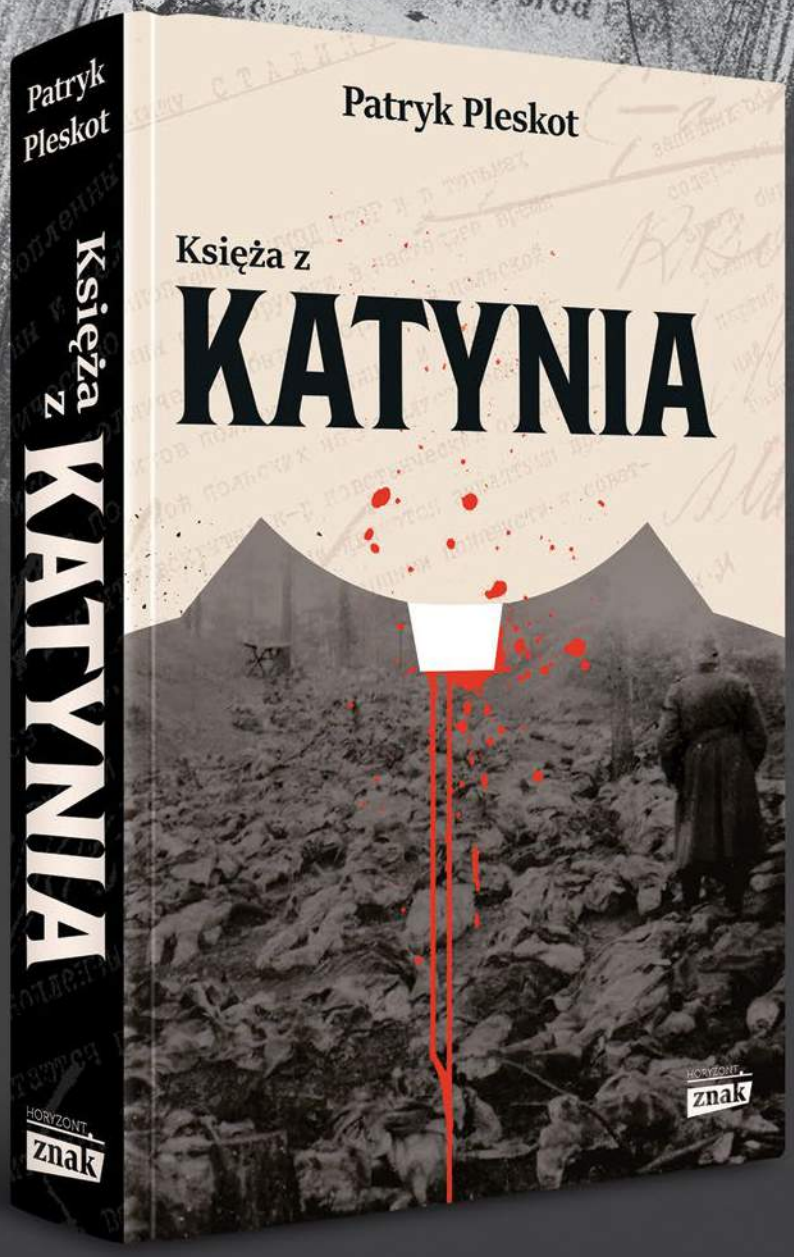

Premiera książki 11 marca

eprasa.pl feb53ef4b7

FOT. WIKIPEDIA

Wywiad PRL / Jerzy Kaczmarek i złodzieje życiorysów

Szpieg sobowtór

Patryk Pleskot

To była jedna z najbardziej skomplikowanych operacji wywiadu PRL. Komunstyczny szpieg ukradł cudzą tożsamość i wyjechał do RFN. Uruchomiło to łańcuch tragicznych wydarzeń

„Wtórnik" – oto najwyższy stopień szpiegowskiego wtajemniczenia. Zwykły „nielegał" jedynie ukrywał swoją przynależność do wywiadu (używając lub nie fałszywych dokumentów). „Wtórnik" szedł o krok dalej: dosłownie wcielał się w kogoś innego; czasem od dawna zmarłego.

Fabrykowanie „wtórników" było jednym z priorytetów Wydziału II Departamentu I MSW (wywiadu „cywilnego"). Dramatyczne wydarzenia końcowego okresu drugiej wojny światowej i masowe przemieszczenia ludności, do których doszło w następstwie zmagań zbrojnych, stanowiły naturalny rezerwuar „życiorysów do wzięcia". Tragedia ludności niemieckiej i autochtonicznej z okresu 1944–1945, spowodowana brutalnością żołnierzy Armii Czerwonej, stwarzała dla komunistycznego wywiadu bardzo duże możliwości – jakkolwiek cynicznie by to zabrzmiało. Tysiące gwałtów dokonanych przez żołnierzy sowieckich na Niemkach i niepewny los tysięcy dzieci, urodzonych w wyniku tej przemocy albo po prostu porzuconych bądź zaginionych, tworzyły właściwą przestrzeń do tzw. kombinacji wtórnikowych.

Oficerowie wywiadu – niczym zawodowi historycy – całymi dniami wertowali katalogi bibliotek i inwentarze

eprasa.pl feb53ef4b7

archiwalne różnych lokalnych instytucji naukowych, wyszukując różne przypadki ludzi ze sporej listy osób pochodzenia niemieckiego urodzonych w latach 1937–1948, a zamieszkałych w Polsce. Szczególnie interesujące z punktu widzenia potrzeb wywiadu „nielegalnego" były niemieckie dzieci adoptowane w Polsce po wojnie, które nie znały swego pochodzenia, a ich dane osobiste zostały zmienione.

Zdjęcia Jerzego Kaczmarka FOT. IPN

„Dawca sytuacji"

Jerzy Kaczmarek – dość wysoki blondyn, urodzony w Poznaniu w listopadzie 1951 r. – nie bardzo wiedział, co chce robić w życiu po obronie magisterki. Był co prawda wyróżniającym się studentem germanistyki na UAM, a w latach 1970–1974 regularnie wyjeżdżał na stypendia do NRD, dokształcając się na uniwersytecie w Lipsku. Co jednak robić dalej? Coraz poważniej myślał o pracy w PRL-owskich służbach specjalnych, a z dokumentów wynika, że i wywiad od pewnego czasu interesował się zdolnym chłopakiem, doskonale władającym językiem niemieckim. Zadziałało prawo podaży i popytu.

Dlaczego jednak Kaczmarek zdecydował się ostatecznie odegrać trudną rolę nielegała, a w konsekwencji – wtórnika? W odpowiedzi na pytania testowe zadawane mu przez oficerów wywiadu w 1974 r. argumentował, że w wywiadzie pociągała go możliwość posługiwania się językiem niemieckim oraz „ciekawa i ruchliwa" praca. Po latach z kolei przyznawał, że działalność tajnych służb zawsze go fascynowała, a w MSW mógł poczuć się jak bohater filmów akcji.

Wywiad nie miał zamiaru wyznaczyć do tak trudnego zadania, jakim była „kombinacja wtórnikowa", nieprzygotowanego amatora. Dlatego po wstąpieniu do SB Kaczmarek rozpoczął intensywny, indywidualny kurs szpiegowania pod kątem przyszłej pracy w RFN.

Szybko opanował wywiadowcze techniki fotograficzne, wywiadowczą łączność radiową, a także posługiwanie się tajnopisem i różnymi typami szyfrów. Uczył się również języka angielskiego. Według przełożonych cechowały go: inteligencja, dyscyplina i sumienność. Był zarazem i skromny, oraz pewny siebie.

Tymczasem przyszły „dawca sytuacji" – tak określano ludzi, których życie skradali agenci wtórnikowi – żył sobie spokojnie w Polsce, na Wybrzeżu, z żoną i córką, jako Janusz Holski (nazwisko zostało zmodyfikowane). Był adoptowanym dzieckiem polskiej rodziny, ale w rzeczywistości owocem tragicznej i niemożliwej do spełnienia miłości Hildegardy Arnold, zamężnej Niemki z Lęborka, i oficera Armii Czerwonej, stacjonującego krótko po wojnie w tym mieście. Ich syn – Heinz Peter – urodził się w 1946 r.

Kiedy bezwzględny rozkaz wezwał wspomnianego oficera na łono sowieckiej ojczyzny, a sama Hildegarda trafiła na listę osób wysiedlanych za Odrę, młoda matka stanęła wobec dramatycznej decyzji. W Niemczech czekał na nią mąż, fanatyczny hitlerowiec, dla którego zawinięty w becik malutki Heinz Peter byłby wcieleniem zdrady i upadku: zarówno III Rzeszy, jak i własnej żony. Ze złamanym sercem Hildegarda pozostawiła więc niemowlaka w pomorskim sierocińcu i odjechała do ojczyzny, dręczona wyrzutami sumienia. Po pewnym czasie mały Heinz, a odtąd Janusz, został adoptowany przez polską rodzinę Holskich i (do czasu) nic nie wiedział o swojej przeszłości.

Minęło jeszcze wiele lat od wyjazdu Hildegardy, zanim funkcjonariusze wywiadu PRL w ramach swych „naukowych" kwerend dostrzegli w przypadku Arnolda potencjał na dogodną „kombinację wtórnikową". Mówiąc w największym skrócie, założono – zgodnie z bardzo dokładnie rozpisanym scenariuszem kombinacji – że w postać Heinza Petera Arnolda (czyli Janusza Holskiego) wcieli się młody obiecujący agent: Jerzy Kaczmarek.

Przeistoczenie

W kwietniu 1976 r. fałszywy Arnold – czyli Kaczmarek – realizując tzw. plan przykrycia, pojawił się nagle w Bydgoszczy, gdzie rozpoczął pracę jako nauczyciel języka niemieckiego. Według przyjętego scenariusza szybko, dzięki Czerwonemu Krzyżowi, nawiązał kontakt korespondencyjny ze „swoją" niemiecką matką, Hildegardą, od lat targaną wyrzutami sumienia i bezskutecznie poszukującą syna. Zaczęła się regularna wymiana listów. „Wtórnik" okazał się nader przekonujący. W rezultacie Hildegarda zaczęła go namawiać do przyjazdu do RFN, a rzekomy Heinz Peter oczywiście nie mógł jej odmówić.

Przed wyjazdem Kaczmarek otrzymał szczegółowe wytyczne. W swoim legalnym życiu rzekomy Arnold miał budować pozycję zawodową i rozszerzać krąg znajomych, rozwijając w ten sposób możliwości działań wywiadowczych. Aktywność wywiadowcza

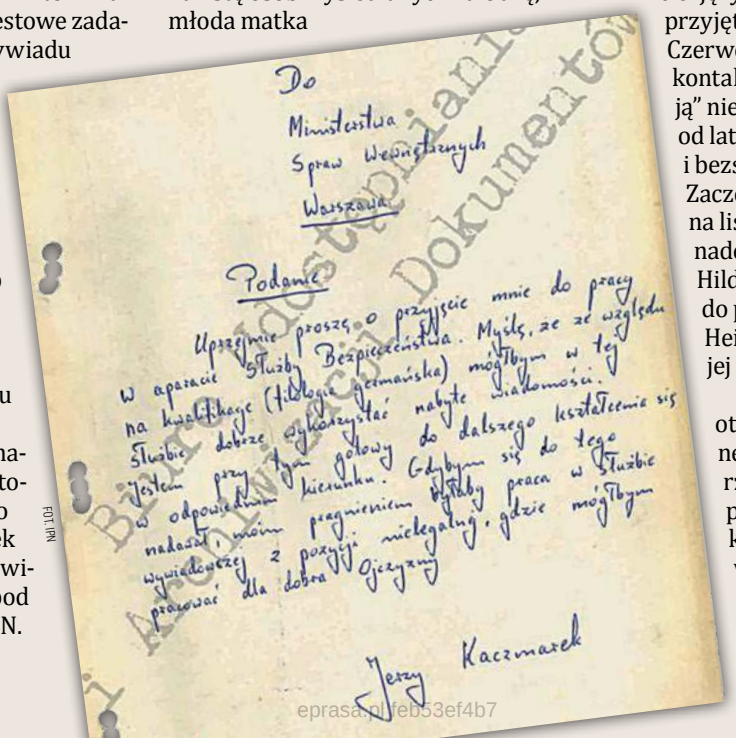
Do
Ministerstwa
Spraw Wewnętrznych
Warszawa

Podanie

Uprzejmie proszę o przyjęcie mnie do pracy w aparacie Służby Bezpieczeństwa. Myślę, że ze względu na kwalifikacje (filologia germańska) mógłbym w tej Służbie dobrze wykorzystać nabyte wiadomości. Jestem przy tym gotowy do dalszego kształcenia się w odpowiednim kierunku. Gdybym się do tego nadawał, moim pragnieniem byłaby praca w Służbie wywiadowczej z pozycji nielegalnej, gdzie mógłbym pracować dla dobra Ojczyzny.

Jerzy Kaczmarek

FOT. IPN

Biuro Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów

eprasa.pl/feb53ef4b7

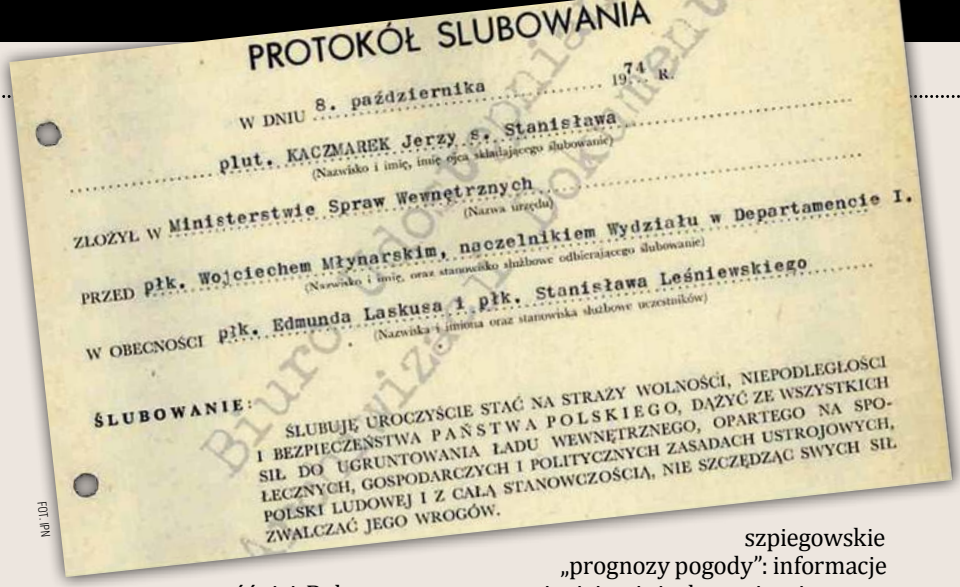

PROTOKÓŁ ŚLUBOWANIA

W DNIU 8. października 1974 R.

plut. KACZMAREK Jerzy s. Stanisława
(Nazwisko i imię, imię ojca składającego ślubowanie)

ZŁOŻYŁ W Ministerstwie Spraw Wewnętrznych
(Nazwa urzędu)

PRZED płk. Wojciechem Młynarskim, naczelnikiem Wydziału w Departamencie I.
(Nazwisko i imię, oraz stanowisko służbowe odbierającego ślubowanie)

W OBECNOŚCI płk. Edmunda Laskusa i płk. Stanisława Leśniewskiego
(Nazwiska i imiona oraz stanowiska służbowe uczestników)

ŚLUBOWANIE:

ŚLUBUJĘ UROCZYŚCIE STAĆ NA STRAŻY WOLNOŚCI, NIEPODLEGŁOŚCI I BEZPIECZEŃSTWA PAŃSTWA POLSKIEGO, DĄŻYĆ ZE WSZYSTKICH SIŁ DO UGRUNTOWANIA ŁADU WEWNĘTRZNEGO, OPARTEGO NA SPOŁECZNYCH, GOSPODARCZYCH I POLITYCZNYCH ZASADACH USTROJOWYCH, POLSKI LUDOWEJ I Z CAŁĄ STANOWCZOŚCIĄ, NIE SZCZĘDZĄC SWYCH SIŁ ZWALCZAĆ JEGO WROGÓW.

Biuro Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów

NAI 103

miała być początkowo ograniczona do stosunkowo bezpiecznego wykorzystania indywidualnych możliwości samego „nielegała". Docelowo widziano przed nim karierę w Bonn, urzędniczą lub polityczną, najlepiej „na styku ze służbami specjalnymi przeciwnika". Realizacja takiego celu mogła uświęcać wiele środków. Również drastycznych.

Tajemniczy zgon – po raz pierwszy

Wyjazd Kaczmarka-Arnolda „do niemieckiej ojczyzny" nastąpił ostatecznie w lutym 1978 r. Cała kombinacja nie zaczęła się jednak najlepiej. Pierwszy zapoznawczy kontakt Hildegardy z „synem" nie mógł być przełomowy: sytuacja i w naturalnych warunkach byłaby przecież niezręczna. Niemniej oboje od razu umówili się na kolejne spotkanie. To również odbyło się bez przeszkód, a w Hildegardzie ożyły tłumione do tej pory emocje. Targały nią sprzeczne uczucia: niedowierzania i szczęścia, radości i skrępowania. Kaczmarek-Arnold nie doczekał się jednak następnej rozmowy z „matką". 58-letnia Hildegarda zmarła bowiem na atak serca w taksówce, którą wracała ze spotkania z „synem".

Nagła śmierć Hildegardy nie zatrzymała realizacji „kombinacji wtórnikowej". Wręcz przeciwnie – osierocony „syn" uwolnił się od jedynej praktycznie osoby, która mogła mu w jakiś sposób pokrzyżować plany. Uwolnił się też zapewne od napięcia psychicznego, związanego z udawaniem potomka Bogu ducha winnej kobiety. Czy to uwolnienie było tylko szczęśliwym (dla niego) zbiegiem okoliczności? Czy powodem zgonu był nadmierny stres i silne emocje, wywołane spotkaniem z cudownie odnalezionym „dzieckiem"? Okoliczności tej śmierci pozostają podejrzane.

Mimo przeżytej tragedii rodzina Arnoldów przyjęła „Heinza Petera" z otwartymi ramionami i pomogła mu urządzić się w świeżo odzyskanej ojczyźnie. Kaczmarek w trybie przyspieszonym uzyskał obywatelstwo RFN, a wkrótce udało mu się dostać posadę w Bremie, w federalnym Urzędzie Emigracyjnym do spraw tzw. późnych przesiedleńców – czyli Niemców, którzy nie wyjechali do ojczyzny bezpośrednio po 1945 r., tylko później. Było to stanowisko, które dawało wiele możliwości wywiadowczych. Kaczmarek w ramach swych obowiązków służbowych każdego dnia przeglądał aplikacje osób starających się o osiedlenie w RFN. Mógł również dokonywać wszechstronnych sprawdzeń w dokumentacji i kartotekach różnych urzędów centralnych i lokalnych RFN.

Szczególne znaczenie miały dostarczane przez „wtórnika" do Warszawy tzw. wyprzedzające informacje o przesiedleńcach z krajów „demokracji ludowej", którzy znaleźli się w zainteresowaniu zachodnioniemieckiego kontrwywiadu. Szybko ustalił aż 84 nazwiska przesiedleńców mających według niemieckich służb działać na rzecz KGB, a także kilka osób podejrzanych o związki z NRD-owską Stasi. Nie może więc dziwić, że wiele pochodzących od niego informacji wywiadowczych trafiło również do wschodniego Berlina i Moskwy.

W tej pracy nie zawsze chodziło tylko o udział w ewidentnych szpiegowskich rozgrywkach. Polski agent na bieżąco dostarczał swoim mocodawcom również szpiegowskie „prognozy pogody": informacje o zmieniającej się dynamicznie tzw. sytuacji wywiadowczej, czyli np. o obowiązujących aktualnie zachodnioniemieckich przepisach dotyczących zasad wydawania dowodów tożsamości, albo o formularzach, które musieli wypełniać ludzie starający się o niemieckie obywatelstwo. Te dane pozwalały wywiadowi modyfikować wymyślane legendy dla agentów i wymieniać szpiegowskie wyposażenie.

Tajemniczy zgon – po raz drugi

Fałszywe życie Kaczmarka trwało blisko siedem lat. Pewnego dnia idylla została jednak brutalnie przerwana: 14 marca 1985 r. agenci BfV wtargnęli do mieszkania fałszywego Arnolda i zanim ten się zorientował, o co chodzi, został aresztowany. Co się stało? Powód był zupełnie niespodziewany: oto nagle „obudził się" prawdziwy Arnold-Holski, co doprowadziło do złapania złodzieja jego tożsamości.

Pewnego sierpniowego dnia 1984 r. Janusz Holski – niepozorny pracownik jednej z trójmiejskich spółdzielni inwalidów – zapoznał się z grupką zachodnioniemieckich turystów odwiedzających polskie Wybrzeże. Pod wpływem impulsu prawdziwy Arnold wpadł na pomysł, by poprosić turystów o pomoc w poszukiwaniach swej zaginionej niemieckiej rodziny (wiedział już, że został adoptowany). W ten sposób nieświadomie uniknął oficjalnych dróg tego typu starań (np. poprzez PCK), w pełni kontrolowanych przez SB. Służby nie mogły więc zareagować ani przeciwdziałać nadciągającej klęsce.

Turyści okazali się sumienni i po powrocie do RFN zaczęli rozpytywać o rodzinę Arnoldów, pisać do urzędów.

eprasa.pl feb53ef4b7

Okazało się, że jakiś Heinz Peter Arnold już dawno odnalazł swoich bliskich w zachodnich Niemczech. O tej zaskakującej sytuacji szybko dowiedział się niemiecki kontrwywiad. Dla funkcjonariuszy BfV stało się oczywiste, że ów niemiecki Arnold najprawdopodobniej jest komunistycznym nielegałem-wtórnikiem.

Taka okazja trafiała się bardzo rzadko. W siedzibie niemieckiego kontrwywiadu natychmiast rozdzwoniły się telefony. Od zidentyfikowania „kreta" do zatrzymania minęło raptem 10 dni.

Bardzo krótko po tym, jak cała sprawa wyszła na jaw, targany silnymi emocjami Janusz Holski (prawdziwy Arnold), niespełna 40-letni mężczyzna, zmarł nagle na zawał serca. Taką przyczynę zejścia wpisano do oficjalnego aktu zgonu. Była to już druga taka śmierć związana z wtórnikowymi działaniami Jerzego Kaczmarka. Czy można tu mówić o przypadku? Chcąc nie chcąc, Holski poznał przecież jedną z największych tajemnic komunistycznego wywiadu: realizowanie operacji wtórnikowych i kradzieży ludzkich tożsamości. Była to bardzo niebezpieczna wiedza. Być może zbyt niebezpieczna.

Jedno jest pewne: Januszowi Holskiemu nigdy nie było pisane poznać osobiście swojej prawdziwej rodziny.

Uratowany na moście

Tymczasem Jerzy Kaczmarek trafił do aresztu w Bremie pod zarzutem prowadzenia działalności wywiadowczej na rzecz obcego państwa. Świadomy całkowitej dekonspiracji – w końcu znaleziono całe jego wyposażenie szpiegowskie – ujawnił swoją prawdziwą tożsamość, stopień służbowy i charakter pobytu w Niemczech. Zgodnie z przebytym w Warszawie przeszkoleniem odmówił jednak składania zeznań, zadeklarował wolę powrotu do Polski i czekał na rozwój sytuacji.

Polski wywiad, gorączkowo szukając rozwiązania problemu, zwrócił się do bratniej służby z NRD o pomoc w podjęciu negocjacji z zachodnioniemieckimi władzami w sprawie uwolnienia Kaczmarka, a ściślej: wymienienia go na jednego z zachodnich szpiegów złapanych na terenie bloku wschodniego. Wymagało to zaangażowania najważniejszych figur służb wywiadowczych obu państw: szef MSW Czesław Kiszczak osobiście zwrócił się w tej sprawie do kierującego Stasi gen. Ericha Mielkego. Trudno o lepszy dowód dużego znaczenia sprawy Kaczmarka.

W efekcie fałszywy Arnold załapał się na trzecią i ostatnią w historii zimnej wojny wymianę agentów, przeprowadzoną na podberlińskim moście Glienicke, zwanym „mostem szpiegów". Do operacji doszło w samo południe 11 lutego 1986 r.: pięciu komunistycznych szpiegów zostało wymienionych na cztery osoby przetrzymywane przez komunistów. „Wyzwolona" piątka została przetransportowana do tajnej rezydencji wywiadu Stasi.

Po szczęśliwym powrocie do kraju 35-letni Kaczmarek nie zamierzał rezygnować ze szpiegowskiej kariery, choć drogę na Zachód miał już zamkniętą. Z polecenia centrali wywiadu MSW rozpoczął legalną pracę w administracji Międzynarodowych Targów Poznańskich. Jednocześnie pozostał oficerem wywiadu i pracował w Departamencie I na tzw. etacie niejawnym.

Wiele lat po upadku komunizmu polsko-niemiecka dziennikarka Rozalia Romaniec, krewna prawdziwego Arnolda, zdołała odnaleźć w Polsce szpiega, który ukradł kiedyś tożsamość jednego z jej bliskich. Zaproponowała spotkanie. O dziwo, Kaczmarek się zgodził. To wtedy przyznał, że pracując dla wywiadu, czuł się jak James Bond. Twierdził, że praktycznie nic nie wiedział o osobie, w którą się wcielił, i że w istocie niewiele go obchodziła. Zarazem kategorycznie zaprzeczył, jakoby miał jakikolwiek związek z tajemniczymi atakami serca, towarzyszącymi całej sprawie. Wyraził też przekonanie, że kradzież tożsamości to normalna procedura wykorzystywana przez służby specjalne po dziś dzień.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Patryk Pleskot jest historykiem IPN.

REKLAMA

Są tylko dwie niezwyciężone rzeczy na świecie - Armia Czerwona i polski turysta.

radziecki celnik, lotnisko Moskwa-Wnukowo

BELLONA

eprasa.pl feb53ef4b7

RYS. KRZYSZTOF WYSZKOWSKI

1960 r. / Strzały na Route de Saint-Gratien

Zabójstwo czerwonego zdrajcy

eprasa.pl feb53ef4b7

Piotr Zychowicz

Szpieg PRL Władysław Mróz przeszedł na stronę tajnych służb Zachodu. Zemsta jego kolegów z „firmy" była przerażająca

Jasnożółty peugeot 403 sunął uliczkami podparyskiej Argenteuil. W środku było trzech mężczyzn. Kierowca. Obok niego pasażer. A na tylnym siedzeniu mężczyzna z pistoletem w garści. Lufa pistoletu przystawiona była do głowy siedzącego z przodu pasażera. Wysokiego, szczupłego mężczyzny około trzydziestki.

Jechali w milczeniu. Tylko kierowca co pewien czas spoglądał we wsteczne lusterko, aby upewnić się, że w ślad za nimi jedzie citroen 2 CV z obstawą.

Nagle pojazd zaczął zwalniać. Wjechali w Route de Saint-Gratien, ulicę, przy której znajdowało się zwałowisko kamieniołomu. Pasażer zrobił się niespokojny, zaczął się nerwowo rozglądać.

– Panowie, gdzie my jedziemy? – spytał po polsku. – To jakaś pomyłka.

– Zdradziłeś, Mróz – wycedził grobowym głosem siedzący na tylnej kanapie mężczyzna. – A za to jest tylko jedna kara.

W tej samej chwili rozległ się pierwszy strzał. A zaraz po nim drugi. Mężczyzna nie mógł chybić. Strzelał z przyłożenia. Jedną kulę wpakował pasażerowi w głowę, a drugą w szyję. Czaszka ofiary dosłownie eksplodowała. Cały przód samochodu w ułamku sekundy pokrył się krwawym rozbryzgiem. Kule roztrzaskały szybę.

Peugeot zatrzymał się przy zwałowisku. A zaraz za nim citroen, z którego wyskoczyło dwóch kolejnych mężczyzn. Otworzyli drzwi peugeota i wywlekli z niego bezwładne ciało. Zaczęli obszukiwać kiszenie denata. Udało im się znaleźć i zabrać dokumenty osobiste. W tym momencie doszło jednak do nieprzewidzianych komplikacji. W stronę samochodów szedł energicznym krokiem właściciel posesji położonej naprzeciwko zwałowiska. Francuz był przekonany, że ma do czynienia z osobami podrzucającymi nielegalnie śmieci.

Mężczyźni wskoczyli do peugeota, kierowca wcisnął gaz do dechy i samochód odjechał z piskiem opon. Na miejscu został citroen z otwartymi drzwiami. Francuz zdążył zapisać część numeru rejestracyjnego uciekającego pojazdu. A następnie – ku swojemu przerażeniu – zobaczył leżące obok samochodu zakrwawione ciało. Pobiegł do domu, aby zadzwonić po policję.

Francuscy inspektorzy, którzy natychmiast wszczęli śledztwo, szybko odnaleźli żółtego citroena. Stał zaparkowany w podparyskiej Saint-Ouen. W środku znaleziono plamy krwi, dwie dziury po kulach i dwie pistoletowe łuski. Okazało się, że pojazd 48 godzin przed morderstwem został ukradziony.

Policja bez większego trudu zidentyfikowała również denata. Był Polakiem i nazywał się Władysław Mróz. Oficjalnie pracował jako fotograf, ale francuskie służby doskonale wiedziały, że w rzeczywistości był kapitanem wywiadu PRL, który przybył do Paryża, aby stworzyć siatkę szpiegowską.

Mróz wypowiedział posłuszeństwo swoim mocodawcom w Warszawie i przeszedł na stronę Francuzów, przekazując im bezcenne informacje. Teraz kariera podwójnego agenta w drastyczny sposób dobiegała końca. Leżał z dwiema ranami postrzałowymi w paryskiej kostnicy. Taka była kara, jaką komunistyczne służby wymierzały za zdradę.

Władysław Mróz FOT. IPN

Kontruderzenie

To, że wywiadowi komunistycznej Polski udało się przeprowadzić w Paryżu taką operację – jak napisano w raporcie PRL-owskiego MSW – „wywołało olbrzymi szok we francuskim kontrwywiadzie". Mróz był bowiem najważniejszym oficerem wywiadu państw komunistycznych, jakiego udało się wówczas zwerbować służbom znad Sekwany.

Zdradził Francuzom tożsamość wielu czerwonych szpiegów działających na Zachodzie. Przekazał szczegółowe informacje nie tylko o siatkach wywiadowczych, lecz także o sposobie działania komunistycznych służb. To, że francuskiemu kontrwywiadowi nie udało się zapewnić Mrozowi bezpieczeństwa, było dla nich wielką kompromitacją.

Francuski kontrwywiad usiłował nawet dokonać kontruderzenia. Aresztowano wiele osób powiązanych z wywiadem i placówkami dyplomatycznymi PRL. Według PRL-owskich służb Francuzi usiłowali w odwecie zabić konsula w Nancy Bronisława Wyczyńskiego. Agenta czerwonego wywiadu o pseudonimach Rafin i Juliusz. Zamach się nie powiódł, ale w wyniku spowodowanego umyślnie wypadku samochodowego kierowca

eprasa.pl feb53ef4b7

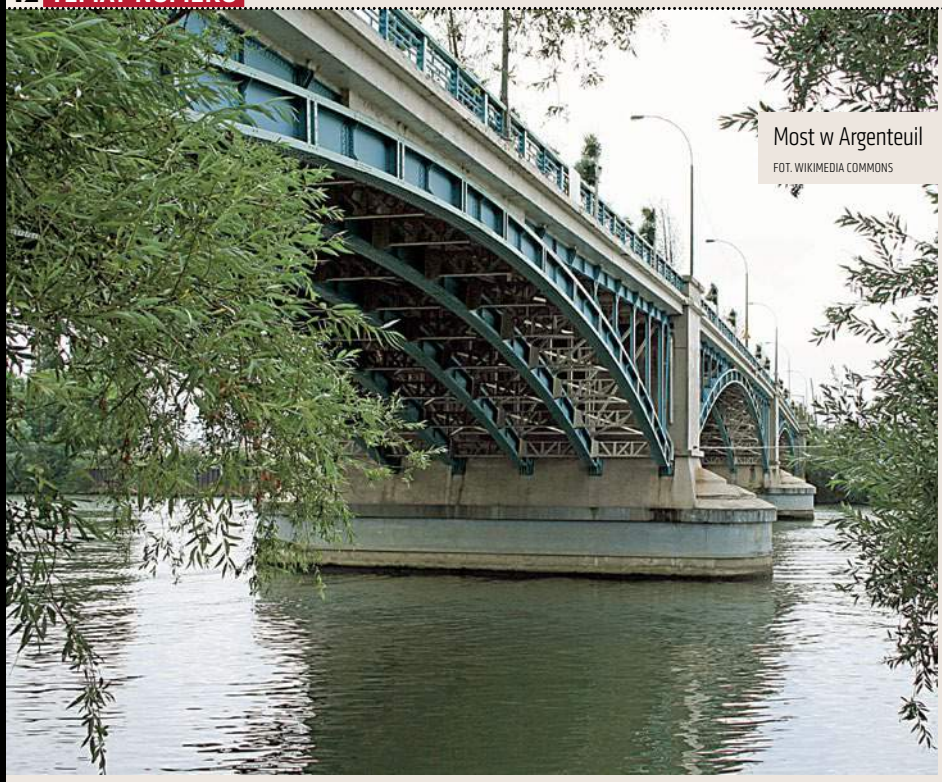

Most w Argenteuil

FOT. WIKIMEDIA COMMONS

komunistycznego dyplomaty miał zostać kaleką. Sam Wyczyński również poważnie się poturbował.

„Mróz wsypał nie jakąś tam zwykłą agenturę. To byli prawdziwi francuscy patrioci, lewicowcy, ludzie należący do elity. Mający dostęp do premiera, ministrów, a nawet samego Charles'a de Gaulle'a. Budowano te kontakty latami. Od tamtego czasu nasz wywiad już nigdy nie miał nad Sekwaną tej rangi współpracowników i życzliwych osób" – oceniał później były oficer wywiadu PRL płk Marceli Wieczorek.

Służby PRL zmuszone były również ewakuować z Francji, ze Szwajcarii, z Kanady, Austrii i ze Szwecji kilkunastu ważnych szpiegów. A więc wszystkich nielegałów, którymi wówczas dysponowały! Mowa o głęboko zakonspirowanych oficerach wywiadu, którzy – tak jak Mróz – pracowali na Zachodzie pod przykrywką zwykłych obywateli. Według dokumentów wywiadu PRL wywieziono ich trzy godziny przed zabójstwem w Paryżu. W wyniku zeznań Mroza wpadł również kret służb PRL w izraelskim kontrwywiadzie, Lucjan Lewi. Na rozmowę z Mrozem w tej sprawie z Tel Awiwu specjalnie przyjechali oficerowie Mosadu.

Strata siatki nielegałów była dla komunistycznych służb dotkliwym ciosem. Po tej wpadce zlikwidowano cały Wydział I wywiadu MSW, który koordynował ich działania. Zdrada Mroza dla wywiadu PRL była katastrofą.

Wpadka z miłości

Władysław Mróz urodził się w 1926 r. w miejscowości Skałat w województwie tarnopolskim. W 1940 r. wraz z całą rodziną padł ofiarą sowieckiej deportacji, co być może uratowało mu życie. Trzy lata później w rejonie Skałatu nacjonaliści ukraińscy dokonali bowiem wielu pogromów ludności polskiej. Mrozów wywieziono na Syberię, do Jakucji. Tam młody Władysław podjął kolaborację z wrogiem. Zapisał się do Komsomołu, później do Związku Patriotów Polskich. Pełnił funkcję agitatora w kołchozie.

Według plotek już wówczas był szkolony przez NKWD. W rzeczywistości pierwszy jego kontakt ze służbami nastąpił jednak dopiero w 1947 r., gdy po przyjeździe do komunistycznej Polski zatrudnił się w Milicji Obywatelskiej w Inowrocławiu. Jego ojciec dwa lata wcześniej poległ w szeregach Ludowego Wojska Polskiego, przełamując Wał Pomorski pod Kołobrzegiem.

Młody Mróz został przyjęty do „organów". W 1950 r., jako wyróżniającego się funkcjonariusza, przeniesiono go do Urzędu Bezpieczeństwa. Tam wylądował w Wydziale I, który zajmował się prowadzeniem nielegalnej rezydentury w krajach kapitalistycznych. Czyli szpiegostwem.

Chociaż może się to wydać zaskakujące, to bezwzględnego ubeka i ideowego komunistę zgubiła miłość. Mróz zadurzył się w koleżance z pracy – tłumaczce Leokadii Denisiuk. Była to atrakcyjna, seksowna rozwódka, która urodziła się we Francji i do 1946 r. miała tamtejsze obywatelstwo. Wkrótce zaszła w ciążę i stała się panią Mrozową. Znużona prymitywnymi warunkami życia w PRL, tęskniła do kraju swojego urodzenia. To ona usilnie nakłaniała nowego męża, żeby zgłosił się na wyjazd do Paryża, i to dla niej starał się zostać nielegałem.

Zgodę swoich przełożonych Mróz uzyskał w 1958 r. i rok później po specjalnym przeszkoleniu (język francuski, fotografia, szyfrowanie, szkolenie operacyjne) wyjechał do Paryża z żoną i dwojgiem dzieci. W międzyczasie Leokadia ponownie bowiem urodziła. Wypuszczenie „Claude'a" na Zachód – taki nadano mu pseudonim – było zdumiewającym błędem organów. Był to bowiem człowiek, który ze względu na swoją kilkuletnią pracę w Wydziale I posiadał kolosalną wiedzę o funkcjonowaniu wywiadu PRL w „krajach kapitalistycznych". W razie wpadki lub zdrady konsekwencje dla komunistycznych służb musiały być katastrofalne.

Mróz najpierw zatrudnił się jako magazynier, a potem jako pracownik jednego z paryskich zakładów fotograficznych. W kontaktach z centralą posługiwał się niezwykle trudnym do wykrycia systemem łączności. Jego przełożeni z Warszawy przesyłali mu listy od „matki" i „teściów", w których szyfrem przekazywali rozkazy. On zaś wysyłał pocztówki do rzekomych przyjaciół w Łodzi i Poznaniu. Anonsował w ten sposób paczki żywnościowe, w których w rozmaitych produktach ukrywał pozyskane materiały. Mikrofilmy, wykradzione dokumenty, raporty.

Jak więc wykrył go francuski kontrwywiad? Istnieje kilka wersji wsypy. Według jednej Mróz sam zgłosił się do Francuzów. Według innej – jego tożsamość zdradził inny uciekinier ze służb PRL. A według jeszcze innej – zadenuncjowała go… żona. I zrobiła to nie z nienawiści, ale z miłości. Według niej praca komunistycznego nielegała była zbyt niebezpieczna. Wierzyła, że jeżeli Mróz przejdzie na stronę Francuzów i przekaże im całą swoją wiedzę, to oni otoczą go skuteczną ochroną. W ten

eprasa.pl feb53ef4b7

sposób Leokadia, która była wówczas po raz trzeci w ciąży, sprowadziła na swojego ukochanego mężczyznę śmierć…

Rozkaz: zabić!

Wywiad PRL pierwszy sygnał o tym, że kpt. Władysław Mróz zdradził, otrzymał w czerwcu 1960 r. od sowieckich mocodawców z KGB. Na początku jednak informacjom tym nie dawano wiary.

„Każdy był podejrzany. Tylko nie Mróz" – wspominał później inny szpieg PRL, który przeszedł na stronę Zachodu. Mróz był bowiem oceniany jako jeden z najbardziej sprawnych i lojalnych oficerów. Z czasem okazało się, że sowieckie informacje są prawdziwe. Służby PRL dowiedziały się, że Mróz mieszka z rodziną w bloku należącym do francuskiego MSW (w korespondencji z centralą podawał inny adres). Jednocześnie francuskie służby zaczęły osaczać innych PRL-owskich nielegałów, których tożsamość była znana Mrozowi.

W końcu przesłanek było tak wiele, że nie mogło być już żadnych wątpliwości – Mróz zdradził. W centrali podjęto wówczas decyzję o likwidacji czerwonego renegata. Nie przeprowadzono oczywiście żadnej rozprawy sądowej. Po prostu na nielojalnego oficera wydano wyrok śmierci.

Teraz pozostawało tylko zorganizować skomplikowaną operację likwidacji agenta na wrogim terytorium. W Warszawie szybko przekonano się, że nie będzie to łatwe. „Claude" nie był bowiem w ciemię bity. Pierwsze dwie próby zabicia go skończyły się fiaskiem. Jedna z nich polegała na dolaniu mu trucizny do filiżanki kawy. Misję tę próbowało wykonać dwóch starych kolegów z resortu, którzy mieli spotkać go na paryskiej ulicy i zaprosić na kawę. Nic z tego nie wyszło. Mróz, gdy tylko zobaczył jednego z nich, uciekł w popłochu.

Kolejną próbę kierownictwo wywiadu PRL postanowiło przygotować bardziej profesjonalnie. Zgodnie ze starą zasadą, że tylko kule dają pewność. „Po dwóch nieudanych przymiarkach dano mi wolną rękę – relacjonował płk Henryk Sokolak, wicedyrektor Departamentu I MSW. – Sięgnąłem po znajomych z okresu wojny, dla których rozkaz „zabić – znaczył to samo co dla mnie. Motywy były różne, ale działanie takie samo".

To właśnie Sokolak miał koordynować całą operację. W tym celu w przededniu morderstwa wyjechał do Brukseli. Tam było centrum operacji. Według Sokolaka Mróz musiał zginąć, aby inni oficerowie działający za granicą dowiedzieli się, że „zdradzić można, ale żyć z owoców zdrady nie".

„Ode mnie oczekiwano – pisał po latach – wykonania akcji eliminacyjnej. Uruchomiłem ją o 5.00 rano. Przekazałem dokumenty, ostatnie elementy rozeznania, samochody, broń, środki pomocnicze. Od tej pory pozostało już tylko 12 godzin czekania. A akcja? Cóż, o godzinie 17.30 był telefon, że udana. O godz. 22 przekraczałem granicę w Berlinie. Łączność telefoniczna potwierdziła, że nielegałowie są w punktach ewakuacyjnych. Na drugi dzień miałem w ręku dokumenty potwierdzające zdradę. Rozliczyłem eliminatorów i wieczorem byłem w Warszawie. Byłem dumny z Departamentu! Wielka próba – oparta na bezgranicznym zaufaniu – została wykonana na piątkę".

Kim byli egzekutorzy? Według najbardziej rozpowszechnionej wersji wydarzeń grupę skompilowano z szyfranta ambasady PRL w Paryżu oraz dwóch dyplomatów. Drugą grupę likwidacyjną, która miała wkroczyć do akcji, gdyby zawiodła pierwsza, miano szykować w… Sajgonie, gdzie działało kilku czołowych PRL-owskich agentów.

Henryk Sokolak FOT. WIKIPEDIA

Wydaje się jednak, że powyższe informacje są niezwykle mało prawdopodobne. Wyrok wykonali profesjonaliści, a nie wybrani przypadkowo amatorzy. Byli to oficerowie funkcjonariusze wywiadu PRL sprowadzeni specjalnie w tym celu z komunistycznej Polski. Jak napisał jeden z oficerów, to „koledzy Mroza" z firmy. Tym razem akcja została wykonana bezbłędnie. Jak ujął to płk Sokolak – w starym stylu.

***

Z jednej ze stacji kolejowych na przedmieściach Paryża wyszedł wysoki, szczupły mężczyzna po trzydziestce. Kierował się do przystanku autobusowego, żeby – tak jak co dzień – złapać autobus numer 5. Drogę przeciął mu jednak jakiś potężnie zbudowany facet. Mężczyzna rozpoznał go, ale było już za późno. Poczuł pod bokiem lufę pistoletu. W tej samej sekundzie do krawężnika podjechał jaskrawożółty peugeot 305.

– Wsiadaj! – warknął tonem nieznoszącym sprzeciwu uzbrojony drab.

Zaskoczony mężczyzna posłusznie usiadł na fotelu pasażera, a napastnik wskoczył do tyłu pojazdu. Pistolet tym razem przyłożył do potylicy uprowadzonego.

Samochód powoli ruszył w stronę kamieniołomu w Argenteuil.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Po raz pierwszy o zabójstwie Mroza pisałem w 2010 r. na łamach „Rzeczpospolitej". Rekonstruując likwidację oficera, oparłem się wówczas na relacji innego uciekiniera ze służb PRL Janusza Kochańskiego, która znalazła się w wydanej w USA książce „Double Eagle: The Autobiography of a Polish Spy who Defected to the West". Wersja ta okazała się jednak konfabulacją. W 2011 r. francuskie władze przekazały bowiem IPN materiały śledztwa paryskiej policji z 1960 r. Niniejszy tekst przedstawia więc nową, bardziej wiarygodną wersję okoliczności, w jakich wyeliminowano Mroza. Dużo nowych informacji o sprawie Mroza znalazło się w książce Witolda Bagieńskiego „Wywiad cywilny Polski Ludowej w latach 1945–1961", z której korzystałem, pisząc ten artykuł.

eprasa.pl feb53ef4b7

W archiwach IPN spoczywają teczki nielegałów FOT. IPN

Wywiad / z dr. Witoldem Bagieńskim, historykiem z IPN

rozmawia Piotr Włoczyk

Tajemnice nielegałów

PIOTR WŁOCZYK: Kto był najcenniejszym PRL-owskim nielegałem?

DR WITOLD BAGIEŃSKI: Największa i najważniejsza sprawa nielegała wywiadu PRL wiąże się z osobą Andrzeja Madejczyka ps. Madera i Lakar. Jego działalność była ukierunkowana na zdobywanie informacji o Stolicy Apostolskiej, polskich emigrantach czy sprawach niemieckich. Madejczyk był dla wywiadu PRL źródłem bardzo cennej wiedzy. Zaczynał swoją pracę wywiadowczą jako agent, ale z czasem został przyjęty do służby jako funkcjonariusz, czyli – używając żargonu bezpieki – został „ukadrowiony".

Jak się zostaje nielegałem?

W przypadku Madejczyka wszystko zaczęło się od tego, że w trakcie pobytu w więzieniu poznał niemieckiego zbrodniarza Ericha Kocha. Kiedy zyskał jego zaufanie, gauleiter przekazał mu listy dla rodziny w RFN. Po wyjściu na wolność na początku lat 60. Madejczyk sam się zgłosił do SB. Oficerowie wywiadu przeszkolili go i umożliwili mu wyjazd na Zachód. Był bardzo pracowity, zdolny i umiał docierać do ludzi. Z biegiem lat zdobył kontakty w „Kulturze" paryskiej, znał się ze Zdzisławem Najderem, dyrektorem Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa. Informacje, które dostarczał, były z pierwszej ręki. Madejczyk zbudował własną siatkę. Można powiedzieć, że był urodzonym szpiegiem. Informacje od niego miały dla wywiadu bardzo duże znaczenie i pozwoliły stworzyć wiele opracowań analitycznych dla najwyższych władz PRL.

Na jakiej zasadzie budował swoją siatkę?

Ludzie, których wykorzystywał jako źródła informacji, niekoniecznie byli świadomi, jaką rolę odgrywał. To były spotkania na niwie towarzyskiej, niejednokrotnie zakrapiane alkoholem, które służyły mu do wyciągania informacji. Tak było w przypadku słynnego ojca Konrada Hejmo, wobec którego starał się stworzyć wrażenie, że jest powiązany z Niemcami. Źródłem wielu wartościowych wiadomości był dla niego żyjący we Włoszech dziennikarz i publicysta Dominik Morawski. Inną ważną osobą, z którą kontaktował się Madejczyk, był także Maciej Pstrąg-Bieleński, czyli człowiek, który w latach 80. był przedstawicielem KPN w Niemczech Zachodnich. Konfederacja była w tym czasie mocno rozpracowywana i traktowano ją jako organizację wywrotową.

Działalność Madejczyka bardzo wnikliwie opisał Władysław Bułhak w książce „Wywiad PRL a Watykan". Co ciekawe, stawia on tam tezę, że „Lakar" prawdopodobnie był podwójnym agentem, czyli był bardziej lojalny wobec wywiadu RFN niż wywiadu PRL.

Jeżeli tak było, to czy nie stawiałoby to wartości informacji zbieranych przez „Lakara" pod wielkim znakiem zapytania?

Tak, tu można zadać pytanie, czy cały ten urobek wywiadowczy nie szedł najpierw do Niemców i czy nie był on w związku z tym jakoś zmanipulowany. Nie zmienia to jednak faktu, że przez wiele lat wywiad PRL bardzo wysoko oceniał jego pracę. Sceptycyzm pojawił się dopiero pod koniec lat 80., kiedy Madejczyk był już właściwie na wywiadowczej emeryturze.

Innym znanym PRL-owskim nielegałem, który działał w Kościele katolickim, był Tomasz Turowski (ps. Dzierżoń, Orsom, Ritter). Jego historia jest o tyle niesamowita, że ten oficer wywiadu PRL zdawał się bardzo zaangażowanym zakonnikiem...

To faktycznie ciekawy przypadek, bo Turowski z polecenia SB został klerykiem zakonu jezuitów. Ten funkcjonariusz wywiadu występował jako duchowny, a do tego antykomunista. Miał świetne znajomości wśród polskich duchownych w Watykanie i nie tylko.

eprasa.pl feb53ef4b7

To była idealna sytuacja dla wywiadu PRL. W Rzymie działała „legalna" rezydentura wywiadu kryptonim Baszta – oficerowie pracujący jako dyplomaci spotykali się ze swoimi źródłami – ale równolegle nielegalnie działali Madejczyk i Turowski. W ten sposób do centrali MSW trafiały informacje na podobne tematy z niezależnych od siebie źródeł. Sprawy Madejczyka i Turowskiego są o tyle specyficzne, że występowali oni pod własnymi nazwiskami. Tymczasem nielegałowie zazwyczaj przybierali inną tożsamość i narodowość.

W tekstach na temat wywiadu nielegalnego pojawia się często nazwisko Mariana Zacharskiego, bodaj najsłynniejszego szpiega PRL.

Tylko że Marian Zacharski nie był w ogóle nielegałem i do USA został wysłany zupełnie oficjalnie jako pracownik handlu zagranicznego. Nie był on wówczas oficerem Departamentu I MSW – został „ukadrowiony" dopiero po aresztowaniu.

Praca wywiadu PRL toczyła się dwutorowo, tzn. prowadzono działania z pozycji „legalnych" i „nielegalnych". Nielegał to po prostu kadrowy funkcjonariusz wywiadu, który działa w obcym kraju jako głęboko zakonspirowany szpieg. Taki człowiek z zasady nie powinien był mieć żadnych powiązań z placówkami PRL.

Równocześnie w ambasadach działały „legalne" rezydentury. Kierowali nimi dyplomaci, którzy pracując „pod przykryciem", utrzymywali kontakty z częścią agentów i współpracowników z danego terenu. Tyle tylko, że każda służba kontrwywiadowcza domyśla się, co się dzieje w ambasadach czy konsulatach, i bacznie przygląda się ruchom dyplomatów. To ogranicza swobodę ich działania.

Nielegałowie z racji swojej głębokiej konspiracji mieli ogromną swobodę działania, ale, w przeciwieństwie do dyplomatów, nie byli chronieni immunitetem.

Kara jest tu nieporównywalna.

Tak, dyplomata-szpieg złapany na „gorącym uczynku" jest zazwyczaj uznawany za persona non grata i wyrzucany z danego kraju. Tymczasem nielegałowi grozi za to więzienie. Aby taki funkcjonariusz wyszedł na wolność, potrzebna jest zazwyczaj wymiana szpiegów.

Z pańskiej książki wynika, że początki wywiadu nielegalnego w PRL były trochę jak komedia pomyłek. Weźmy choćby Romana Bugajewskiego. Gdy centrala wysłała go jako nielegała do Francji, szef miejscowej rezydentury chciał go jak najszybciej odesłać do kraju, bo okazało się, że ten głęboko zakonspirowany szpieg nie potrafił obsługiwać... radiostacji. Jak to możliwe, że wywiad PRL wysyłał za granicę takich ludzi?

Bugajewski był kompletną pomyłką, ale jego historia jest dosyć charakterystyczna dla tamtych czasów. Początkowo wywiad Polski Ludowej prowadził nabór nowych kadr z klucza robotniczo-chłopskiego. To byli ludzie pochodzący z biednych rodzin, słabo wykształceni, a przede wszystkim bez należytego przeszkolenia. W tamtym czasie wychodzono z założenia, że pewność polityczna jest ważniejsza od umiejętności. Lata 40. to w tym kontekście czas kompletnej amatorszczyzny.

Wygląda na to, że pod tym względem kierownictwo wywiadu PRL zmarnowało najlepsze lata...

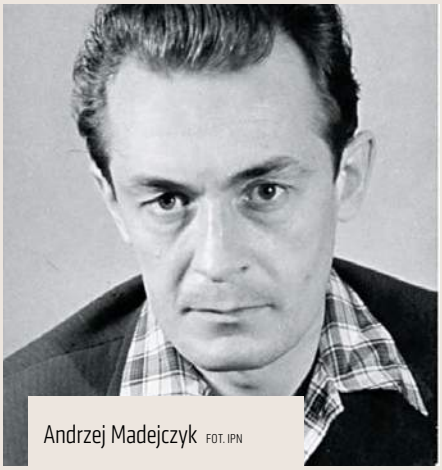

Andrzej Madejczyk FOT. IPN

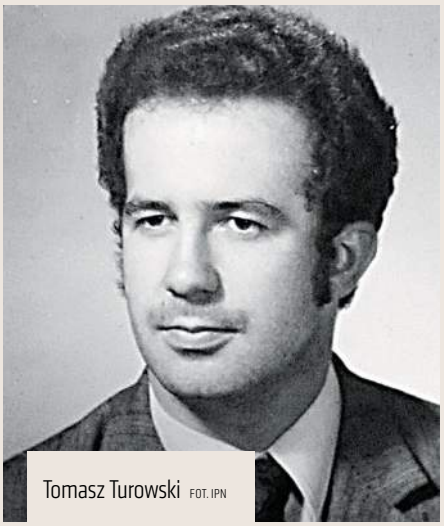

Tomasz Turowski FOT. IPN

W znacznej mierze tak właśnie było. Pierwsze lata po wojnie były idealnym czasem dla wywiadu. Wiele tysięcy ludzi migrowało między państwami, część z nich z różnych przyczyn zmieniała swoją tożsamość, niektórym trzeba było odtworzyć zaginione dokumenty tylko na podstawie ich deklaracji. Musimy jednak pamiętać, że struktury wywiadowcze Polski Ludowej były dopiero w powijakach. Z biegiem czasu to się zmieniało. W latach 50., w najgorętszym okresie zimnej wojny, utworzono nowy wydział nielegałów, który przejął sowieckie know-how i zaczął działać w bardziej przemyślany sposób. Pomoc specjalistów z KGB była tu nieoceniona. W końcu to ZSRS już w latach 20. zaczął z powodzeniem rozwijać ten rodzaj szpiegostwa i odniósł na tym polu kilka spektakularnych sukcesów. Na czele z bezcennymi informacjami od Richarda Sorge'a, niemieckiego komunisty, który szpiegował w Japonii, udając gorliwego nazistę.

Taki rodzaj pracy wywiadowczej wydaje się szczególnie wymagający i obciążający psychicznie. Jak wyglądał proces przygotowywania nielegałów?

Najwięcej uwagi poświęcano właściwemu doborowi kandydatów na nielegałów. Proces przygotowania do takiej misji był bardzo długi i skomplikowany, więc wywiad chciał mieć pewność, że taki człowiek nie przejdzie na stronę przeciwnika ani się nie załamie. Nawet chodzi tu nie tyle o świadomość, że może w każdej chwili wpaść, ile o trudności pierwszego okresu „aklimatyzowania się" w danym kraju, co może zniechęcić do pracy szpiegowskiej.

Jeszcze w latach 50. zdarzały się sytuacje, gdy ludzie, którzy zgłaszali się na „nielegałów", dopiero po jakimś czasie zdawali sobie sprawę, z czym tak naprawdę to się wiąże, i wykręcali się od takich misji poprzez np. ślub. Założenie rodziny potrafiło zniweczyć plany operacji konstruowanych przez tzw. Wydział „N". Niektórym młodym funkcjonariuszom głupio się było przyznać, że się boją, więc postanawiali błyskawicznie się ożenić i mieć problem z głowy.

Jeżeli nielegał miał przybrać rolę obcokrajowca, to musiał doskonale znać język. Dlatego świetnym materiałem na takich szpiegów byli reemigranci, czyli Polacy wychowani na Zachodzie, którzy po 1945 r. wrócili do PRL, np. z Francji.

eprasa.pl feb53ef4b7

Dworek przy ul. Ksawerów w Warszawie. Mieściła się tam siedziba Szkoły Wywiadu MSW FOT. WIKIPEDIA

Dobrymi kandydatami byli też ci, którzy w czasie wojny zostali wysłani na roboty przymusowe do Niemiec. Znali oni język, miejscowe realia, a do tego mieli nieraz chęć odegrać się na swoich dawnych ciemiężycielach.

Jak centrala dbała o morale nielegałów?

Od czasu do czasu ściągano ich na fałszywych papierach do PRL lub wywoływano na spotkania w innych krajach. Od końca lat 60. Jugosławia była tu numerem jeden. Obok spędzania czasu w przyjemnych warunkach nielegałowie zdawali szczegółowe relacje ze swojej działalności, a do tego szkolono ich. Przy okazji służyło to utrzymaniu wierności służbie. Jeżeli ktoś przez lata działa niezależnie, to może się to bardzo różnie skończyć. Nie chodzi tylko o zdradę. Może to skutkować np. rozleniwieniem, bo nielegał może zacząć wychodzić z założenia, że właściwie to może wysyłać do centrali byle co, bo i tak nikt nie sprawdzi, co tak naprawdę robi. Takie „wakacje", połączone czasem z awansem i medalami, były dobrą metodą budowania morale.

Czym oficjalnie powinien się zajmować nielegał w kraju docelowym?

To zależy od przyjętej uprzednio koncepcji. Jeszcze przed przerzutem tworzono nielegałowi legendę dopasowaną do jego predyspozycji. W latach 50. wysyłano np. osoby, które mogły prowadzić działalność usługową, pozwalającą na utrzymywanie szerokich kontaktów z bardzo różnymi środowiskami. Przykładowo fotograf był bardzo wygodną legendą. Również profesja dziennikarza świetnie się do tego nadawała. Znany jest przykład nielegała, który był domokrążcą w Kanadzie i bez większych podejrzeń mógł dzięki temu podróżować.

Po przerzucie najważniejsze było zdobycie w miejscu docelowym oryginalnych, nowych dokumentów, ponieważ nielegałowie przyjeżdżali z papierami, które wytworzono dla nich w PRL. Były one różnej jakości...

W jaki sposób wywiad zapewniał im te dokumenty?

Zawsze był z tym problem. Jeden zły podpis, źle wypełniona rubryczka i nielegał mógł łatwo wpaść. Wywiad na dużą skalę gromadził wzorcowe dokumenty z różnych źródeł. Zespół legalizacyjny Wydziału „N" miał u siebie metryki, dyplomy, prawa jazdy – wszystko, co mogło być potrzebne do zbudowania legendy dla danego człowieka.

Funkcjonariusz wywiadu musiał się nauczyć swojego nowego życiorysu, ale też mieć na to pokrycie w papierach. Jednak nawet najlepsze dokumenty nie dają gwarancji sukcesu, bo zdarzają się sytuacje nie do przewidzenia.

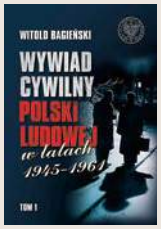

WITOLD BAGIEŃSKI
„WYWIAD CYWILNY POLSKI LUDOWEJ W LATACH 1945–1961", T. 1–2
IPN

Na przykład?

Najbardziej znany przypadek wpadki związanej z nielegałami dotyczy Jerzego Kaczmarka. Doszło do niej w połowie lat 80. Kaczmarek został wysłany do RFN, bazował na legendzie sieroty, pozostawionej przez matkę Niemkę, która tuż po wojnie uciekła z Pomorza do Niemiec. Taki człowiek faktycznie żył w Polsce w Trójmieście. Funkcjonariusze wywiadu odkryli jego historię i „ukradli" jego tożsamość.

Pięknie nazywano takich ludzi w żargonie wywiadu PRL – „dawca sytuacji wtórnikowej".

(Śmiech) Wtórnik to osoba podstawiana. To rzadki typ operacji, ponieważ jest ona bardzo trudna do skoordynowania – klon powinien być maksymalnie zbliżony do oryginału. Jerzy Kaczmarek został przerzucony do RFN i był bardzo pożyteczny dla wywiadu, ponieważ znalazł zatrudnienie w urzędzie zajmującym się opieką nad nowo przybyłymi do Niemiec imigrantami. Miał więc dostęp do bardzo interesujących danych.

Na nieszczęście dla wywiadu PRL „dawca sytuacji wtórnikowej" zaczął szukać swoich korzeni i za pośrednictwem niemieckich turystów przekazał zapytanie do RFN. Bezpieka inwigilowała jego korespondencję, ale nikt nie przewidział, że skorzysta on z takiej metody komunikacji. Szybko okazało się, że taki człowiek już w Niemczech istnieje, a całą sprawą zainteresował się kontrwywiad RFN... Mozolnie przygotowywana misja Kaczmarka została spalona, a ona sam trafił

eprasa.pl feb53ef4b7

za kratki. Po pewnym czasie wrócił do PRL w ramach akcji wymiany szpiegów.

Jak widać, nielegalny wywiad PRL miał na swoim koncie kilka sukcesów, ale w 1960 r. zdarzyła mu się też prawdziwa katastrofa. Kim był kpt. Władysław Mróz?

Był to szef komórki legalizacyjnej wywiadu z lat 50., który znał tożsamość niemal wszystkich ówczesnych nielegałów. Z czasem sam został jednym z nich i działał we Francji. W nieznanych bliżej okolicznościach zdecydował się przejść na stronę Francuzów. To dosłownie wysadziło w powietrze wydział ds. nielegałów.

Co się działo wtedy w centrali w Warszawie?

Kiedy niepokojące przesłanki się potwierdziły, kierownictwo wywiadu zdecydowało się na radykalne działania. Trzeba było błyskawicznie ściągnąć do kraju wszystkich nielegałów, aby uniknęli aresztowania. Ta skomplikowana operacja została przeprowadzona bardzo sprawnie. Równocześnie postanowiono też wyeliminować zdrajcę. Został zastrzelony w październiku 1960 r. na przedmieściach Paryża.

Czy to, że Mróz może tak właśnie skończył, nie było dosyć oczywiste?

Nie do końca. Takie zabójstwa to ostateczność i w przypadku wywiadu PRL po 1956 r. prawie się nie zdarzały. Wprawdzie w filmach szpiegowskich służby specjalne cały czas mordują ludzi, ale w prawdziwym życiu tak nie jest. Przygotowanie takiej operacji jest niezwykle trudne. Państwo wysyłające grupę zabójców zawsze musi się liczyć z wybuchem olbrzymiego skandalu międzynarodowego, jeżeli likwidatorzy wpadną albo pozostawią po sobie ślady. Pokazała to choćby niedawna sprawa Siergieja Skripala. Po sprawie Mroza Wydział „N" został rozwiązany, ponieważ został całkowicie spalony. To był olbrzymi cios dla wywiadu, który na długi czas wpłynął na morale funkcjonariuszy. Wydział został reaktywowany dopiero po 10 latach i funkcjonował aż do 1990 r.

Które lata były złotymi dla wywiadu PRL w kontekście nielegałów?

Moim zdaniem wczesne lata 80. Wszystko, co zostało wypracowane w latach 50., zniweczyła sprawa Mroza. Można śmiało założyć, że gdyby nie ta historia, prawdopodobnie osiągnięcia nielegalnego wywiadu PRL na tym polu byłyby dużo większe. W latach 70. zaczęto wszystko od niemal nowa. Funkcjonariusze z pionu „N" stopniowo „wyrabiali się" i przerzucano kolejnych ludzi. Praca Wydziału „N" zaowocowała, kiedy to nowe pokolenie szpiegów zaklimatyzowało się na Zachodzie. Dopiero wpadka Jerzego Kaczmarka w 1985 r. zahamowała ten korzystny dla Departamentu I trend.

Żołnierze amerykańscy i funkcjonariusze niemieckiej straży granicznej FOT. WIKIPEDIA

W latach 70. władze PRL fetowały sukcesy Andrzeja Czechowicza – szpiega, który otwierał przed komunistycznym wywiadem sekrety Radia Wolna Europa. Czechowicz został ściągnięty z RFN do Polski, kiedy zawisła nad nim groźba zdemaskowania. Po powrocie do PRL wziął udział w wielkiej kampanii propagandowej przeciw RWE. To nazwisko bardzo często pojawia się w kontekście PRL-owskich nielegałów.

Tylko że Czechowicz nie był nielegałem, choć ostatecznie został przez wywiad „ukadrowiony". Czechowicz sam uciekł na Zachód. Do podjęcia współpracy doszło, gdy mieszkał już w RFN. Z własnej woli skontaktował się z placówką PRL w Berlinie. Dostrzeżono w nim interesującego kandydata na agenta i zwerbowano. Jego praca w RWE była bardzo cenna dla Warszawy. Działalność tej rozgłośni doprowadzała przecież do szału PRL-owskich dygnitarzy, którzy nie mogli darować RWE przede wszystkim upubliczniania „brudów" na ich własny temat. Nawiasem mówiąc, często te informacje podrzucane były przez innych partyjniaków w ramach zakulisowych walk frakcyjnych.

Andrzej Czechowicz umiał dotrzeć do nazwisk ludzi, którzy byli informatorami RWE, i miał znakomitą wiedzę o kulisach funkcjonowania rozgłośni. Nie zajmował w niej eksponowanego stanowiska, ale to był jego atut – ludzie ze ścisłego kierownictwa ważnych instytucji znajdują się bowiem na świeczniku i trudno jest ich obsługiwać wywiadowczo. Ryzyko wpadki jest w takich przypadkach dużo większe. Dlatego zawsze łatwiej i bezpieczniej jest pracować z osobami nierzucającymi się tak w oczy – np. sekretarkami czy asystentami – którzy mają możliwość podglądania sekretów decydentów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

dr Witold Bagieński – jest historykiem z IPN, autorem wielu prac na temat PRL-owskich służb specjalnych, m.in. książki „Wywiad cywilny Polski Ludowej w latach 1945–1961".

eprasa.pl feb53ef4b7

1949 r. / Aresztowanie André Robineau

Wpadka francuskiego szpiega

Sławomir Koper

Służby PRL wzięły na celownik francuskiego dyplomatę. Pomogły im w tym piękne kobiety, z którymi Francuz zabawiał się w Szczecinie

Pod szczególnie uważną obserwacją kontrwywiadu pozostawali przebywający nad Wisłą obywatele państw zachodnich. Już w 1947 r. aparat bezpieczeństwa PRL otrzymał polecenie „systematycznej likwidacji powstających na terenie kraju ośrodków działalności obcych wywiadów".

W tym okresie największe zainteresowanie wzbudzali obywatele Francji. Polska tradycyjnie miała z tym krajem liczne kontakty, był to również okres powrotów nad Wisłę wielu górników, którzy wiele lat przepracowali we francuskich kopalniach. Imigranci osiadali najczęściej na tzw. Ziemiach Odzyskanych, to właśnie oni stanowili załogi kopalń Dolnego Śląska i Zagłębia. Wśród repatriantów znajdowali się również współpracownicy francuskiego wywiadu, uczciwie bowiem należy przyznać, że – pomimo całej szpiegowskiej histerii – PRL rzeczywiście była infiltrowana przez wywiady państw zachodnich.

André Simon Robineau pochodził z mieszanego małżeństwa – jego ojciec (także André), nauczyciel Liceum Francuskiego w Warszawie, ożenił się z Polką, Eugenią Ciechanowską. Przyszły agent urodził się wprawdzie w Paryżu, ale młodość spędził w Polsce, uczył się w szkole, w której pracował ojciec.

We wrześniu 1939 r. Robineau senior opuścił Warszawę i przez Rumunię przedostał się do Francji. W Warszawie pozostała natomiast jego rodzina (żona i dzieci), którzy jako obywatele francuscy trafili w kwietniu 1940 r. do obozu dla internowanych w Konstancji nad Jeziorem Bodeńskim. Po klęsce Francji zostali zwolnieni, wówczas nastoletni Robineau przez Lizbonę trafił do Wielkiej Brytanii,

André Simon Robineau na sali sądowej

FOT. ALAMY/PAP

eprasa.pl feb53ef4b7

gdzie zaciągnął się do Wolnych Francuzów. Skierowano go do marynarki, pływał we flotylli ścigaczy. Po zakończeniu wojny podjął studia z zakresu dekoratorstwa wnętrz, nigdy ich jednak nie ukończył. Natomiast gdy ojca mianowano sekretarzem generalnym Instytutu Francuskiego w Warszawie, razem z nim powrócił w 1947 r. do Polski. I tutaj niebawem miała się zacząć jego szpiegowska kariera.

Wprawdzie Robineau twierdził, że został zwerbowany do pracy w wywiadzie dopiero nad Wisłą, ale trudno w to uwierzyć. Wychowany w Polsce, z chwalebną wojenną przeszłością, zapewne już wcześniej stał się obiektem zainteresowania wywiadu. Tym bardziej że jego ojciec miał objąć eksponowane stanowisko w Warszawie, natomiast André miał nad Wisłą wielu znajomych z okresu przedwojennego.

Oficjalnie pracował jako bibliotekarz w Instytucie Francuskim, ale była to tylko przykrywka dla jego prawdziwej działalności. Przez kilka miesięcy odnawiał stare znajomości i zapoznawanie się z charakterem nowej, komunistycznej Polski. Niebawem zresztą wyjechał do Gdyni, gdzie został zatrudniony jako sekretarz francuskiego towarzystwa klasyfikacyjnego statków handlowych Bureau Veritas. Zapewne wtedy też zapoznał się ze specyfiką życia na Wybrzeżu, co miało mu istotnie pomóc w następnych miesiącach. Jego przeznaczeniem był bowiem Szczecin – największe miasto zachodniego Pomorza i stolica pomorskich Ziem Odzyskanych.

André i kobiety

Robineau pojawił się tam w czerwcu 1948 r. i objął posadę sekretarza miejscowego konsulatu. Jego przyjazd szybko okazał się lokalną sensacją. 24-letni dyplomata (mówiący po polsku!), przystojny i wysportowany, dysponujący dużą gotówką, błyskawicznie nawiązał kontakty towarzyskie. Bywał w miejscowych lokalach, dużo wydawał, uwodził (skutecznie!) szczecińskie piękności. Pozował na playboya, ale nie zapominał o głównym celu swojej działalności. Błyskawicznie poznał ludzi chętnych do współpracy, wrogów nowego ustroju i osoby w tarapatach finansowych. Tych było znacznie więcej niż jawnych antykomunistów, a jednym z nich okazał się pracownik Instytutu Francuskiego, Kazimierz Rachtan.

Natomiast innym współpracownikiem został obywatel francuski, Gaston Druet. Podczas wojny trafił do obozu jenieckiego pod Słupskiem, a po uwolnieniu pozostał w Polsce, nawiązując jednocześnie romans z miejscową Niemką. Na co dzień zajmował się naprawą odbiorników radiowych, planował jednak wyjechać na Zachód razem z przyjaciółką. Współpraca z Robineau miała im zapewnić potrzebne dokumenty wyjazdowe.

Zdeklarowanym wrogiem ustroju komunistycznego okazał się natomiast Bronisław Sokół-Klimczak – były współpracownik kontrwywiadu II RP, a podczas okupacji członek podziemia niepodległościowego i więzień hitlerowskich obozów koncentracyjnych. W chwili poznania Robineau pracował w paramilitarnej Powszechnej Organizacji „Służba Polsce", której działalność była obiektem zainteresowania obcych wywiadów.

Robineau nie gardził żadnym źródłem informacji. W jego siatce znaleźli się również pracownicy Dyrekcji Lasów Państwowych, którzy w związku ze specyfiką swojego zawodu często przemieszczali się w terenie, nie wzbudzając żadnych podejrzeń. Z perspektywy czasu zaskakuje rozległość zainteresowań francuskiego agenta. Oprócz celów typowo militarnych (lotniska, jednostki wojskowe, baterie artylerii nadbrzeżnej) interesowały go również aspekty gospodarcze. Zwracał dużą uwagę na działalność sklepów mięsnych, bo doskonale wiedział, że w czasach PRL mięso było tematem wybitnie politycznym.

Nie zauważył jednak, że znajduje się pod ścisłą obserwacją polskiego kontrwywiadu. O jego losach zadecydowała pewna pracownica ambasady francuskiej w Warszawie. Była sekretarką attaché wojskowego, gen. Georges'a Teyssiera, i miała dostęp do spływających na jego biurko raportów wywiadu i sprawozdań. Kopiowała dokumenty i przesyłała je na Rakowiecką.

Dużą rolę w rozpracowywaniu Francuza przez służby PRL odegrały kobiety, z którymi był związany podczas pobytu w Szczecinie. Preferował mężatki, zapominając zupełnie, że bywają bardziej podatne na szantaż ze strony kontrwywiadu. Początkowo nawiązał romans z żoną sekretarza konsulatu, René Bertina, występując jako pocieszyciel, gdyż pan sekretarz porzucił swoją małżonkę i wyjechał do Francji z inną kobietą. Polskie władze uznały, że jest to znakomity powód do skłonienia pani Bertin do współpracy, co poszło tym łatwiej, że Robineau zdążył się nią już znudzić. Kochliwy Francuz zainteresował się kolejną mężatką, Jadwigą Sarnowską, co nie uszło uwagi funkcjonariuszy. Śledzono ją, a podczas spotkań z Robineau robiono zdjęcia, które miały później służyć do werbunku.

Jadwiga nigdy nie przyznała się do współpracy z francuskim wywiadem, a sądząc z jej zeznań, starała się chronić swojego partnera. Nie wiemy, czy z Robineau łączyło ją coś więcej niż seks, na pewno jednak nie zeznawała na jego niekorzyść. Stanęła przed sądem w maju 1950 r. i została skazana na trzy lata więzienia. Nie wiadomo, jak potoczyły się jej dalsze losy.

Zatrzymany na Okęciu

Pod koniec 1949 r. Robineau postanowił wyjechać na urlop do Francji, na lotnisko miał odprowadzić go ojciec. 18 listopada o godz. 7 obaj pojawili się na Okęciu, gdzie w trakcie odprawy André junior został poproszony do pokoju celników. Inni pasażerowie kolejno zajmowali miejsca w samolocie, natomiast André zniknął. Na pokład nie zabrano również jego bagażu, chociaż celnicy upierali się, że Francuz wsiadł do maszyny.

Zdesperowany Robineau senior pojechał do swojej ambasady, a niedługo później na Okęciu pojawił się jej pierwszy sekretarz, Raymond Laporte. Dyplomata nie uwierzył w historię o odlocie André do Paryża bez bagażu. Następnie otrzymał listę pasażerów

eprasa.pl feb53ef4b7

Robineau spędził tylko trzy lata w więzieniu, po czym wyjechał do Francji FOT. NAC

z wykreślonym nazwiskiem swojego podwładnego. Skontaktował się też z lotniskiem w Brukseli, gdzie samolot miał międzylądowanie i gdzie potwierdzono, że Robineau nie było na pokładzie. Następnego dnia strona polska oficjalnie przyznała, że młody Francuz został zatrzymany za działalność szpiegowską. Razem z nim aresztowano jego współpracowników – śledztwo zataczało coraz szersze kręgi, sprawę uznano za rozwojową i już niebawem zamieszanych było w nią blisko sto osób. To okazja, której polskie władze nie mogły nie wykorzystać.

Francuz załamal się drugiego dnia przesłuchań i rozpoczął wzorową współpracę z prokuraturą. Nie wiadomo, jakie były przyczyny takiego postępowania, nie wydaje się bowiem, by był torturowany. Być może przedstawiono mu niepodważalne dowody działalności szpiegowskiej i walczył już tylko o złagodzenie wyroku. Wizja szubienicy stała się bowiem bardzo realna.

Razem z Robineau przed sądem w Szczecinie stanęło pięciu jego współpracowników. Władze starannie dobierały ich z grona osób aresztowanych, toteż na ławie oskarżonych zasiedli przedstawiciele różnych odmian „wrogów Polski". Czyli „sanacyjny oficer kontrwywiadu i obozowy kapo" (Bronisław Sokół-Klimczak), „dezerter z Ludowego Wojska Polskiego" (Stefan Pielacki), „kosmopolita" i „sutener" (Kazimierz Rachtan). A do tego jeszcze jeden Francuz (Gaston Druet) mieszkający od lat z niemiecką partnerką w Słupsku i okazujący niewdzięczność swojej nowej ojczyźnie. Wśród świadków nie zabrakło również oczekującego na swój proces „członka Hitlerjugend", a nawet „białego Rosjanina".

Proces był wielką pokazową imprezą. Na ulicach Szczecina ustawiono ogromne głośniki, za pomocą których na żywo transmitowano przebieg rozprawy. Sprawozdania z sądu pojawiały się codziennie w ogólnopolskim programie radiowym, a także w centralnej i regionalnej prasie.

Migawki z procesu, opatrzone oczywiście odpowiednimi komentarzami, trafiły też do „Polskiej Kroniki Filmowej". Na szczególną uwagę zasługiwały zgodne samooskarżenia podsądnych przypominające moskiewskie rozprawy z lat 30. Na twarzach oskarżonych można było dostrzec ślady tortur, a wyjątkiem był tylko Robineau, który uśmiechał się i sprawiał wrażenie całkowicie odprężonego. Tak jakby był zupełnie spokojny o swój los.

Proces toczył się przed sądem wojskowym, a jego przewodniczący, ppłk Alfred Janowski, znany był z częstego orzekania kary śmierci (w latach 1946–1956 zdarzyło mu się to 13 razy). Zachowywano jednak pozory praworządności – oskarżeni Francuzi dostali adwokatów z wyboru, zapewniono im również tłumaczy. Robineau bowiem, chociaż dobrze znał język polski, wolał zeznawać po francusku. Po jednym dniu zmieniono zresztą tłumacza, gdyż używał zbyt prostego języka i nie potrafił w odpowiednio barwny sposób oddać specyfiki szpiegowskiej działalności Robineau… Nie ograniczono się zresztą do przekładu z francuskiego i gdy zeznawała narzeczona Drueta, na sali pojawił się tłumacz z niemieckiego. Nic przecież nie mogło ujść uwagi publiczności.

Centralną postacią procesu był oczywiście Robineau, który już pierwszego dnia przyznał się do winy. Głównym celem oskarżenia było udowodnienie, że francuskie przedstawicielstwa dyplomatyczne stanowiły w rzeczywistości rezydentury wywiadu. Było to zresztą zgodne z prawdą, jednak dokładnie tak samo postępowali polscy dyplomaci nad Sekwaną. Nie bez powodu z Francji co chwila wydalano polskich urzędników, a w przypadku wicekonsula Józefa Szczerbińskiego zastosowano nawet areszt. Napięcie osiągnęło takie rozmiary, że w Ambasadzie Francji w Warszawie szykowano się już do ewakuacji i palono tajne dokumenty. W tej sytuacji w Szczecinie musiały zapaść wyroki skazujące, a oskarżeni powinni oficjalnie przyznać się do działalności szpiegowskiej.

Wyrok

Prokurator, ppłk Kazimierz Golczewski, w mowie końcowej dał popis prawdziwego stalinowskiego krasomówstwa. To był naprawdę właściwy człowiek na właściwym miejscu. Według niego wszystko w dotychczasowym życiu Robineau było wstrętne i wrogie postępowi.

Jednak największym zbrodniarzem zarówno dla sprawozdawców sądowych, jak i dla sądu miał się okazać Polak: Sokół-Klimczak. Wobec byłego oficera II RP, który z patriotycznych pobudek przystąpił do współpracy z Robineau, prokurator nie miał litości: „[…] wyzuty z wszelkiego poczucia uczciwości, który za pieniądze sprzedaje własny kraj i własny naród […]. Ojczyzną tego człowieka nie jest Polska Ludowa. Ojczyzną jego jest zdegenerowana emigracja londyńska i stamtąd on pochodzi, ten zawodowy szpieg. Kupczący własnym krajem, sprzedający Polskę za judaszowe srebrniki".

Golczewski zażądał surowych wyroków: kary śmierci dla Sokoła-Klimczaka i Stefana Pielackiego oraz długoletniego więzienia dla pozostałych. W odpowiedzi Robineau zaskoczył wszystkich i w swoim ostatnim słowie zadeklarował „podziw dla gigantycznego wysiłku Polaków w dziele rekonstrukcji" kraju. Nie prosił o litość, zapewne wiedział, że nie dostanie kary śmierci.

Faktycznie, najwyższy wymiar kary orzeczono tylko wobec Sokoła-Klimczaka (wyrok wykonano), a pozostali oskarżeni zostali skazani na długoletnie więzienie. Robineau dostał 12 lat, co może sugerować, że władze dotrzymały układu zawartego z Francuzem. Spędził w polskim więzieniu tylko trzy lata. W grudniu 1953 r. został ułaskawiony, co prawdopodobnie stało się w ramach polsko-francuskiej wymiany szpiegów. Inna sprawa, że po śmierci Stalina powoli normalizowano stosunki z dawnym sojusznikiem i nie dążono już do konfrontacji.

Po powrocie nad Sekwanę Robineau pozostał w służbie wywiadu, wiadomo również, że w latach 70. działał w Afryce Zachodniej. Podobno do końca życia miło wspominał lata spędzone nad Wisłą, ale nigdy nie wypowiadał się na temat swojej działalności, sprawy sądowej i pobytu w więzieniu. W 1982 r. zmarł na chorobę nowotworową, zabierając do grobu tajemnicę swojego zachowania podczas szczecińskiego procesu…

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl feb53ef4b7

Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

SZCZEGÓŁY NA **WWW.GINTROWSKI.PL**
LUB **FUNDACJA@GINTROWSKI.PL**

MECENAS KONCERTU: ORLEN

PARTNER: PPL

PARTNER WSPIERAJĄCY: WARS

PATRONI MEDIALNI: wprost, DO RZECZY

eprasa.pl feb53ef4b7

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

„Nieświadomi” / Czy żyjemy w iluzji?

Wielka gra KGB

Piotr Zychowicz

Czeski serial „Nieświadomi” ukazuje kulisy operacji sowieckiego wywiadu. I stawia pytania o ich rolę w trakcie obalania komunizmu

Ależ ten czas leci! To już 11 lat… Jedenaście la temu, w 2009 r., przedwcześnie zmarł wybitny polski historyk prof. Paweł Wieczorkiewicz. Na krótko przed tym tragicznym wydarzeniem przeprowadziłem z nim duży wywiad na temat „białych plam” w historii Rzeczypospolitej.

Rozmowa zeszła na upadek komunizmu w Europie Środkowo-Wschodniej w latach 1989–1991. Profesor przychylał się do opinii, że „transformacja ustrojowa” była wielką operacją tajnych służb bloku sowieckiego, które postanowiły usunąć z gry partię komunistyczną, aby zachować realną kontrolę nad państwami regionu. Do tego służby te potrzebowały zaś agentów w strukturach opozycji.

PROF. PAWEŁ WIECZORKIEWICZ: Rezydent sowieckiego wywiadu w Polsce gen. Pawłow w swoich pamiętnikach pisał, że w połowie lat 70. dostał polecenie z Moskwy, żeby nie budować już agentury sowieckiej w partii władzy. Nie miało to już sensu. Kazano mu wziąć się do opozycji, która być może kiedyś przejmie władze. Agentura umieszczona wewnątrz Solidarności zostaje odpowiednio poinstruowana, służby rozgrywają swoją partię. A potem już idzie samo: Okrągły Stół, wybory, wyprowadzenie sztandaru PZPR i utworzenie nowego układu. Z ludźmi bezpieki na górze, a właściwie w cieniu. Dzisiejsze partie polityczne mogą być nie tylko zinfiltrowane, ale nawet stworzone przez sowiecki, a później rosyjski wywiad. I nie muszą to być partie lewicowe.

PIOTR ZYCHOWICZ: Czyli służby naszego wschodniego sąsiada nadal działają na wielką skalę w naszym kraju?

PROF. PAWEŁ WIECZORKIEWICZ: To były i są najlepsze, najbardziej sprawne służby na świecie. Służby, które łączą bezwzględność z wielkimi koncepcjami i potrafią patrzeć daleko do przodu. Nie jest tajemnicą, że kopie akt polskiej bezpieki szły do Moskwy. Oni mają wszystko i dzięki temu do dziś kontrolują wielu agentów. Agentury tej prędko nie odkryjemy. Jednak warto mieć świadomość, że tacy ludzie u nas działają. I to na najwyższych szczeblach.

Czy rzeczywiście na szczytach polskiej polityki znajdują się byli opozycjoniści z czasów PRL, którzy tak naprawdę byli (i są!) agentami KGB? Słowa prof. Pawła Wieczorkiewicza przypomniałem sobie kilka dni temu, oglądając na HBO GO czeski serial szpiegowski „Nieświadomi” („Bez vědomí”).

Cóż za znakomity serial. Jego akcja rozgrywa się w Pradze jesienią w 1989 r., a więc w momencie, gdy pada komunizm. Sowieckie tajne służby przystępują wówczas do wielkiej rozgrywki, której stawką jest przejęcie kontroli nad przyszłym demokratycznym rządem Czechosłowacji.

Przeszkodzić im w tym próbuje oficer brytyjskiego wywiadu, który musi walczyć nie tylko z Sowietami, lecz także z własną strukturą wywiadowczą.

Głównymi bohaterami serialu jest czeskie małżeństwo o nazwisku Skala. On jest słynnym dysydentem, któremu w 1977 r. udało się w dramatycznych okolicznościach uciec do Londynu. Na fali entuzjazmu wywołanego zmianami zachodzącymi w ojczyźnie Skala decyduje się wraz z żoną wrócić do kraju. W samą porę, by dostać się w sam środek wojny wywiadów.

W idącą praską ulicą parę uderza z impetem czarny samochód. Żona Skali odzyskuje przytomność w szpitalu, aby dowiedzieć się, że jej mąż zaginął bez śladu… Rozpoczyna się niezwykle niebezpieczne prywatne śledztwo, w trakcie którego Skalowa dowie się rzeczy, które wywrócą do góry nogami całe jej życie.

Tym z państwa, którzy nie oglądali serialu, nie chcę zdradzać zbyt dużo i psuć zabawy.

Napiszę tylko tyle, że…

- Twórcy „Nieświadomych” w fantastyczny sposób, z niezwykłą dbałością o szczegóły, odtworzyli realia komunistycznej Czechosłowacji lat 70. i 80.
- Serial w bardzo wierny, realistyczny sposób pokazuje działania sowieckich, czeskich i brytyjskich tajnych służb. Ze szczególnym uwzględnieniem operacji wykorzystujących tzw. nielegałów.
- Jego wymowa jest bardzo, bardzo niepoprawna politycznie.

Jeżeli bowiem kulisy obalenia komunizmu wyglądały tak, jak ukazano je w serialu, to wszyscy żyjemy w wielkiej iluzji…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl feb53ef4b7

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI 2020

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

PARTNER

Grupa Inwest®

HM Inwest S.A.

eprasa.pl feb53ef4b7

Jakub Ostromęcki

Ta sprawa wstrząsnęła Francją. Żydowski oficer został oskarżony o zdradę i postawiony przed sądem. Jak historię tę opowiedział Roman Polański?

Francja / „Oficer i szpieg" Romana Polańskiego

Sprawa Dreyfusa

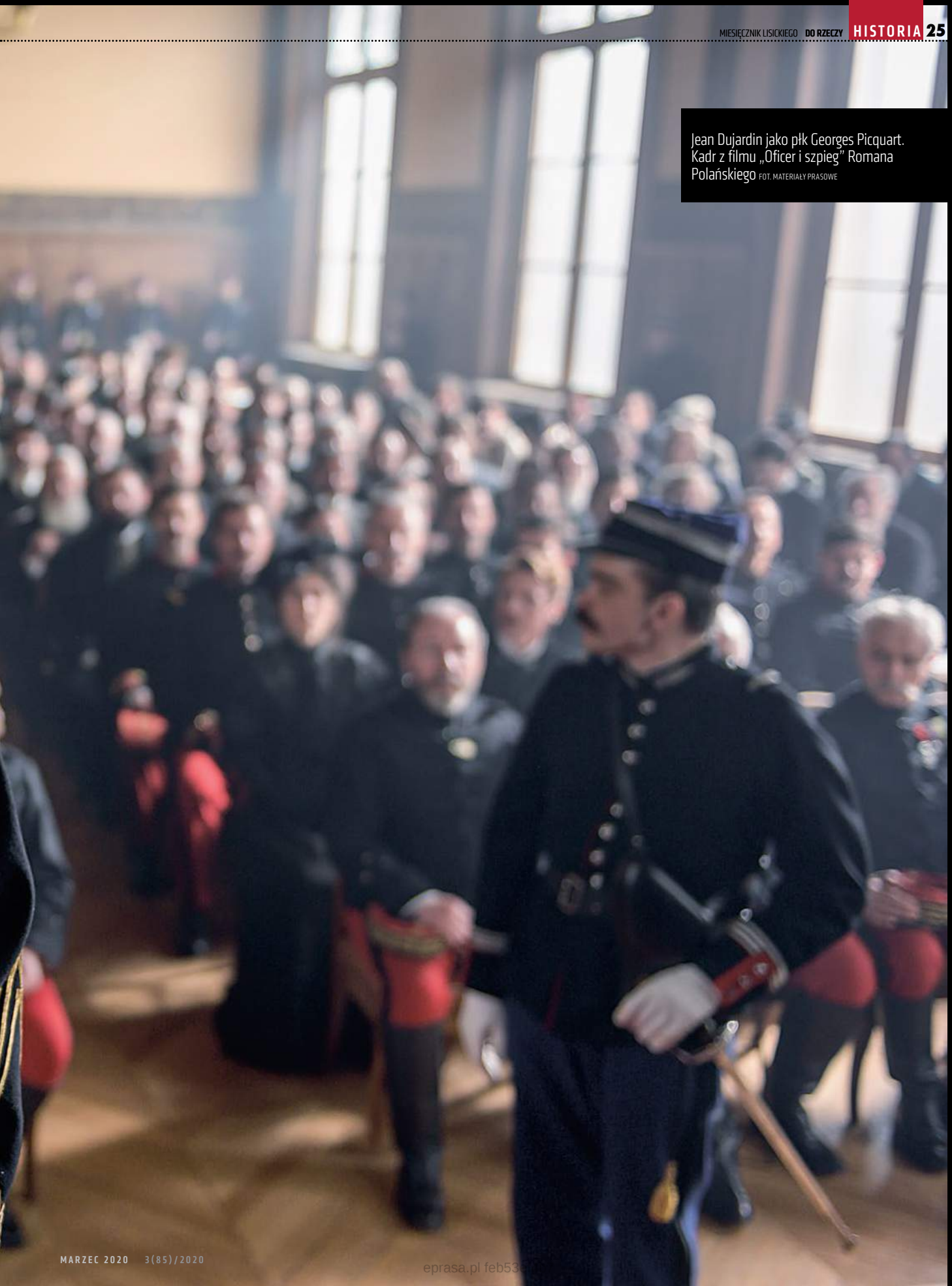

Jean Dujardin jako płk Georges Picquart. Kadr z filmu „Oficer i szpieg" Romana Polańskiego FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl feb53

Alfred Dreyfus po rehabilitacji podczas rozmowy z gen. Gillain, 1906 r.
FOT. ARCHIWUM

Od pierwszych sekund filmu „Oficer i szpieg" widać, że Polański potraktował fakty historyczne bardzo serio. Dziedziniec szkoły wojskowej w pobliżu Pól Marsowych w Paryżu, ustawienie kompanii, warczące werble i komendy, zerwanie insygniów z munduru skazanego, postawa i gest oficera łamiącego szablę Dreyfusa. Wszystko wygląda dokładnie tak jak na rysunku uwiecznionym ponad 120 lat temu w „Le Petit Journal" przez Henriego Meyera. Nawet styczeń jest tu typowo paryski. Niezbyt mroźny, za to wietrzny, wilgotny, pochmurny.

Polański relacjonuje aferę Dreyfusa chronologicznie i drobiazgowo od jego degradacji do rehabilitacji w 1906 r. Tylko dwukrotnie, za pomocą krótkich retrospekcji, wraca do wydarzeń sprzed stycznia 1895 r. Pierwsza z nich fabularyzuje, bardzo wszak prawdopodobne, spotkanie Picquarta-wykładowcy i Dreyfusa-studenta w kuluarach Akademii Saint-Cyr. Druga retrospekcja przedstawia mistyfikację utkaną przez oficerów śledczych w Sztabie Generalnym mającą zmusić Dreyfusa do przyznania się do szpiegowania na rzecz Niemiec.

W ciągu całej opowieści słyszymy zdania rzeczywiście wypowiedziane w salach sądowych czy gabinetach sztabu generalnego. Nawet aktorów dobrano tak, by maksymalnie przypomniały uczestników jednej z najsłynniejszych afer w dziejach Francji. Polański daje nam też solidną lekcję historii życia codziennego i kultury materialnej końca XIX w. Wszystkie podłogi w tym filmie trzeszczą i skrzypią. Drzwi szafek i gabinetów wydają drewniany pogłos. Ani śladu

eprasa.pl feb53ef4b7

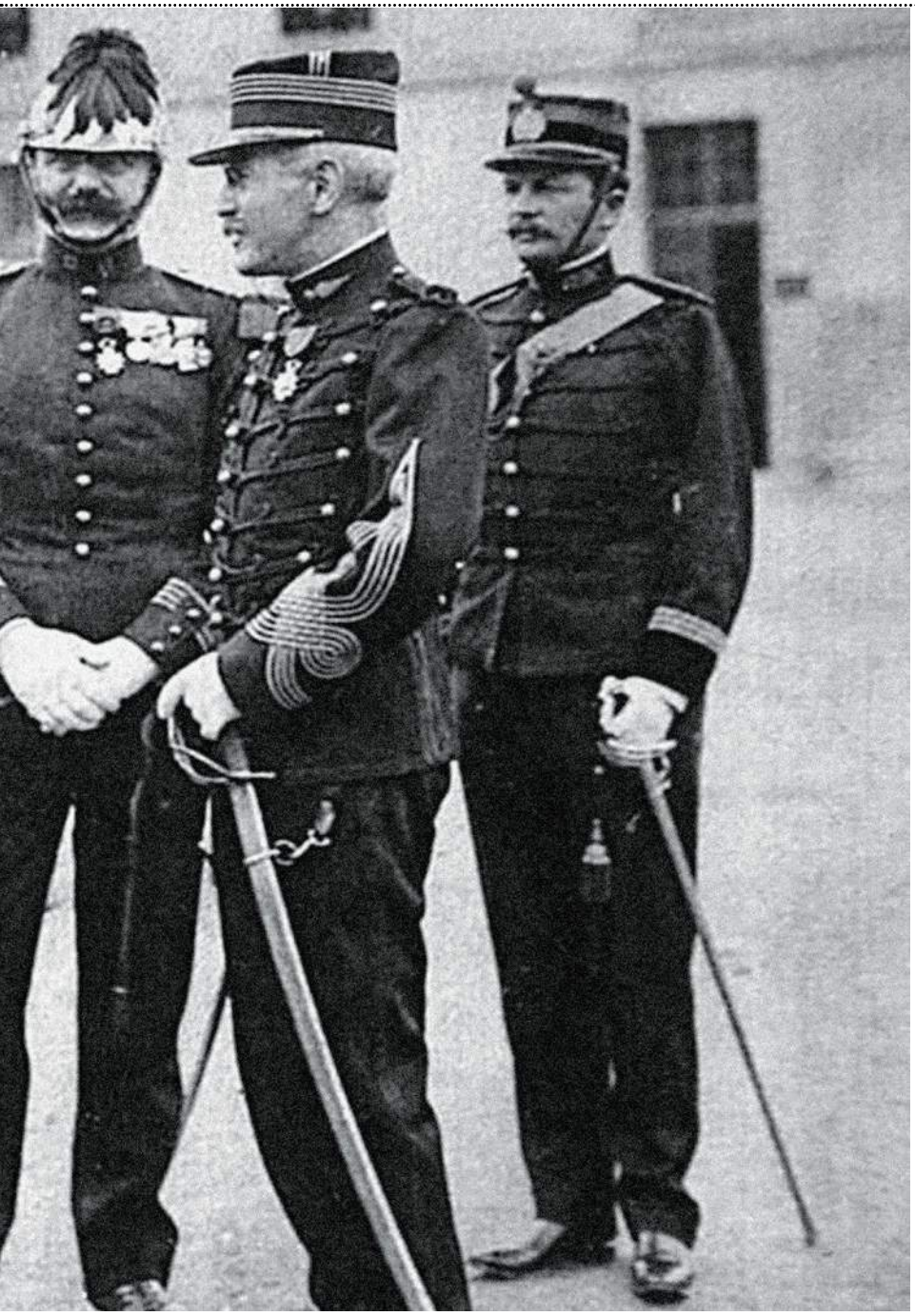

Alfred Dreyfus w mundurze kapitana

FOT. WIKIPEDIA

tworzyw sztucznych. W domach bohaterów pełno materialnych zdobyczy drugiej fazy rewolucji przemysłowej – śmieszne wanny na pałąkowatych nóżkach, ciężka armatura, piece, misternie zdobione, czasem pokraczne naczynia. Trzeba mieć jednak świadomość, że przedmioty te można było znaleźć tylko w domach wyższych oficerów i generalicji. Mieszkania drobnomieszczańskie były dużo skromniejsze.

Przypomnijmy najważniejsze akty zrelacjonowanej tu sprawy Dreyfusa. W 1896 r. szefem francuskiego kontrwywiadu wojskowego zostaje ppłk Picquart. Po kilku miesiącach zabiera się do analizy podartej notatki wykradzionej z niemieckiej ambasady. Dokument wskazuje, że wśród francuskich wyższych oficerów w dalszym ciągu ryje kret. W toku śledztwa okazuje się nim mjr Esterhazy. Picquart nabiera pewności, że kpt. Dreyfus, więziony wówczas na samotnej wyspie u wybrzeży Gujany, jest niewinny.

To jednak dopiero początek. Wyższe szarże, począwszy od zastępcy szefa sztabu, a skończywszy na ministrze wojny, nie chcą więcej słyszeć o żadnym Dreyfusie. Sugerują niedwuznacznie Picquartowi, aby zbytnio nie angażował się w śledztwo przeciw Esterhazy'emu i w obronie „tego Żyda Dreyfusa". Picquart poszukuje zatem sojuszników wśród francuskich intelektualistów, polityków i prawników – na czele z Emilem Zolą. Podpułkownik zostaje odsunięty od sprawy, potem skierowany do kolonii, nawet aresztowany. Nie daje jednak za wygraną i wraz z odważnymi prawnikami i pisarzami doprowadza w końcu do ułaskawienia niesłusznie skazanego oficera.

Antysemityzm z bagietką

Polański rzadko każe wychodzić postaciom poza gabinety, sale sądowe, sypialnie, dziedzińce czy kawiarnie. Jedna z takich plenerowych scen ukazuje paryski tłum wściekły na słynną publikację Emila Zoli „J'Accuse", w której oskarża on całe dowództwo francuskiej armii o niesłuszne skazanie Dreyfusa i tuszowanie całej afery. Tłuszcza wybija szyby w żydowskim sklepie, na ścianie maluje obelgi, pali na stosie książki Zoli.

eprasa.pl feb53ef4b7

Chociaż Polański w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej" przeprowadzonym z okazji premiery filmu zaznaczył wyraźnie, że w drugiej połowie XIX w. antysemityzm francuski był dużo sroższy od polskiego, to „Oficer i szpieg" nie jest filmem o francuskim antysemityzmie ani o francuskim społeczeństwie. A szkoda. Nie wiemy bowiem, skąd się nad Sekwaną brały potężne fobie i resentymenty, jak wpłynęły na całą aferę i dlaczego armia tak uparcie brnęła w kłamstwa.

Na kilka lat przed sprawą Dreyfusa Francją wstrząsnęła inna afera – panamska. Budowa słynnego kanału, finansowana w latach 80. XIX w. przez francuskiego podatnika, przyniosła gigantyczne straty. Drobni ciułacze, którzy wykupili akcje firmy kierującej inwestycją, w kilka miesięcy potracili oszczędności całego życia. Okazało się, że kilku spekulantów emitujących akcje bez pokrycia było Żydami, a łapówki od nich brało podobno aż kilkuset parlamentarzystów. Francuski lud zatęsknił więc za rządami silnej ręki, które mogła zapewnić armia. Tylko ona mogła uratować ojczyznę od obcych: Żydów, Anglików, Niemców. Francuscy wojskowi chętnie widzieli się w tej roli. Nie mogli jednocześnie cały czas pogodzić się z upokorzeniem, jakie zgotowały im żelazne hufce Bismarcka w 1870 r. Publiczne przyznanie się do jakiegokolwiek błędu byłoby dla wojskowych kolejną klęską. Dla szerokich rzesz społeczeństwa, głównie dla ludzi wywodzących się z warstwy dziś określanej jako średnia-niższa, każde uderzenie w armię było uderzeniem we francuskość.

Michał Horoszewicz w książce „Sprawa Dreyfusa. Ostrzeżenie sprzed wieku" podaje kilka możliwych motywów niesprawiedliwego skazania Dreyfusa: „Wedle jednych Sprawa mogła być początkowo drobną pomyłką dochodzeniową, z której wycofanie się uznano za niemożliwe, domniemywano bowiem, że rzuci to cień na honor i nieomylność najwyższej generalicji. […] Doszukiwano się patriotycznego kamuflowania przed wywiadem niemieckim postępów w przygotowaniu szybkostrzelnego działa kaliber 75, jakim nie dysponowała armia cesarska". Przytacza też główne argumenty, którymi posługiwali się ówcześni wyznawcy kultu wojska, tacy jak Maurice Barrès, pisarz i teoretyk francuskiego nacjonalizmu: „Dreyfus to pole bitwy, na którym Francuz – zrodzony ze swej ziemi i swych zmarłych – musi przyjąć wyzwanie rzucone przez obywateli naturalizowanych oraz przez obcych". Poeta Charles Péguy, socjalista, stwierdzał, jeszcze zanim stał się zwolennikiem Dreyfusa: „narodu […] nie wolno narażać dla jednego człowieka, kimkolwiek by on był, jakkolwiek uzasadnione byłyby jego interesy czy prawa".

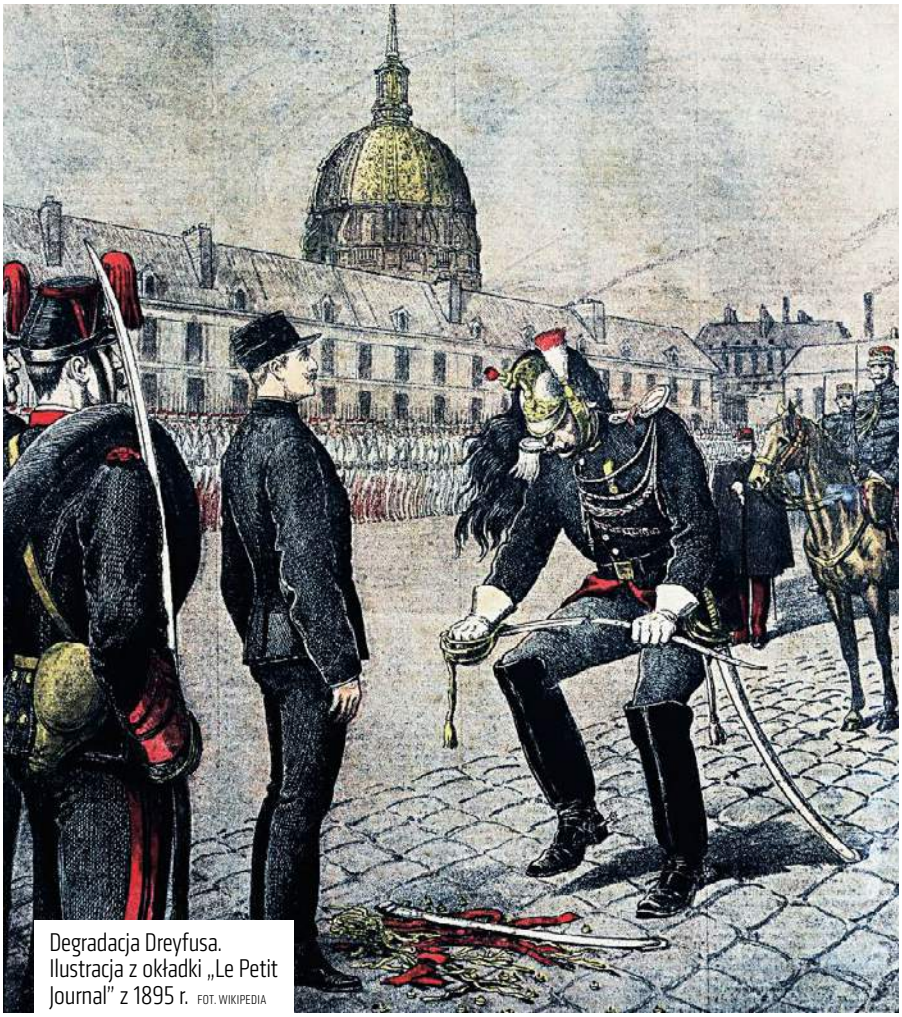

Degradacja Dreyfusa. Ilustracja z okładki „Le Petit Journal" z 1895 r. FOT. WIKIPEDIA

Horoszewicz ukazuje też nastroje społeczne ówczesnej Francji. Niechęć do Żydów zagnieździła się po każdej stronie sceny politycznej. „W nurcie antysemityzmu ekonomicznego mieściły się hasła »śmierć pasożytnictwu, wojna Żydom« (fourierysta Alphonse Toussnel, 1845) i poglądy Proudhona głoszącego, że »Żyd jest wrogiem rodzaju ludzkiego«, a »nienawiść do Żyda podobnie jak do Anglika należy ustanowić kanonem politycznej wiary Francuzów«". Antysemityzm przybierał nieraz formy groteskowe: „Nastąpiło tam przerzucanie na Żyda różnych lęków związanych z płciowością. Ujawniły się na przykład obawy przed rzekomym zamiarem obrzezania (niekiedy pojmowanym jako kastracja…) wszystkich Francuzów". Barrès dostrzegał „nos etniczny" i oblicze „pocące się zdradą", o której wnioskował po prostu „z jego rasy".

Horoszewicz, na podstawie liczby prenumeratorów skrajnie antyżydowskich pism wśród księży, wyliczył też, na ile owe postawy podzielał francuski kościół: „Można wysnuć domniemanie, że bardziej aktywny i uzewnętrzniony antysemityzm cechował znikomy procent duchowieństwa (1–2%). Przykładowo brak przekazów, by duchowieństwo […] w jakiejkolwiek formie szerzyło antysemityzm w szkołach. Oczywiście antyse-

eprasa.pl feb53ef4b7

mityzm »wyciszony« był rozleglejszy, ale jego rozmiarów nie da się określić".

Przedstawione w filmie ruchawki i awantury po publikacji artykułu Zoli nie były wcale najbardziej brutalne. „Pogromy w kilku miastach Algierii […] były dotkliwsze. Doliczono się kilkudziesięciu zabitych i wielu rannych, całe ulice ze sklepami w dzielnicy żydowskiej obrabowano, synagogi zbezczeszczono. I to właśnie tam powstała piosenka przewidująca wysłanie Żydów na Madagaskar". Horoszewicz na końcu jednego z rozdziałów swojej książki przytacza dość znamienną opinię reżysera Jeana Cherasse'a: „My, Francuzi, którzy wywołaliśmy »sprawę Dreyfusa«, jesteśmy równie odpowiedzialni za rozwój trendu antysemickiego jak naziści, którzy przemoc słowną przeobrazili w ludobójstwo". Film Polańskiego traci nieco z powodu braku ukazania owego klimatu ostatnich dekad XIX w.

Fałszywy przyjaciel

„W trudnych czasach jeden człowiek może zmienić bieg historii". To hasło promujące film. Chodzi w nim oczywiście o ppłk. Picquarta, który staje się liderem całego ruchu walczącego z bezdusznym i niesprawiedliwym wojskowym wymiarem sprawiedliwości. Philipe Oriol, francuski historyk specjalizujący się w aferze Dreyfusa, nie zgadza się z takim postawieniem sprawy. Historyk nie ukrywa, że przyspieszył pracę nad swoją kolejną książką „Le Faux ami du capitaine Dreyfus. Picquart, l'Affaire et ses mythes" („Fałszywy przyjaciel kapitana Dreyfusa. Picquart. Sprawa i jej mity"), wiedząc, że Polański pracuje nad filmem o słynnej aferze i że głównym pozytywnym bohaterem będzie tam właśnie Picquart. Według Oriola Picquart był zwykłym oportunistą, a antysemitą pozostał do końca całej sprawy.

Oriol nie odmawia oczywiście podpułkownikowi zdolności śledczych i poczucia sprawiedliwości. W wywiadzie dla portalu „Retronews" historyk mówił tak na temat roli Picquarta w wyjaśnieniu afery: „Aby podnieść alarm, trzeba wołać do ludzi. Leblois [adwokat – przyp. J.O.] był takim alarmistą, Scheurer-Kesner [przewodniczący Senatu – przyp. J.O.] nim był. Ale nie Picquart. Dokonał wielkiego odkrycia, starał się, aby sprawiedliwości stało się zadość, ale pogodził się ze swoją porażką. […] W niepublikowanych wspomnieniach podaje on wyjaśnienie swojej postawy. Faktycznie powiedział wówczas, iż nie zamierzał zabrać wiedzy o aferze do grobu, ale zapewnił jednocześnie generała Gonsa, że nie będzie działał zdecydowanie i szybko. […] Dziś wiemy, że nie miał nic wspólnego z wcześniejszymi przeciekami do prasy, za które był oskarżony. Prowadził nawet śledztwo w tej sprawie i zapobiegł publikacji artykułu w obronie Dreyfusa".

W rozmowie z „Franceculture.fr" Oriol dodaje: „Picquartowi zależało przede wszystkim na wizerunku armii. Widział, że kiedyś błędy wymiaru sprawiedliwości wyjdą na jaw i chciał mieć nad tym procesem kontrolę. […] Robił wszystko, aby przestano mówić o aferze Dreyfusa lub powiedzieć jak najmniej, gdy nie miał już możliwości milczeć". O jego roli po wydaleniu z wojska w lutym 1898 r. mówi zaś tak: „Picquartowi chodziło przede wszystkim o powrót do służby i możliwość kontynuowania kariery. Nie obchodził go w tym momencie Dreyfus".

Dużo większą rolę w upublicznieniu afery oraz napiętnowaniu prawdziwego zdrajcy – Esterhazy'ego – Oriol przypisuje cywilom: rodzinie Dreyfusa oraz poszczególnym politykom i prawnikom. Pisze: „Prawdziwe odkrycie roli Esterhazy'ego zostało poczynione przez Mathieu Dreyfusa. Dzięki informacjom dostarczonym mu przez brokera Jacques'a de Castro stwierdził on, kto jest prawdziwym zdrajcą, i zawiadomił o tym Ministra Wojny. Odkrył to niezależnie od Picquarta, który wiedział o sprawie od 5 miesięcy. Picquart powiedział o odkryciu swojemu przyjacielowi i prawnikowi Leblois, zabraniając mu jednocześnie rozmawiać z rodziną Dreyfusa".

Francuski historyk ma też bardzo poważne zastrzeżenia co do postawy Picquarta wobec Dreyfusa w ostatnim akcie całej sprawy: „Przez te siedem lat od ułaskawienia do rehabilitacji w 1906 r. Picquart był nieustępliwy w sprawie Dreyfusa. Atakował go w prasie. Mówił, że ów był niewdzięczny i że unikał z nim kontaktu. W jego listach pojawiają się oskarżenia wobec rodziny Dreyfusa i jej postawy wobec adwokata o to, że nie zapłacili honorarium, lub kłócili się o uprzednio już wynegocjowaną kwotę".

Polański, chcąc być wierny faktom, nie mógł ukryć antysemityzmu Picquarta. Wygładził i ugrzecznił jednak ów rys osobowości podpułkownika. W kuluarach szkoły wojskowej Picquart w kulturalny sposób stwierdza, że jego niechętna postawa wobec Żydów jako instytucjonalnej zbiorowości w żaden sposób nie przekłada się na stosunek do samego Dreyfusa jako człowieka. Oriol punktuje i to: „W liście do generała de Gallifeta w 1891 r. wyraził się na temat Josepha Reinacha, później jednego ze słynniejszych dreyfusistów i pierwszego historyka opisującego ową aferę, w następujący sposób: »Ten brudny Żyd mnie przeraża«". Oriol przytacza również inną wypowiedź Picquarta o Dreyfusie już po jego ułaskawieniu i rehabilitacji: „»Proszę sobie wyobrazić, że to zwierzę chce zostać podpułkownikiem« – powiedział do generała Mileta […]". W 1901 r. napisał list: „Wiem, że pewnego dnia stanę się celem ataku Żydów, w szczególności Dreyfusa".

Oriol odnosi się również do wcale nieoczywistych linii podziału we francuskim społeczeństwie: „Można było być zwolennikiem Dreyfusa i jednocześnie antysemitą. Najlepszymi przykładami są Urban Cohier i Jean Ajalbert. Ten drugi stanie się po latach współpracownikiem propagandy podczas okupacji niemieckiej". Dodajmy, że późniejszy premier Clemenceau, zanim przystąpił do grona obrońców kapitana, wyrażał się o nim tak: „Nic poza plugawą duszą, sercem nikczemnym!". Kino rządzi się jednak swoimi prawami. Picquart – oficer śledczy, samotny sprawiedliwy walczący z systemem – trafia do zbiorowej wyobraźni lepiej niż grupa prawników, pisarzy i polityków pisząca artykuły, polemiki i pozwy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl feb53ef4b7

Duńscy żołnierze salutują królowi Chrystianowi X

FOT. BEGW

1940–1945 / Wzorowy protektorat Adolfa Hitlera

Dziwna okupacja Danii

Arkadiusz Karbowiak

Zajęty przez Niemców skandynawski kraj zachował wolne wybory, parlament i rząd. A nawet... siły zbrojne

Po zakończeniu kampanii w Polsce, wiosną następnego roku, siły zbrojne III Rzeszy rozpoczęły działania wojenne w Europie Zachodniej. Pierwszymi państwami, które padły ofiarami niemieckiej inwazji, były zaatakowane 9 kwietnia 1940 r. w ramach operacji „Waserübung" („Ćwiczenia na Wezerze") Norwegia i Dania. O ile walki w Norwegii trwały aż do czerwca, o tyle armia duńska stawiała opór tylko kilka godzin. Przygniatająca przewaga niemiecka, warunki terenowe i słabość militarna królewskich sił zbrojnych nie dawały żadnych szans na skuteczną obronę. Duński rząd nie opuścił kraju, chcąc sprawować opiekę nad swymi obywatelami. Podobnie postąpił król Christian X.

Kierownictwo III Rzeszy postanowiło zaprowadzić w Danii wyjątkowy model okupacji. Hitler nazwał go wzorowym protektoratem. Teoretycznie polityka narodowych socjalistów w tym kraju miała się opierać na zasadach poszanowania integralności terytorialnej, suwerenności i neutralności. W rękach rządu duńskiego, w skład którego wchodzili przedstawiciele przedwojennych partii politycznych, znalazły się kwestie polityki zarówno wewnętrznej, jak i zagranicznej. Wypada dodać, że funkcjonowały również przedwojenny parlament, a także konstytucja.

Jedynymi zmianami w stosunku do okresu sprzed wkroczenia Niemców było stacjonowanie w Danii niewielkich oddziałów Wehrmachtu, przybycie grupy niemieckich urzędników oraz ustanowienie reprezentanta III Rzeszy w osobie noszącego tytuł pełnomocnika Reichsbevollmächtigter Cécila von Renthe-Finka. Podlegał on instytucjonalnie niemieckiemu ministerstwu spraw zagranicznych. Sytuacja w Danii kontrastowała zdecydowanie z okupacją Norwegii, gdzie władzę niepodzielnie (do 1 lutego 1942 r.; potem w niewielkim stopniu musiał podzielić się nią z Vidkunem Quslingiem) sprawował Reichskommissar Josef Terboven.

Na czele rządu duńskiego prowadzącego politykę współpracy z Niemcami stał lider socjaldemokratów, przedwojenny premier Thorvald Stauning. Głównym

eprasa.pl feb53ef4b7

celem jego gabinetu było zachowanie duńskiej suwerenności na tyle, na ile było to możliwe w Europie znajdującej się pod hegemonią Niemiec. Owa suwerenność władz duńskich została poddana po raz pierwszy poważnej próbie, tuż po rozpoczęciu inwazji III Rzeszy na ZSRS. Niemcy zażądali wtedy aresztowania członków Duńskiej Partii Komunistycznej. Żądanie zrealizowano, aresztując w ciągu kilku dni 339 działaczy komunistycznych. Osadzono ich początkowo w więzieniu Vestere, a potem 246 z nich przeniesiono do obozu Horserød, skąd 148 deportowano do KL Stutthof (22 z nich tam zmarło). 22 sierpnia 1941 r. z mocą wsteczną parlament duński uchwalił ustawę zakazującą działalności partii komunistycznej. Posunięcia te nie wywołały specjalnych napięć w łonie duńskiego rządu ani parlamentu.

Nieco inaczej wyglądała kwestia wyjścia naprzeciw niemieckiej propozycji przystąpienia Danii do paktu antykominternowskiego. Ministrowie kopenhaskiego rządu obawiali się, że krok ten zagrozi neutralności kraju. Ostatecznie po długich negocjacjach wyrażono zgodę na akces i 24 listopada 1941 r. minister spraw zagranicznych Erik Scavenius podpisał akt członkostwa Danii w pakcie.

Rząd de jure

Rok 1942 zaowocował nowymi napięciami na linii Berlin–Kopenhaga. W tym czasie w gremiach kierowniczych NSDAP zaczęły pojawiać się pomysły przekazania nadzoru nad Danią komisarzowi Rzeszy w Norwegii Josefowi Terbovenowi. Ostatecznie, choć owe koncepcje nie wyszły poza fazę projektów, w relacjach duńsko-niemieckich wybuchł kryzys związany z wysłaniem w październiku 1942 r. przez Hitlera urodzinowego telegramu do króla Christiana X. Władca Danii odpowiedział na niego lakonicznymi podziękowaniami. Ta oschła odpowiedź zirytowała bardzo Führera.

W efekcie październikowego przesilenia doszło do zmiany na stanowisku pełnomocnika Rzeszy w Danii. Stanowisko to objął SS-Obergruppenführer Werner Best, były szef Departamentu I RSHA – Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Jednocześnie wraz ze zmianą pełnomocnika nastąpiła dymisja na stanowisku dowódcy sił Wehrmachtu w Danii. Pełniącego dotychczas tę funkcję gen. Ericha Lüdkego zastąpił Herman Henneken, uważany za zwolennika rządów silnej ręki. Dokonane przetasowania personalne powiązane były z nowymi wytycznymi, które miały zostać wdrożone w polityce wobec Danii.

Zasadniczym ich elementem miała być reorganizacja duńskiego rządu poprzez dokooptowanie do jego składu przedstawicieli Narodowosocjalistycznej Duńskiej Partii Robotniczej DNSAP (Danmarks Nationalsocialistiske Arbejderparti). Próba realizacji tego postulatu napotkała zdecydowany opór rządzących Danią partii demokratycznych. DNSAP była partią niemającą żadnego zakorzenienia w społeczeństwie, naśladującą pochodzące z Niemiec koncepcje ideologiczne. Liderem DNSAP był mający nadmierne skłonności do alkoholu lekarz Frits Clausen (zmarł po wojnie w więzieniu). W wyborach w 1939 r. partia zdobyła poparcie 1,8 proc. głosujących. Werner Best, widząc, że wejście do rządu duńskich narodowych socjalistów będzie niemożliwe, przeprowadził z Clausenem rozmowę, w której efekcie wódz DNSAP sam zrezygnował z oferty udziału we władzy.

Tekę premiera zaproponowano Erikowi Scaveniusowi – politykowi będącemu zwolennikiem kontynuowania współpracy z Niemcami. W marcu 1943 r. Adolf Hitler zgodził się na przeprowadzenie wyborów parlamentarnych. Były to jedyne demokratyczne wybory, które wówczas odbyły się w okupowanej przez Niemców części Starego Kontynentu. Frekwencja osiągnęła rekordowo wysoki poziom 89,5 proc. Zwycięzcą wyborów okazała się partia socjaldemokratyczna, która zdobyła 66 mandatów w 149-osobowym parlamencie (DNSAP zdobyła 2,1 proc. głosów).

Parada członków Duńskiej Narodowosocjalistycznej Partii Robotniczej FOT. CATAWIKI.NO

Wydawało się, że po wyborach sytuacja w Danii się ustabilizuje. Tak się jednak nie stało. Pogorszenie położenia militarnego Niemiec na frontach drugiej wojny spowodowało w duńskim społeczeństwie zmianę nastrojów i coraz powszechniejszą krytykę kooperacji z Niemcami. Intensywną działalność rozwijało antyniemieckie podziemie. Szczególnie aktywni byli komuniści skupieni w organizacji Borgerlige partisaner BOPA – Obywatelscy Partyzanci. Napięcie w relacjach duńsko-niemieckich rosło i w sierpniu 1943 r. doszło w kilku miastach duńskich do rozruchów. Wybuchły one w Esbjerg,

eprasa.pl feb53ef4b7

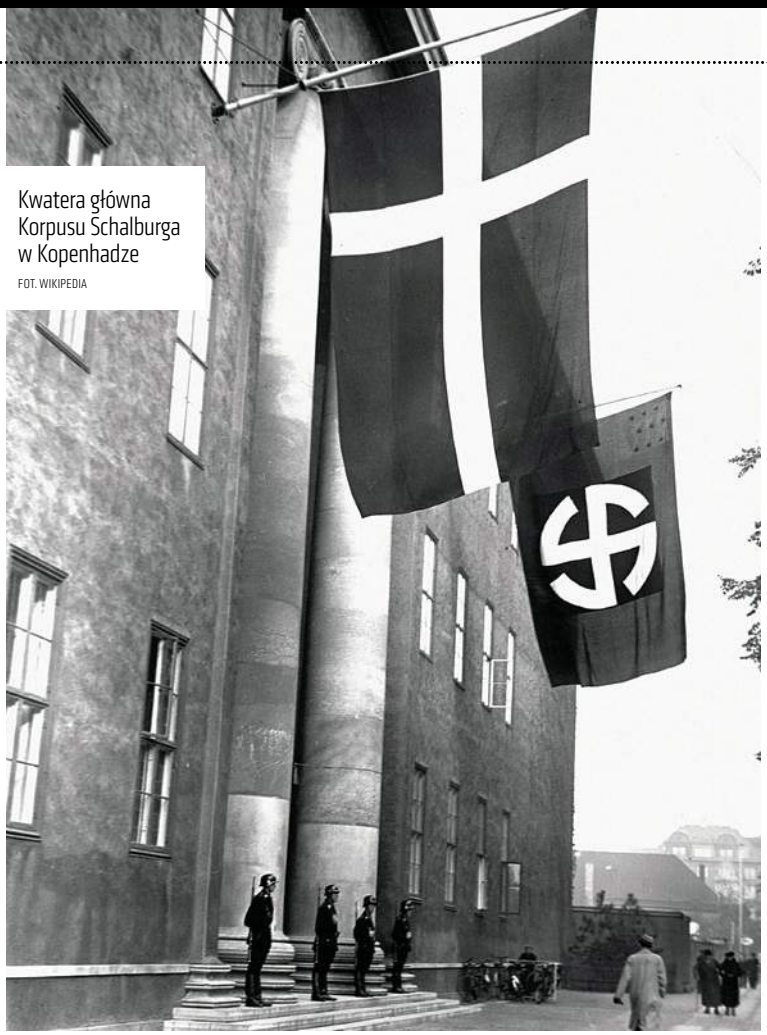

Kwatera główna Korpusu Schalburga w Kopenhadze

FOT. WIKIPEDIA

Odense, Aalborg, Arhus. Informacje o wydarzeniach w Danii dotarły do Führera. Ten wezwał Wernera Besta do swej kwatery w Prusach Wschodnich i nakazał mu zmusić rząd duński do ogłoszenia stanu wyjątkowego i stłumienia zamieszek przy użyciu wojska i policji. Niemieckie ultimatum w tej sprawie władze w Kopenhadze odrzuciły, wobec czego 29 sierpnia 1943 r. gen. Herman Hanneken ogłosił stan wyjątkowy.

W ramach operacji o kryptonimie Safari pododdziały Wehrmachtu przystąpiły do rozbrojenia duńskiej armii, liczącej ok. 6 tys. ludzi. Podczas operacji zginęło 26 duńskich żołnierzy, a 5075 internowano. Niemcy przedsięwzięli również działania skierowane przeciwko duńskiej flocie, choć adm. Hans Heinrich Wurmbach, dowódca niemieckich sił morskich w Danii, był temu przeciwny ze względu na ważną rolę, jaką ona odgrywała w ochronie morskiego wybrzeża. Duńscy marynarze nie dali się zaskoczyć i na rozkaz adm. Aagela Vedela zatopili większość okrętów. Niemcom udało się przejąć niewielką ich część, a kilka uciekło do neutralnej Szwecji.

Wprowadzenie stanu wyjątkowego zakończyło działalność duńskiego rządu, choć ze względu na niezaakceptowanie tego faktu przez króla doszło do sytuacji, w której rząd formalnie nadal istniał de jure, nie wypełniając swoich obowiązków. Od sierpnia 1943 r. Dania znalazła się pod niemiecką okupacją wojskową. Szybko się okazało, że na pełne wdrożenie wariantu okupacyjnego Niemcy, z braku odpowiednich sił, nie mogą sobie pozwolić. Do momentu wkroczenia Wehrmachtu do Danii pracowało tam zaledwie 89 niemieckich urzędników. Stąd rodziło się pytanie, czy w sytuacji braku centralnego ośrodka władzy duński aparat urzędniczy nadal będzie wypełniać swoje obowiązki. Po negocjacjach Wernera Besta z duńskimi politykami wypracowano kompromis, w którego ramach kierownictwo poszczególnych resortów przejęli sekretarze stanu. Głównym partnerem w rozmowach ze stroną niemiecką został sekretarz stanu w MSZ Niels Svenningsen.

Żydzi płyną do Szwecji

Wykorzystując fakt trwania stanu wyjątkowego, Werner Best postanowił władzom w Berlinie zaproponować sfinalizowanie dotychczas niezrealizowanej ze względu na sprzeciw duńskiego rządu koncepcji deportowania do obozów koncentracyjnych kilku tysięcy duńskich Żydów. Wysłany w tej sprawie telegram spotkał się z aprobatą samego Hitlera. Od tej chwili pełną parą struktury RSHA rozpoczęły przygotowania do akcji antyżydowskiej. Kiedy w Danii pojawili się funkcjonariusze niemieckiej policji, szykujący się do jej przeprowadzenia, okazało się, że Duńczycy są o całej sprawie poinformowani. Świadomość braku chęci ich współdziałania i szczupłość sił policyjnych ostudziły zdecydowanie zapał do zorganizowania deportacji. Nawet znany z bezwzględności gen. Herman Henneken, pomimo wydania przez Oberkommando der Wehrmacht stosownych rozkazów, uchylał się przed skierowaniem wojska do tej operacji.

Wiedza o niemieckich przygotowaniach stała się powszechna po naradzie, która w tej sprawie odbyła się u Wernera Besta. Wśród jej uczestników był specjalista ds. żeglugi Georg Duckwitz. To właśnie on – będąc przeciwnikiem deportacji – wiadomość o niej przekazał dwóm duńskim socjaldemokratycznym politykom: Hansowi Hedoftowi i Hansowi Hansenowi. Oni z kolei poinformowali o tym przedstawicieli gminy żydowskiej.

Z pomocą Żydom ruszyło duńskie społeczeństwo. Dużą rolę w tej materii odegrali także: podziemie, politycy oraz pracownicy administracji. Ci ostatni przystąpili do ostrzegania Żydów. Wielu z nich zmieniło miejsca zamieszkania. Dzięki akcji obywatelskiej, m.in. rybaków (trzeba jednak pamiętać, że za przewóz do Szwecji Żydzi musieli płacić), udało się przewieźć przez cieśninę Sund do Szwecji 7,9 tys. osób pochodzenia żydowskiego (w tej liczbie znajdowało się kilkuset małżonków pochodzenia aryjskiego). Warto podkreślić, że niemiecka marynarka wojenna w czasie operacji przerzutu stała w portach i nie kwapiła się do podejmowania jakichkolwiek działań blokujących.

Kiedy więc nocą z 1 na 2 października 1943 r. niemieckie siły wojskowe i policyjne przystąpiły do aresztowań Żydów, okazało się, że większości z nich nie ma już na terytorium Danii. Oddziałom okupacyjnym udało się zatrzymać jedynie 481 osób, które deportowano do znajdującego się na terenie Protektoratu Rzeszy dla Czech i Moraw miasta-obozu koncentracyjnego KL Theresienstadt, gdzie warunki bytowania były nieco

eprasa.pl feb53ef4b7

lepsze niż w innych obozach (20 osób skierowano do KL Dachau i KL Sachsenhausen). Tak więc nawet zatrzymanych Żydów duńskich potraktowano w dość liberalny jak na niemieckie standardy sposób. Z całej przebywającej w KL Theresienstadt populacji zmarły 52 osoby. Żydzi duńscy ponieśli najmniejsze – w porównaniu z Żydami z innych państw europejskich – straty osobowe. Uratowanie Żydów przed deportacją nie zmieniło faktu, że paradoksalnie plan Wernera Besta polegający na „odżydzeniu" Danii został zrealizowany.

Sonderkommando Dänemark

6 października 1943 r. Niemcy odwołali stan wyjątkowy. Krok ten nie zmniejszył coraz bardziej nasilającej się niechęci Duńczyków do okupantów. Ośrodkiem, którego wpływ na sytuację wewnętrzną wzrastał, było duńskie podziemie, a konkretnie powstała 16 września 1943 r. skupiająca wszystkie jego nurty Rada Wolności. Działania konspiratorów przekładały się na systematycznie rosnącą liczbę sabotaży: z 85 dokonanych we wrześniu do 151 w listopadzie. Łącznie w 1943 r. w fabrykach i liniach kolejowych przeprowadzono ich 969 (w 1942 r. – 122).

Zaczęły się też mnożyć zamachy na duńskich agentów niemieckiej Policji Bezpieczeństwa oraz współdziałających z Niemcami członków DNSAP i funkcjonariuszy proniemieckiej parapolicyjnej organizacji Korpusu Schalburga (nazwa organizacji związana była z osobą poległego w czerwcu 1942 r. na froncie wschodnim duńskiego dowódcy Frikorps Danmark Christiana Schalburga). Hitler zareagował na te działania żądaniem rozstrzeliwania zakładników. Werner Best oraz nowo wyznaczony wyższy dowódca SS i policji w Danii SS-Obergruppenführer Günther Pancke byli temu zdecydowanie przeciwni, mając świadomość, że ten rodzaj odwetu wzmocni tylko wolę oporu ludności.

W grudniu 1943 r. SS-Reichsführer Heinrich Himmler wezwał do siebie Günthera Panckego i nakazał mu na polecenie kanclerza zainicjować nową koncepcję walki z ruchem oporu. Miała polegać na stworzeniu tajnych grup bojowych działających po cywilnemu, które na każdy zamach ze strony podziemia reagowałyby podobnymi atakami. Już w październiku 1943 r. w RSHA zaczęto opracowywać listę potencjalnych „celów". Człowiekiem odpowiedzialnym za nową taktykę walki został szef Policji Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa w Danii, SS-Standartenführer Rudolf Mildner (w lutym 1944 r. zastąpił go SS-Standartenführer Otto Bovensiepen). Okazja do jej wypróbowania nadarzyła się po zabiciu przez podziemie członka DNSAP Wilhelma Petersena. Na ofiarę ataku odwetowego Niemcy wybrali luterańskiego pastora Kaja Munka. Munk był dramaturgiem, którego sztuki nosiły zdecydowanie antynarodowosocjalistyczny charakter. W swych kazaniach pastor atakował Duńczyków współpracujących z Niemcami.

Do przeprowadzenia akcji kontrterrorystycznych utworzono specjalną jednostkę Sonderkommando Dänemark, nazywaną także czasami Grupą Petera. Nazwa pochodziła od imienia dowódcy grupy występującego pod nazwiskiem Petera Schäfera. W rzeczywistości nazywał się Otto Schwerdt, nosił stopień SS-Obersturmführera (później awansował na SS-Hauptsturmführera) i był żołnierzem specjalnej jednostki dywersyjnej SS-Sonderverband z.b.V. „Friedenthal" kierowanej przez SS-Obersturmbannführera Ottona Skorzenego, z którym Schwerdt brał udział w operacji uwolnienia Benita Mussoliniego na Gran Sasso. Skład oddziału Schäfera liczącego kilkudziesięciu ludzi stanowili zarówno Niemcy, jak i Duńczycy.

Zabójstwo Kaja Munka było jedną z pierwszych akcji przeprowadzonych przez Petergruppe. Do wykonania tego zadania grupa likwidatorów w składzie: Otto Schwerdt, Kurt Carstensen, Louis Nebel, Adam Gföller wyruszyła w poniedziałek 3 stycznia 1944 r. samochodem marki Opel Kapitän na policyjnych numerach rejestracyjnych POL 198-935. W Odense zabójcy spotkali się z SS-Untersturmführerem Wolfgangiem Söhnleinem, pracownikiem Ausedienstelle Sipo/SD w Ejsbergu, który przedstawił opracowany przez siebie plan zabicia pastora. Kiedy 4 stycznia grupa dotarła do miasta Ringkøbing, zmieniła tablice rejestracyjne samochodu na duńskie. Stamtąd Söhnlen, przedstawiając się jako student teologii, zadzwonił do Munka z zapytaniem, czy może się z nim spotkać w Vederso. Do miasteczka grupa przybyła ok. godz. 19.30.

Esesmani, udając funkcjonariuszy duńskiej policji kryminalnej, aresztowali w domu Munka i umieścili go w samochodzie. W czasie podróży pojazd zatrzymał się na wiejskiej drodze w pobliżu Horbyludne, miejscowości położonej 10 km na zachód od Silkeborga. Munka poproszono, by wysiadł z auta, a kiedy to nastąpiło, Otto Schwerdt oddał do niego trzy śmiertelne strzały. Przy zwłokach napastnicy pozostawili kartkę o treści: „Ty świnio, pracowałeś dla Niemiec". Ta informacja miała sugerować, że egzekucji dokonał ruch oporu. Oczywiście w taką wersję wydarzeń nikt nie uwierzył. Kaj Munk był jedną z 127 ofiar niemieckiego kontrterroru w Danii.

Operacje kontrterrorystyczne nie zahamowały aktywizacji duńskiego podziemia. Jego członkowie w czerwcu 1944 r. w momencie rozpoczęcia alianckiej inwazji we Francji wykonali wiele akcji dywersyjnych. Powołane przez Niemców sądy doraźne wydały na sprawców tych czynów kilka wyroków śmierci, które wykonano. Doprowadziło to do wybuchu strajku. Objął on 22 ośrodki miejskie. Ostatecznie Wernerowi Bestowi dzięki negocjacjom udało się go zakończyć 3 lipca 1944 r., choć podkopało to autorytet władz niemieckich, a wzmocniło w oczach duńskiej opinii publicznej pozycję Rady Wolności. Okupacja Danii trwała do 5 maja 1945 r., kiedy na terytorium kraju wkroczyły wojska alianckie. Dzień wcześniej adm. Hans-Georg von Friedeburg podpisał akt kapitulacji niemieckich sił zbrojnych w Europie Zachodniej.

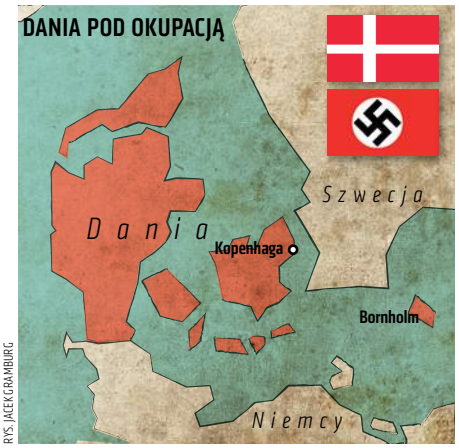

RYS. JACEK GRAMBURG

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl feb53ef4b7

Most w Koźlu wysadzony przez grupę „Wawelberga" FOT. ARCHIWUM

Powstanie śląskie / Grupa Destrukcyjna „Wawelberga"

Pierwsi polscy komandosi

Grzegorz Janiszewski

Żołnierze grupy dywersyjnej „Wawelberga" zniszczyli 50 mostów, trzy dworce kolejowe, tory, a nawet cztery pałace pruskich arystokratów

Kilku mężczyzn, marznąc i moknąc w deszczową majową noc, od dłuższego czasu obserwowało oświetlony most kolejowy pod Opolem. Nagle w ciemnościach pojawiły się trzy ledwo dostrzegalne sylwetki, pędzące co sił w nogach w ich stronę. Potem powietrzem wstrząsnął odgłos potężnego wybuchu. Granitowy filar mostu rozprysnął się na kawałki. Dwa długie, dobrze widoczne w świetle latarni przęsła powoli, ze straszliwym zgrzytem dartej i gnieconej stali, zwaliły się na ziemię. Sylwetki mężczyzn, przewróconych przez siłę podmuchu, nagle zniknęły. W ciemnościach rozległy się krzyki wartowników pilnujących mostu.

Tej nocy, z 2 na 3 maja 1921 r., na Śląsku wyleciało w powietrze jeszcze sześć mostów kolejowych. Ich zniszczenie przez dywersantów z Grupy Destrukcyjnej „Wawelberga" miało kluczowe znaczenie dla powodzenia polskich działań w rozpoczynającym się właśnie III powstaniu śląskim.

Siła i podstęp

Najważniejsze było wysadzenie mostu w Szczepanowicach pod Opolem, na linii kolejowej łączącej miasto z Wrocławiem. Nie było to proste. Po wielu miesiącach przygotowań na miejscu okazało się, że przechowywane pod klepiskiem stodoły lonty zamokły i do użytku nadaje się jedynie kilka metrów. Przy tak krótkim loncie eksplozja zapalników mogła rozrzucić materiał wybuchowy, zamiast wywołać jego eksplozję. Problem rozwiązał Wiktor Wiechaczek – były saper z pruskiej armii. Kazał podłożyć cały ładunek pod środkowy filar i skonstruował zapalnik, wrzucając wszystkie spłonki do jednej puszki z 10 kg melinitu.

Uważając na każdy krok, bo zapalnik w każdej chwili mógł eksplodować, około północy dywersanci dotarli na miejsce. Torowisko było jasno oświetlone i patrolowane przez wartowników. Zaniepokojony czymś niemiecki dróżnik wszczął alarm. Mimo tego udało się podłożyć ładunki i zapalić lont. Mężczyźni uciekli pół kilometra od mostu, ale wybuch nie następował. Dowodzący całą akcją kpt. Tadeusz Puszczyński z Wiechaczkiem i 18-letnim Hermanem Jurzycą wrócili sprawdzić ładunki. Podsadzony na filar Jurzyca stwierdził, że lont prochowy zgasł pół metra od zapalnika. Mimo że groziło to niemal pewną śmiercią, ponownie podpalili lont i natychmiast zaczęli uciekać. Mieli szczęście. Chociaż podmuch eksplozji powalił wszystkich na ziemię, od odłamków ochroniło ich zbocze pagórka, z którego akurat zbiegali. Po wybuchu z miejscowym przewodnikiem i resztą grupy przedarli się przez bagna i rozlewiska Odry do miejsca koncentracji oddziału w Kamieniu Śląskim.

Pozostali dywersanci „Wawelberga" też z powodzeniem wykonali zadania. Grupa pod dowództwem pchor. Pelca wysadziła most kolejowy na Budkowniczance niezwłocznie po usłyszeniu odgłosu wybuchu w Szczepanowicach.

eprasa.pl feb53ef4b7

Podchorąży Janusz Meissner z dwoma towarzyszami, po przejściu 12 km i błądzeniu w nocy i deszczu, ok. godz. 3 wysadza tory, po których przejeżdża niemiecki pociąg towarowy. Blokuje on całkowicie przejazd pod wiaduktem przed stacją Racławice Śląskie. W tym samym czasie pięcioosobowy oddział pchor. Józefa Sibery wysadza wiszący most na linii kolejowej Głubczyce–Racławice Śląskie. Pilnujący go włoscy żołnierze z powodu deszczu schowali się do odległej o kilkaset metrów budki wartowniczej. Podobnie akcja przebiega na moście nad Osobłogą pod Dzierżysławicami na linii kolejowej Kędzierzyn–Nysa. I tutaj włoscy wartownicy gdzieś zniknęli, a dowodzony przez pchor. Stanisława Glińskiego oddział niszczy cel. Wysadzono jeszcze mosty na Białej i Odrze w pobliżu Krapkowic i pod Smardami. Zniszczono tory i linie telegraficzne oraz telefoniczne.

Zawiodła tylko jedna grupa dowodzona przez spóźnionego ppor. Juliusza Jarosławskiego, która nie miała szans na realizację zadania przed świtem. Do akcji przystąpiła dopiero następnej nocy, kiedy mosty i ważniejsze odcinki torów były już obstawione przez Selbstschutz, a po moście w Wołczynie, który mieli wysadzić, jeździły pociągi i drezyny ze strażnikami. Zamiast tego oddział zniszczył odcinek torów i mniej ważny most na Stobrawie.

W akcji wzięło udział 63 żołnierzy. Część z nich bezpiecznie wróciła do miejsca koncentracji. Dwudziestu czterech wpadło w ręce Niemców. Żaden nie przyznał się do udziału w akcji mimo brutalnych przesłuchań. Niektórzy w więzieniu zdzierali do krwi skórę na rękach, żeby pozbyć się żółtych śladów, jakie zostawiał melinit. Wszyscy z braku dowodów winy zostali w końcu wypuszczeni albo osadzeni w obozie jenieckim. Niemieccy sędziowie nie byli jeszcze tak zdeprawowani przez wojnę i rewolucję jak bojówkarze Selbstschutzu.

Młodzi idealiści i starzy bojowcy

Polskie Dowództwo Obrony Plebiscytu zdawało sobie sprawę, że w przypadku przegrania głosowania większa część Śląska przypadnie Niemcom. Tylko dobrze przygotowana i potężna akcja zbrojna mogłaby odwrócić sytuację. Obszar plebiscytowy został zdemilitaryzowany, a do jego obrony Niemcy mogli natychmiast wystawić jedynie siły policyjne i miejscowe bojówki pozbawione dużej ilości broni zarekwirowanej przez wojska rozjemcze. Jednak z głębi Niemiec szybko mogły pojawić się dobrze uzbrojone i wyszkolone freikorpsy oraz broń i amunicja.

Odpowiedzialny za dywersję Puszczyński zaproponował operację na dużą skalę, ściśle związaną z otwartą walką zbrojną. Słabość powstańców w otwartym polu miała zostać zrównoważona prowadzonymi z zaskoczenia akcjami specjalnymi. Oficer wiedział, co robi. Od 15. roku życia konspirował przeciw caratowi, a pod koniec pierwszej wojny światowej został komendantem POW na okupację austriacką. Na Śląsk został skierowany przez Ministerstwo Spraw Wojskowych i brał udział w licznych działaniach specjalnych już podczas II powstania.

Jesienią 1920 r. przedstawił plan działań. Grupy dywersyjne miały odciąć Górny Śląsk od reszty Niemiec, przerywając połączenia kolejowe, telegraficzne i telefoniczne. W pierwszych dniach powstania do rejonu planowanych walk nie dotarłyby zapasy z magazynów we Wrocławiu i w Nysie, a posiłki z głębi kraju zostałyby poważnie opóźnione. Dawało to powstańcom realną możliwość dotarcia w ciągu kilku dni do linii Odry.

Jak często bywa ze śmiałymi akcjami, Puszczyński długo przekonywał przełożonych do swojego planu. Usłyszał nawet, że „prędzej wszystkie ryby w Odrze wyzdychają, niż wysadzi choć jeden most". Ostatecznie w grudniu 1920 r. uzyskał zgodę. Od razu przystąpiono do szkolenia grup dywersyjnych w Sosnowcu, gdzie mieściła się polska baza wypadowa na Górny Śląsk. Kapitan już wcześniej nawiązał kontakt z Polakami, którzy w odpowiedzi na niemiecki terror na własną rękę wysadzali tory, niemieckie magazyny wojskowe i pomniki znienawidzonego Wilhelma II.

Teraz werbował ich do tworzonego oddziału, ceniąc doświadczenia w posługiwaniu się materiałami wybuchowymi wyniesione z pruskiego wojska i kopalń. Drugą dużą grupę stanowili weterani powstania wielopolskiego. Doświadczeni w walce i znający dobrze niemiecki, co było konieczne w skrytych działaniach na terytorium wroga. Przyjmowano też ludzi, którzy nie wąchali jeszcze prochu. Wszyscy ochotnicy musieli wykazać się sprytem i być sprawni fizycznie.

Do szkolenia zaangażowano starych bojowców PPS, którzy nie nadawali się już do akcji dywersyjnych, ale mogli przekazać młodzieży swoją wiedzę i doświadczenie. Kapitan specjalnie ściągnął do tej pracy m.in. najlepszego specjalistę od bomb w Pogotowiu Bojowym PPS Tadeusza Szturma de Sztrema. Szkolenie obejmowało posługiwanie się bronią i materiałami wybuchowymi, długotrwałe marsze z obciążeniem i niezbędne legendowanie powodu obecności na obcym terenie. Ćwiczenia praktyczne odbywały się w miejscach podobnych do terenu przyszłych działań. Kursanci ćwiczyli w nocy, aż do osiągnięcia perfekcji w dojściu do celu, podkładaniu ładunków i skrytym odejściu w ściśle określonym czasie. W styczniu 1921 r. Puszczyński objął kierownictwo Referatu Destrukcyjnego w Dowództwie

eprasa.pl feb53ef4b7

Oddział dywersyjny kpt. Tadeusza Puszczyńskiego ps. Wawelberg w III powstaniu śląskim FOT. WIKIPEDIA

Obrony Plebiscytu i zaczął tworzyć oddział. Zakonspirowany jako kupiec drzewny Konrad Wawelberg umieścił dowództwo operacji w hotelu Deutsches Haus w Strzelcach Opolskich. Znacznie ułatwiało to podróże po Śląsku i spotkania z członkami grupy. Wybrane do wysadzenia mosty trzeba było sfotografować, wykonać ich szkice, zbadać miejsca, w których można było podłożyć ładunki, rozpoznać ich ochronę i opisać trasy podejścia i odejścia. Nie było to łatwe, zwłaszcza w mniejszych miejscowościach, gdzie każdy obcy od razu rzucał się w oczy, a niemieccy mieszkańcy czuli się zagrożeni.

Grupa Destrukcyjna

Informacje o planowanych działaniach dywersyjnych przeniknęły do przeciwnika. W styczniu gazeta „Ostdeutsche Morgenpost" opublikowała artykuł pt. „Polski plan strategiczny akcji na Górnym Śląsku", w którym opisywała, że Polacy będą chcieli odciąć Śląsk od reszty Niemiec. Dzięki ścisłej konspiracji działalność grupy udało się utrzymać w tajemnicy, ale siły rozjemcze obsadziły najważniejsze mosty kolejowe. Opolski landrat w styczniu wyznaczył wysoką nagrodę – 10 tys. marek za ujęcie polskich dywersantów.

Problem stanowiło też dostarczenie materiałów wybuchowych w pobliże mostów. Na każdy potrzeba było po kilkaset kilogramów. Zostały dowiezione z Warszawy, ale oznaczone niemieckimi cechami. Ukryte w kopalnianych magazynach w Zagłębiu, w największej tajemnicy dotarły w pobliże celów. Założono specjalne przedsiębiorstwo przewozowe, które dostarczyło ponad tonę ekrazytu i melinitu na konnych wozach, pod ziemniakami albo sianem. Wpadka oznaczałaby międzynarodowy skandal.

Po plebiscycie, który odbył się 20 marca 1921 r., stało się jasne, że nie obejdzie się bez akcji militarnej. W kwietniu Korfanty zatwierdził plan powstania. Członków oddziału zaczęto przerzucać w pobliże wybranych do zniszczenia obiektów. Niektórych udało się umieścić w domach i stodołach zaufanych Polaków. Inni musieli koczować w lasach. Wszystkie grupy na kilkanaście dni przed wybuchem powstania znalazły się na miejscu, gotowe do akcji.

Lakoniczny rozkaz: „Wykonać w nocy z drugiego na trzeci maja tysiąc dziewięćset dwudziestego pierwszego roku" podpisany przez dowódcę powstania ppłk. Macieja Mielżyńskiego dotarł do oddziału 1 maja. Niezwłocznie wysłano łączników do poszczególnych grup, stawiając je w stan gotowości. Puszczyński wyjechał nadzorować wysadzenie mostu w Szczepanowicach.

Cała akcja trwała ok. trzech godzin. Na odcinku ponad 90 km wysadzono siedem mostów kolejowych i zniszczono dwa odcinki torów. Sparaliżowało to ruch pociągów w tej części Śląska. Trasy z Kędzierzyna do Nysy oraz z Wrocławia do Opola i Kluczborka na dłuższy czas zostały wyłączone z użytku. Wieczorne berlińskie gazety w dramatycznym tonie informowały o wydarzeniu, a minister spraw zagranicznych Walther Simons na specjalnym posiedzeniu Reichstagu wskazywał na jego „wielką skalę". Niemcy nie mogli szybko dowieźć freikorpsów ani zaopatrzenia dla walczących oddziałów. Dzięki powodzeniu akcji siły powstańcze w ciągu tygodnia wyszły na tzw. linię Korfantego, zajmując obszar, którego domagała się Polska po plebiscycie.

Grupa „Wawelberga" była pierwszym polskim oddziałem specjalnym z prawdziwego zdarzenia. Jej działania były bodaj pierwszą w historii wojen próbą osiągnięcia celów operacyjnych za pomocą działań specjalnych. Próbą zwieńczoną dużym sukcesem. Rozbudowana i dozbrojona grupa została użyta w dalszych walkach. W ich trakcie jej członkowie zniszczyli jeszcze 50 mostów, trzy dworce kolejowe, kilkaset metrów torów kolejowych, a nawet cztery pałace pruskich arystokratów – polakożerców, znacząco wspierając powstańców. Grupa została rozwiązana 5 lipca. Kapitanowi Puszczyńskiemu nie dane było wziąć udziału w następnej wojnie. Zmarł na nieuleczalną chorobę w lutym 1939 r. Wiechaczek – tak jak wielu innych powstańców – został przez Niemców zamordowany w obozie koncentracyjnym w Oranienburgu w 1941 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl feb53ef4b7

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

100 % polski produkt

V EDYCJA KONKURSU

NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA, KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY

WIĘCEJ INFORMACJI: POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL

PARTNER GŁÓWNY

ORLEN

eprasa.pl feb53ef4b7

Świadek historii / Z kpt. Jerzym Stawskim ps. Lubicz

rozmawia Piotr Włoczyk

Walczyłem u „Warszyca”

FOT. DZIENNIK ŁÓDZKI/EAST NEWS

– Nasi oprawcy byli wściekli, że zabiliśmy im dwóch tak wysoko postawionych ludzi od terroru. Byłem przekonany, że nie wyjdę z tego żywy – mówi żołnierz niezłomny

PIOTR WŁOCZYK: Stanisław Sojczyński ps. Warszyc to prawdziwa legenda w panteonie dowódców podziemia antykomunistycznego. Służył pan w jego zgrupowaniu. Miał pan z nim bezpośredni kontakt?

KPT. JERZY STAWSKI: To była konspiracja, a „Warszyc” dobrze dbał o to, żeby jak najbardziej być w cieniu. Gwarancją powodzenia jego misji było to, żeby znało go jak najmniej osób. Zresztą w podziemiu ogólną zasadą było jak najmniej wiedzieć i jak najmniej słyszeć. Pójście na męczarnie mogło się skończyć różnie… „Warszyc” zawsze był dla mnie czymś na kształt mary, ale mogę opowiedzieć o nim jedną historię, która chyba wiele mówi na temat tego, jaki to był typ człowieka.

Szliśmy wtedy na akcję w grupie żołnierzy przez Kobiele Wielkie. Obok mnie szedł mój o dwa lata starszy brat Janusz, który utykał. W pewnym momencie zbliżył się do nas „Warszyc” – jechał konno – i zapytał brata: „Co, nie umiesz maszerować?”.

W czym był problem?

W drobnostce. Brat świetnie potrafił maszerować, ale akurat miał na nogach nowe oficerki, które ocierały mu nogi. „Warszyc” zorientował się, o co chodzi. Zsiadł z konia, a następnie powiedział Januszowi, żeby wspiął się na jego rumaka i dał odpocząć nogom. To był właśnie cały „Warszyc”. I dlatego żołnierze tak go kochali. Dbał o nas wszystkich bez wyjątku, a my odpłacaliśmy mu lojalnością. Tylko żeby nikt nie pomyślał sobie, że „Warszyc” był miękki. Co to, to nie. Jakikolwiek brak dyscypliny, nie mówiąc już o zdradzie, karał bardzo surowo. To było prawdziwe wojsko polskie.

Brał pan udział w powojennych egzekucjach przeprowadzanych na komunistach?

eprasa.pl feb53ef4b7

Karabinek automatyczny Sturmgewehr 44 FOT. WIKIPEDIA

Tak. Byłem młody, więc brali mnie do obstawy. „Warszyc" karał zdradę ojczyzny śmiercią, ale w niektórych przypadkach dawał szansę na poprawę. Jeżeli jednak nie widać było poprawy i ostrzeżony człowiek dalej wysługiwał się komunie, to nie było przebacz.

Pamiętam, jak jeden z żołnierzy „Warszyca" przyjechał motorem na egzekucję do Kobieli Wielkich. Dowódca wydał wyrok na człowieka, który po wejściu Sowietów nagle odkrył w sobie duszę komunisty i szkodził lokalnej społeczności. Razem z kolegą byliśmy w obstawie przy tej egzekucji. Wszystko poszło sprawnie – zdrajca został zabity.

Koniec historii?

Nie, ponieważ szybko zrobiło się gorąco. Egzekutor wyjechał, ale na miejsce zjechały ORMO i UB. Niestety, mój kolega z obstawy był widziany w towarzystwie egzekutora przez kogoś „życzliwego". Usłyszałem, że ubowcy mają go aresztować. Zerwałem się i pędem poleciałem do jego domu, by go ostrzec. Wyglądało to dramatycznie. Kolega wyciągnął motor i rzucił się do ucieczki, a za nim leciało całe to towarzystwo, strzelając do niego z broni krótkiej. Droga była w fatalnym stanie i zarzucało motorem, aż w końcu kolega się wywrócił. Myślałem, że już po nim... Wstał jednak i jakimś cudem im umknął.

„Warszyca" (został awansowany do stopnia generała 11 listopada 2009 r. przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego) aresztowano, na skutek zdrady, w czerwcu 1946 r. Sąd wojskowy skazał go na śmierć, wyrok został wykonany 19 lutego 1947 r. w Łodzi. Jego ciała do dziś jednak nie odnaleziono...

Szukają go intensywnie i mam nadzieję, że doczekam momentu, kiedy odnajdą mojego dowódcę i pogrzebią go tak, jak Pan Bóg przykazał. Obowiązkiem niepodległej Polski jest uroczyste pożegnanie człowieka, który tyle dla niej poświęcił.

Kiedy złożył pan przysięgę?

W lutym 1943 r. Do konspiracji przyjął mnie Wacław Wroński ps. Babinicz, organista z Kobieli Wielkich. Zaczynałem od roboty wywiadowczej.

Czyli miał pan wtedy 16 lat.

To za mało? (śmiech) Służbę dla ojczyzny na dobre zacząłem – we wrześniu 1939 r. – w wieku 13 lat w Pogotowiu Wojennym Harcerzy. Czterech moich wujków służyło w Legionach. Byłem wychowany w kulcie Piłsudskiego, więc służba była dla mnie oczywistością. W Pogotowiu Wojennym Harcerzy działałem razem z bratem Januszem. Ochranialiśmy m.in. stację kolejową na Widzewie. W wyniku niemieckiego nalotu straciliśmy wtedy dwie harcerki. Pilnowaliśmy też ujęć wody. Nie mieściło nam się w głowie, że moglibyśmy siedzieć w domu i patrzeć bezczynnie, jak zabierają nam wolność. Kiedy wspominam dziś o niektórych naszych pomysłach, niektórzy łapią się za głowę i nie wierzą, że taka była młodzież.

Co ma pan na myśli?

Słyszał pan o „żywych torpedach"?

Oczywiście. Wielu polskich cywili – również kobiet – zgłaszało tuż przed wybuchem wojny gotowość do przeprowadzenia samobójczych ataków w przypadku wkroczenia Niemców. Jednak polskie siły zbrojne nigdy nie wprowadziły tego pomysłu w życie.

Jednak chodziły o tym słuchy i to była głośna sprawa. Kiedy tylko usłyszeliśmy z bratem, że jest podobno miejsce, gdzie można się zgłaszać do takich misji, z miejsca zapaliliśmy się do tego. Staraliśmy się gorączkowo ustalić, gdzie konkretnie można się zapisać, ale nikt nic nie wiedział. Nie mieliśmy nawet pojęcia, jak dokładnie wyglądałaby taka „żywa torpeda". Przyszło nam do głowy, że może chodzi tu o obwieszenie się granatami i rzucenie się pod czołgi niemieckie... Jakkolwiek by oceniać nasz młodzieńczy zapał, ta historia pokazuje, jak wielki był wtedy patriotyzm.

Czy wyobraża pan sobie coś takiego dzisiaj? Nie tak dawno zapytałem w tramwaju młodego człowieka, czym jest dla niego patriotyzm. A on do mnie wypalił: patriotyzm-idiotyzm! Na szczęście jest też inna młodzież: taka, która przychodzi na spotkania z takimi dziadkami jak ja. I to w jej rękach jest przyszłość naszej ojczyzny.

Jerzy Stawski niedługo po wojnie FOT. ARCHIWUM JERZEGO STAWSKIEGO

W czasie okupacji niemieckiej i na początku okupacji sowieckiej działał pan w okolicach Radomska. Jak trafił pan do Generalnego Gubernatorstwa z Łodzi, przemianowanej na Litzmannstadt i włączonej do Rzeszy?

Wszystko przez sąsiada-donosiciela. W naszym domu w Łodzi swój sklep prowadził pewien Niemiec. Któregoś dnia poszedł gdzie trzeba i powiedział, że chodzimy z bratem w mundurach harcerskich. Do naszego domu przyszli gestapowcy, ale szczęśliwie nas nie zastali.

Poszukiwali was po całej Łodzi?

A skąd! Zostawili tylko w drzwiach kartkę, że mamy pilnie zgłosić się na komisariat. To pokazuje, że oni byli bar-

eprasa.pl feb53ef4b7

dzo pewni siebie. Wydawało im się, że skoro Łódź została anektowana do Rzeszy, to mają tam wszystko pod kontrolą, a my nie mamy innego wyjścia, tylko musimy się grzecznie stawić na komisariacie. Niedoczekanie!

W czerwcu 1940 r. uciekliśmy z całą rodziną przez zieloną granicę. Nasz ojciec już nie żył, bo kilka miesięcy wcześniej zakatowali go Niemcy. W Radomsku i okolicach mieliśmy rodzinę i to tam uciekliśmy. Brat z mamą ukryli się w pobliskich Kobielach Wielkich, a ja z siostrą zahaczyłem się u wuja w Radomsku. Cała ta okolica była pełna AK-owców, więc będąc harcerzem, trudno było nie trafić do konspiracji. Tym bardziej że rodzina, u której gościliśmy, miała kontakty z podziemiem. W czasie okupacji zameldowany byłem w Radomsku u wujostwa, a działałem w znajdujących się 12 km dalej Kobielach Wielkich.

Stanisław Sojczyński FOT. WIKIPEDIA

Żołnierze „Warszyca" zasłynęli z odbijania ludzi z więzienia w Radomsku. I to zarówno za Niemca, jak i za Sowieta...

Brałem udział w obu tych akcjach. Za pierwszym razem, w sierpniu 1943 r., dostałem zadanie powstrzymania ewentualnej pogoni niemieckiej. Miałem zatarasować ulicę Reymonta wozem konnym. To była jednak perfekcyjnie zaplanowana i przeprowadzona akcja i nikt z ludzi „Warszyca" nie ucierpiał w jej trakcie. Efektem tego śmiałego ataku było uwolnienie kilkudziesięciu więźniów, w tym 11 Żydów.

Drugi atak odbył się w kwietniu 1946 r., tuż przed aresztowaniem „Warszyca". Ubecy pastwili się w więzieniu nad kilkudziesięcioma Polakami, którzy nie chcieli u nas czerwonych porządków. Udało się ich uwolnić, ale aresztowany został dowódca akcji – Jan Rogólka ps. Grot – oraz 11 naszych ludzi. Znęcali się nad nimi, a następnie zamordowali ich. My z bratem – a także dwóch kolegów z Konspiracyjnego Wojska Polskiego – także zostaliśmy wtedy zatrzymani. ORMO nas trzymało w Kobielach Wielkich. Nie mieli na nas jednak niczego mocnego i – przekupieni odpowiednio przez kolegę – wypuścili nas. Mieliśmy bardzo dużo szczęścia.

W czasie okupacji niemieckiej „Warszyc" zasłynął też z bardzo skutecznej egzekucji wyjątkowo perfidnej pary gestapowców. Ich następcy bali się jak ognia ludzi „Warszyca" i ograniczyli terror...

W wyniku tej akcji zostałem zakładnikiem. To było fatalne przeżycie. Już myślałem, że będzie po mnie. Ta historia zaczęła się od egzekucji w Dmeninie koło Radomska. Niemcy powiesili tam w maju 1943 r. 11 mieszkańców. „Warszyc" nie mógł tego tolerować. W odwecie zarządził egzekucję szefa gestapo w Radomsku Willy'ego Bergera oraz jego zastępcy Johanna Wagnera. To byli potwornie okrutni ludzie. Zostali zastrzeleni w dzień targowy, gdy na ulicach panował bardzo duży ruch.

Ja byłem w obstawie tej akcji, ale po wszystkim wpadłem w czasie łapanki w Radomsku. Niemcy złapali mnie jako jednego z ostatnich. Żony zabitych zażądały w odwecie 200 ofiar spośród Polaków. Na „dzień dobry" dostaliśmy w bramie straszne lanie kolbami. Nasi oprawcy byli wściekli, że zabiliśmy im dwóch tak wysoko postawionych ludzi od terroru. Byłem przekonany, że nie wyjdę z tego żywy.

Nie było mowy o ucieczce?

Nie było takiej możliwości – wszystko było szczelnie otoczone żołnierzami z psami. Ich dowódca nazywał nas „komunistycznymi bandytami" i powiedział, że wszystkich nas zastrzelą. Niemcy cenili sobie jednak wykwalifikowanych pracowników i powiedzieli, że jeżeli są tu pracownicy przemysłu metalurgicznego, to powinni wystąpić naprzód. Było już ciemno i stwierdziłem, że zaryzykuję. Miałem zaświadczenie, że chodzę do szkoły w Radomsku. Tam była wielka niemiecka gapa. Razem ze mną wpadł mój kolega Witek, który stał obok mnie. Powiedziałem mu, żeby wyjął swoją legitymację. Witek stwierdził, że to zły pomysł, ale ja wiedziałem swoje i go pociągnąłem za sobą. Pokazaliśmy Niemcowi bezczelnie nasze papiery z gapami i on przyjął, że to przepustki. W ten sposób wypuścił nas dwóch!

Co się stało z resztą ludzi z łapanki?

Byłem bardzo dumny z mojego pomysłu na odzyskanie wolności, ale po kilku dniach Niemcy i tak wszystkich wypuścili, bo „Warszyc" dał gestapo ultimatum: jeżeli zamordujecie ludzi z łapanki, to zabici zostaną też wasi gestapowcy oraz ich rodziny. Ostro, bezwzględnie, ale bardzo skutecznie. Dzięki temu uratowanych zostało mnóstwo ludzi.

Jak długo po wojnie służył pan w podziemiu?

Jeszcze w 1947 r. miałem kontakty z podziemiem, ale komuna była coraz silniejsza i dalsza walka zbrojna wydawała się straceńcza. Ścigał mnie UB, musiałem się ukrywać i nie miałem wyboru – zostałem zmuszony do porzucenia studiów. Niczego jednak nie żałuję, bo całe życie postępowałem słusznie. Jestem dumny z bycia żołnierzem „Warszyca". Gdzie był „Warszyc" i jego żołnierze, tam była wolna Polska. Cześć ich pamięci!

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

kpt. Jerzy Stawski
– ps. Lubicz (ur. 1927 r.), był żołnierzem AK i Konspiracyjnego Wojska Polskiego. Służył w zgrupowaniu Stanisława Sojczyńskiego „Warszyca".

eprasa.pl feb53ef4b7

ORLEN

PARTNER
STRATEGICZNY
VIII EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI 2020

STRAŻNIK PAMIĘCI

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

eprasa.pl feb53ef4b7

Marian Zacharski

Niemiecki supertajny myśliwiec wylądował awaryjnie w Szwajcarii. Doszło do wielkiej międzynarodowej afery

1944 r. / Niemcy i Szwajcaria na skraju wojny

Wpadka Luftwaffe

Nocą z 27 na 28 kwietnia 1944 r. alianckie bombowce przeprowadziły serię zmasowanych nalotów na cele położone w południowych obszarach III Rzeszy. Do obrony Luftwaffe skierowało eskadry najnowocześniejszych nocnych myśliwców (Nachtjagd) wyposażonych w unikalne urządzenia radarowe oraz automatyczne szybkostrzelne działka pokładowe. Jedną z tych maszyn był Messerschmitt Me-110 C-9 EM o numerze seryjnym 740055, dowodzony przez Oberstleutnanta Wilhelma „Wima" Johnena, który pomimo zaledwie 23 lat życia i zaledwie 3,5-rocznego stażu w Luftwaffe od marca 1944 r. pełnił obowiązki dowódcy eskadry (Staffelkapitän). Pierwsze zestrzelenie alianckiego bombowca – Vickers Wellington X3589 ze 115 eskadry RAF – zaliczył 26 marca 1942 r., a w momencie objęcia funkcji dowódcy eskadry miał już na swoim koncie 18 zwycięstw. Wojnę zakończył z 34 zwycięstwami oraz odznaczeniem w postaci Krzyża Rycerskiego Krzyża Żelaznego, który mu nadano 29 października 1944 r.

Messerschmitt pełen tajemnic

Jednak tej nocy nie mógł zaliczyć do w pełni udanych. Po alarmie bojowym wystartował z lotniska w Moguncji, gdzie się znajdowała baza szóstego skrzydła myśliwców nocnych, kierując się na południe celem zaatakowania formacji samolotów alianckich zmierzających do wyznaczonego celu, jakim było miasto Friedrichshafen. Zaliczył nawet strącenie, ale w trakcie kontynuowania pościgu jego samolot – a bardziej precyzyjnie jeden z dwóch 12-cylindrowych silników DB 605 firmy Daimler Benz – przestał należycie pracować, najprawdopodobniej w wyniku trafienia pociskiem wystrzelonym z broni pokładowej alianckiego bombowca. Walcząc o utrzymanie się w powietrzu, nieświadomie wleciał nad terytorium Szwajcarii, gdzie o godz. 2.15 zmuszony był do awaryjnego lądowania na lotnisku Dübendorf w okolicach Zurychu.

Notabene lotnisko to było dosyć „popularne" wśród załóg samolotów, które mniej lub bardziej świadomie naruszały przestrzeń powietrzną neutralnej Szwajcarii. Na przykład 18 marca 1944 r. wylądowało na nim 12 amerykańskich bombowców. Dowódca messerschmitta Johnen wraz z dwoma innymi członkami załogi, st. sierż. Mahlem i por. Kamprathem, zostali internowani. Dla

eprasa.pl feb53ef4b7

RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

najwyższego dowództwa sił niemieckich los załogi był ważny, ale nie należał do absolutnie priorytetowych. Ich ból głowy skoncentrowany był na utracie unikalnego, dotąd ściśle tajnego wyposażenia samolotu. Chodziło o radar pokładowy SN-2 Naxos oraz usytuowane na górze kadłuba z tyłu kokpitu dwa działka pokładowe MG 151 kalibru 20 mm strzelające ukośnie do góry, które w wojskowym slangu nazywane były schräge Musik (od ówczesnego opisu jazzu określanego mianem muzyki skośnej, czytaj: dziwnej).

Nietypowe usytuowanie działek pozwalało na stosowanie odmiennej techniki walk powietrznych. Myśliwiec podchodził pod formacje bombowców (różnica pułapów do 500 m) i ostrzeliwał je od dołu, ograniczając tym sposobem zawsze niebezpieczny kontakt z defensywnym uzbrojeniem atakowanych samolotów. Ponieważ istniała możliwość uszkodzenia myśliwca odłamkami trafionego bombowca, szkolono pilotów, aby strzelali w płat między silnikami i po serii z działek dokonywali manewru natychmiastowego odejścia w bok. Pierwsze, na szeroką skalę, użycie tego typu broni nastąpiło nocą z 17 na 18 sierpnia

Kapitan Wilhelm Johen
FOT. MILITARY.WIKIA.ORG

1943 r., w trakcie ataku aliantów na Peenemünde. Wyniki były bardzo obiecujące. Nocne myśliwce zestrzeliły 29 samolotów z ogółu 40 utraconych przez aliantów.

Dodatkowych kłopotów władzom niemieckim dostarczył por. Kamprath obsługujący radar pokładowy, a jednocześnie odpowiadający za bezpieczną łączność z bazą. Z nieustalonych bliżej powodów na ten konkretny lot zabrał ze sobą cały zestaw najnowszych kodów stosowanych w niemieckich siłach powietrznych do utajniania treści łączności utrzymywanej drogą radiową. Dowództwo Luftwaffe, nie mając innego wyjścia, przekazało kanclerzowi Hitlerowi wszystkie fatalne wieści o losie samolotu z nowatorskimi urządzeniami, szyfrów i załogi.

Jego reakcja nie była trudna do przewidzenia. Wpadł w szał, podejrzewając zdradę, a więc celową utratę tajemnic. Wezwał do siebie Himmlera, któremu rozkazał podjęcie natychmiastowych przygotowań, we współpracy z Luftwaffe, do przeprowadzenia zmasowanego nalotu bombowego na szwajcarskie lotnisko lub wysłanie na miejsce jednostki komandosów pod dowództwem słynnego Ottona Skorzenego celem całkowitego zniszczenia cennego samolotu naszpikowanego tajemnicami.

Drogą służbową Himmler wydał rozkaz szefowi RSHA Kaltenbrunnerowi, aby Skorzeny niezwłocznie zebrał swój oddział nieustraszonych komandosów w bazie lotnictwa w Memmingen i pozostawał w pełnej gotowości bojowej do wykonania postawionego zadania. Dodatkowo prewencyjnie aresztowano rodziny członków załogi nieszczęsnego nocnego myśliwca. Miały być zakładnikami na wypadek zdrady popełnionej przez internowanych pilotów. Generał Walter Schellenberg, szef Amt VI (wywiad) w strukturze RSHA, posiadający bardzo dobre kontakty z wysokimi oficerami wywiadu Szwajcarii, podjął gorączkowe kroki celem zapobieżenia nieuchronnemu wybuchowi konfliktu zbrojnego między obu państwami, co mogło nastąpić w razie nalotu bombowego na lotnisko Dübendorf.

Po pierwsze, poprosił o audiencję u Hitlera, w trakcie której udało mu się przekonać Führera do pokojowego załatwienia tematu drogą negocjacji z szefem wywiadu Szwajcarii, brygadierem Rogerem Massonem. Materiałem przetargowym w tych rozmowach ostatniej szansy miała być zgoda władz niemieckich na sprzedaż Helwetom partii myśliwców Me 109 G w zamian za zwrot lub zniszczenie na ziemi feralnego nocnego myśliwca. Schellenberg zapewnił Hitlera, że ma w swojej organizacji zaufanego pośrednika, który przeprowadził już z południowym sąsiadem wiele poufnych spraw, ku zadowoleniu każdej ze stron.

Niemcy proponują

Chodziło o Sturmbannführera SS Hansa Wilhelma Eggena (ur. 1912), syna bogatego biznesmena, z wykształcenia prawnika, członka NSDAP i SS od 1933 r. W 1938 r. Eggen założył w Berlinie przy Tauentzienstrasse 12A rodzinną firmę prowadzącą międzynarodowe interesy. Jego firma często wykorzystywana była zarówno przez VI Amt RSHA, jak i przez IX Wydział Führungshauptamt (FHA) specjalizujący się w zawieraniu poufnych transakcji zakupowych na rzecz Waffen-SS. Tego typu działalność wymagała od niego także utrzymywania bliskich kontaktów z Reichswirtschafts Ministerium, które restrykcyjnie kontrolowało rozdział zawsze deficytowych dewiz.

Jednym słowem, posiadał odpowiednie koneksje zarówno w strukturach III Rzeszy, jak i wśród partnerów, nie tylko handlowych, poza jej granicami. Na rozkaz Schellenberga Eggen pospiesznie udał się do Szwajcarii celem podjęcia

eprasa.pl feb53ef4b7

Messerschmitt Bf 110 FOT. ARCHIWUM

negocjacji. Na życzenie marszałka Göringa towarzyszył mu attaché wojskowy Szwajcarii akredytowany w Berlinie, Peter L. Burckhardt. Pierwsze spotkanie odbyło się w czwartek 11 maja 1944 r. w Zurychu. Ze strony szwajcarskiej brali w nim udział: brygadier Roger Masson (szef wywiadu), szef wojsk lotniczych płk Fritz Rhiner (w niektórych dokumentach jego nazwisko podawane jest jako Rhyner) i brygadier von Wattenwyl. Propozycje, które Eggen przedstawił Szwajcarom, cieszyły się wedle jego zapewnień pełną aprobatą zarówno kanclerza Hitlera, jak i marszałka Göringa. Co zawierały?

Otóż Niemcy byli gotowi do natychmiastowego zawarcia umowy dotyczącej sprzedaży 12 maszyn Me 109 G, uznawanego w owym czasie za najlepszy samolot myśliwski, który również Szwajcarzy bardzo sobie cenili. Realizacja dostawy pierwszych sześciu samolotów miała nastąpić natychmiast po podpisaniu kontraktu i zabezpieczeniu płatności w gotówce po 500 tys. franków za sztukę. Kolejne sześć maszyn tego samego modelu, ale z nieco innym wyposażeniem, miało zostać dostarczone w kolejnym tygodniu. W zamian Niemcy oczekiwali zwrotu lub komisyjnego zniszczenia internowanego samolotu Me 110 C-9 EM.

Eggen kilkakrotnie potwierdzał, że sześć pierwszych maszyn było gotowych do natychmiastowego odlotu do Szwajcarii. Twardo przy tym zaznaczał, że jego przełożeni oczekują decyzji Helwetów nieomal z dnia na dzień. Definitywna odpowiedź winna zostać przekazana stronie niemieckiej najpóźniej w najbliższą niedzielę, tj. 14 maja, w godzinach wieczornych. Brak jasnej odpowiedzi we wskazanym terminie miał spowodować, według Eggena, automatyczne uruchomienie operacyjnych procedur niezbędnych w siłowym rozwiązaniu tej drażliwej sprawy. Następnego dnia Szwajcarzy ponownie zebrali się, tym razem już tylko we własnym gronie. Ze względu na powagę sytuacji w naradzie brał również udział dowódca sił zbrojnych tego państwa, legendarny gen. Henri Guisan.

W trakcie dyskusji płk Rhiner przypomniał zebranym, że już w 1940 r. doszło do (do pewnego stopnia podobnego) precedensu, kiedy to Szwajcaria zwróciła Niemcom sześć samolotów typu Dornier 215, Henkel oraz Messerschmitt, które z różnych powodów wylądowały na jej terytorium. Pułkownik Masson zwrócił zaś uwagę zebranym, że lotnisko w Dübendorf nie zostało jeszcze zbombardowane przez Niemców wyłącznie dlatego, że gen. Walter Schellenberg osobiście interweniował w tej sprawie u Hitlera. Istnienie planu ataku, w razie fiaska negocjacji, potwierdził również niemiecki attaché lotniczy w Bernie, płk Helmuth Gripp. W toku dalszej dyskusji brygadier Masson nalegał na wyrażenie zgody na przeprowadzenie transakcji wiązanej, dodając, że oświadczenia niemieckiego wysłannika z Berlina, Sturmbannführera Hansa Wilhelma Eggena, należało traktować jako w pełni wiarygodne, ponieważ wsparte one były odpowiednimi plenipotencjami otrzymanymi osobiście od marszałka Göringa.

Mówiąc o korzyściach z zakupu Me 109 G, płk Rhiner ze swojej strony zwrócił dodatkową uwagę zebranych na drobny, ale jednak akt dobrej woli strony niemieckiej. Ponieważ każdy seryjny samolot Me 109 G wyposażony był w działko 20 mm oraz dwa karabiny maszynowe kalibru 13 mm, do których strona szwajcarska nie posiadała stosownej amunicji, niemiecki wysłannik zaproponował jednoczesną dostawę 120 tys. nabojów do karabinów maszynowych oraz 36 tys. pocisków do działek. Po otrzymaniu takiego zapasu amunicji strona szwajcarska miała czas na uruchomienie własnej produkcji.

Narada Szwajcarów

Po zakończeniu dyskusji brygadier Masson telefonicznie umówił kolejne spotkanie, tym razem z jednym z ministrów rządu Szwajcarii, radcą federalnym Eduardem von Steigerem. Generał Guisan, brygadier Masson, płk Rhiner i mjr Burckhardt o godz. 16.25 przybyli do Palais du Parlament w Bernie, gdzie pięć minut później rozpoczęła się kluczowa narada.

Generał Guisan zrelacjonował ministrowi stan spraw, zwracając szczególną uwagę na wyznaczone przez Niemców terminy podjęcia ostatecznej decyzji. Brygadier Masson ujawnił nowy element. Otóż poinformował, że Niemcy zaproponowali stronie szwajcarskiej zakup kilku gotowych maszyn oraz udzielenie licencji na produkcję tego samego modelu myśliwca nocnego, który awaryjnie wylądował na lotnisku Dübendorf. Uznał jednak ten manewr Berlina za nie do końca szczery, który miał jedynie na celu zabezpieczenie utrzymania w tajemnicy jego nowatorskich rozwiązań. No bo kto ujawnia szczegóły techniczne własnego sprzętu latającego?

Poza tym Szwajcaria nie potrzebowała myśliwca nocnego, który jednocześnie mógł pełnić funkcję bombowca. Dla Helwetów zakup Me 109 G był optymalnym wyborem. Słowa bryg. Massona potwierdził płk Rhiner. Pułkownik Burckhardt dodał, że od pół roku prowadzone były rozmowy na temat zakupu Me 109 G. Zawsze bez ostatecznej konkluzji. W obecnej sytuacji wszystko się zmieniło i stąd

eprasa.pl feb53ef4b7

uznał, że strona szwajcarska winna skorzystać z okazji, szybko podpisując proponowane porozumienie.

Przed zajęciem stanowiska przez ministra Steigera raz jeszcze zabrał głos płk Rhiner. Poinformował, że attaché Gripp domaga się możliwości zobaczenia ich internowanego samolotu w Dübendorf. Celem nadrzędnym było stwierdzenie, czy był on demontowany w celu rozpracowania nowatorskich rozwiązań technicznych. Zgody nie dostał. Pewnie dlatego, że szwajcarscy specjaliści dokonali „stosownych" oględzin. Trudno się im dziwić. Niemców wypadło pozostawiać w niepewności, czy wyniki „obdukcji" nie znalazły się w rękach alianckich inżynierów.

Minister Steiger skoncentrował się na aspekcie politycznym całej sprawy. Wykluczył przekazanie stronie niemieckiej ostatecznej decyzji w niedzielę wieczorem, ponieważ dwóch członków rządu (Kobelt i Celio) było nieobecnych w Bernie. Dodatkową przeszkodą było to, że w tę konkretną niedzielę odbywać się miał w Lucernie kongres Partii Radykalnej. Spuentował swoje wystąpienie przypomnieniem, że tak ważna decyzja wymagała kolegialności przy jej podejmowaniu. Pomimo oświadczeń gen. Guisana, że politycy nie powinni zbyt lekko traktować niemieckiego ultimatum, Steiger pozostawał nieugięty. Stwierdził, że sprawę postawi na posiedzeniu rządu we wtorek, a więc dwa dni po terminie wyznaczonym przez Niemców.

Szukając kompromisu, gen. Guisan zaproponował prowizoryczny list, ale żadne z tymczasowych rozwiązań nie znalazło ministerialnej aprobaty. Nagle, zmieniając temat, minister zapytał zebranych o powód lądowania Me 110 C na terytorium Szwajcarii. Pułkownik Rhiner wyjaśnił, że pilot zaangażowany był w walkę z alianckimi bombowcami w południowych Niemczech i w pewnym momencie stracił orientację. Sądził, że znajdował się w okolicach Stuttgartu. Dopiero po wylądowaniu zorientował się, że jest na lotnisku w Szwajcarii. Próbował ponownie wystartować, ale żołnierze zabezpieczający bazę skutecznie temu zapobiegli.

Ostateczny wynik spotkania sprowadził się do stwierdzenia ministra, że zrobi wszystko, aby jak najszybciej przekazać decyzję rządu, na co w odpowiedzi gen. Guisan koncyliacyjnie potwierdził, iż dla Szwajcarii sprawa utrzymania zasady neutralności zawsze była i pozostaje bardzo istotna. To samo dotyczyło zasady kolegialności w podejmowaniu strategicznych decyzji. Kończąc, dodał, że jego podwładni natychmiast powiadomią Niemców, iż otrzymają stosowną odpowiedź z kilkudniową zwłoką.

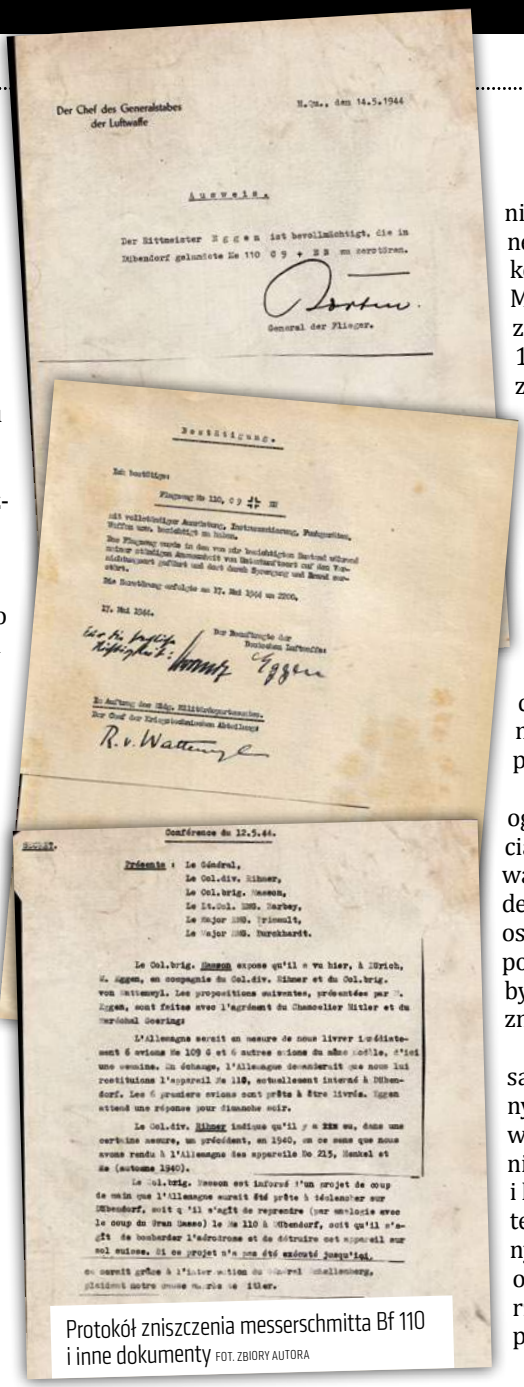
Der Chef des Generalstabes der Luftwaffe

N.Qu., den 14.5.1944

Ausweis.

Der Rittmeister Eggen ist bevollmächtigt, die in Dübendorf gelandete Me 110 C 9 + EB zu zerstören.

General der Flieger.

Bestätigung.

Flugzeug Me 110, C 9 + EB

Der Beauftragte der Deutschen Luftwaffe

Eggen

R. v. Wattenwyl

Conférence du 12.5.44.

Présents : Le Général,
Le Col.div. Rihner,
Le Col.brig. Masson,
Le Lt.Col. EMG. Barbey,
Le Major EMG. Frisault,
Le Major EMG. Burckhardt.

Protokół zniszczenia messerschmitta Bf 110 i inne dokumenty FOT. ZBIORY AUTORA

Brand, czyli pożar

Sprawa przeciągnęła się o prawie tydzień. Na szczęście bez realizacji niemieckiego ultimatum. Jako ostateczne wybrano rozwiązanie polegające na komisyjnym wysadzeniu w powietrze Me 110 C-9 EM w zamian za możliwość zakupu i natychmiastowej dostawy 12 Me 109 G. Dalej sprawy pobiegły z niemiecką dokładnością i skrupulatnością. Eggen otrzymał od szefa sztabu Luftwaffe, gen. Kortena, stosowne upoważnienie do zniszczenia samolotu. Data dokumentu: 14 maja 1944 r. Był to zapewne jeden z ostatnich podpisów gen. Kortena na strategicznie ważnym dokumencie ponieważ 20 lipca tegoż roku, w trakcie zamachu na życie Hitlera podczas narady w kwaterze w okolicach Kętrzyna odniósł ciężkie obrażenia, w wyniku których zmarł dwa dni później w szpitalu polowym.

17 maja Eggen oraz Gripp dokonali oględzin feralnego Me 110 C-9 EM. Chociaż zauważyli ślady mogące wskazywać na możliwość podejmowania prób demontażu niektórych elementów, to ostatecznie uznali, że celem nadrzędnym postawionym im przez dowództwo nie było wszczynanie kłótni, ale całkowite zniszczenie maszyny.

W nocy z 17 na 18 maja 1944 r. samolot Me 110 C-9 EM został zniszczony za pomocą zapalających ładunków wybuchowych. Odpalono je w obecności niemieckich przedstawicieli – Eggena i Branda. Można zażartować, że dobór tego ostatniego był jak najbardziej trafny, ponieważ niemieckie słowo „Brand" oznacza „pożar". Przebieg tego wydarzenia został potwierdzony stosownym protokołem.

Druga faza realizacji uzgodnień, czyli dostawa Me 109 G, przebiegła bez zakłóceń. Pierwsze sześć maszyn wylądowało na lotnisku Dübendorf 20 maja. Brand wrócił do Berlina z 3 mln franków szwajcarskich, które – jak podają niemieckie źródła – miał osobiście wręczyć marszałkowi Göringowi.

Podsumowując powyższe, wypada stwierdzić, że nawet w sytuacjach ekstremalnych obowiązkiem rządzących jest podtrzymywanie otwartych kanałów łączności, również z krajami uznawanymi za wrogie. Doskonale w realizacji tego zadania sprawdzają się wysocy oficerowie wywiadów, nieobciążeni bagażem, mniej lub bardziej rozsądnych, poglądów czy programów politycznych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl feb53ef4b7

Maciej Rosalak

1986 r. / Cud Różańca i obalenie dyktatora na Filipinach

Upadek Marcosa

Ferdinand Marcos rządził za pomocą terroru i strachu. Razem z żoną Imeldą ukradli miliardy dolarów. Aż wreszcie Filipińczycy powiedzieli: „Dość!”

Dziewczynka z różańcem uklękła przed nadjeżdżającym czołgiem. „Panie żołnierzu, niech pan nas nie zabija…” – powiedziała wychylonemu zza pancerza czołgiście. Ten po chwili uśmiechnął się: „Nie bój się, maleńka, nie zabiję nikogo!”. Gdy przytulił dziecko, z oczu obojga płynęły łzy… Dziewczynka miała na imię Risa, a stała w pierwszym szeregu dwumilionowego tłumu rodaków, którzy zgromadzili się 22 lutego 1986 r. na wielopasmowej autostradzie Epifanio de los Santos Avenue (w skrócie EDSA) – alei Objawienia Świętych – opasującej Manilę, stolicę Filipin. Przed 34 laty doszło tu do niesamowitego wydarzenia, nazwanego potem cudem różańcowym lub rewolucją różańcową. Naród Filipin bezkrwawo pozbył się wtedy uzurpatora, który wraz z rodziną bezczelnie go ograbiał, a protesty dusił terrorem.

Ów uzurpator to były prezydent Ferdinand Edralin Marcos (1917–1989). W 1972 r. – po dwóch legalnych, czteroletnich kadencjach, kiedy rządził zgodnie z prawem, wprowadzał pożądane reformy i podniósł poziom życia mieszkańców – zapragnął pozostać u władzy i dokonał zamachu stanu. Nie tylko złamał konstytucję, lecz także przez następne kilkanaście lat dał się narodowi mocno we znaki. Łupieni przezeń Filipińczycy zdążyli zapomnieć o gospodarczym wzroście przełomu lat 60. i 70., a im bardziej nasilał represje wobec objawiających niezadowolenie, tym bardziej skłaniał ich do oporu.

Absolwent wydziału prawa Uniwersytetu Filipińskiego, który ukończył z wyróżnieniem w 1939 r., po inwazji

Obraz „Apoteoza rodziny Marcosów”
MAL. RALPH WOLFE COWAN

eprasa.pl feb53ef4b7

japońskiej w 1941 r. walczył w szeregach armii filipińskiej, a w niewoli przeżył zbrodniczy marsz śmierci z półwyspu Bataan ku środkowi wyspy Luzon. Po ucieczce z niewoli miał przyłączyć się do antyjapońskiej partyzantki. Gdy USA przyznały Filipinom pełną niezależność, Marcos został w 1946 r. asystentem pierwszego prezydenta Filipin Manuela Roxasa, od 1949 do 1959 r. był deputowanym do Izby Reprezentantów, a następnie zasiadał w senacie. Jako kandydat Partii Narodowej wygrał w 1965 r. po raz pierwszy wybory prezydenckie. Rządził podobnie jak w systemie amerykańskim.

Uzurpator i małżonka

Po wprowadzeniu 21 września 1972 r. stanu wyjątkowego Marcos aresztował 60 tys. politycznych przeciwników, zawiesił prawa obywatelskie, zamykał wolną prasę, rozwiązał parlament i wprowadził nową konstytucję, władzę zaś sprawował za pomocą dekretów. Wprawdzie w styczniu 1981 r. – przed przyjazdem Jana Pawła II – zniósł stan wyjątkowy, ale nie wszędzie i nadal rządził, wydając dekrety. Zamęt i niepokój w kraju powiększała zbrojna partyzantka muzułmańskiego Narodowego Frontu Wyzwolenia Moro oraz komunistycznej Nowej Armii Ludowej. Partyzanci odnosili coraz częstsze sukcesy, bo czystki przeprowadzane przez dyktatora w siłach zbrojnych obniżały ich wartość bojową.

Dodajmy, że po 1972 r. Marcos w sposób niekontrolowany nie tylko kierował wojskiem, lecz także podejmował szkodliwe decyzje ekonomiczne. Brak kontroli sprzyjał korupcji w aparacie władzy. Miliardy dolarów wypływały z budżetu, co już w połowie lat 70. spowodowało, że co trzeci Filipińczyk żył poniżej minimum socjalnego. Pogłębiającej się biedzie towarzyszył kompletny brak zaufania do pary prezydenckiej, która bez skrępowania, na oczach milionów zbiedniałych rodaków, otaczała się luksusem. Oburzenie znacznej części społeczeństwa wywoływała zwłaszcza pierwsza dama – Imelda.

Głównego przeciwnika politycznego – Benigno Aquino – Marcos aresztował jako pierwszego w 1972 r. Potem niemal osiem lat go więził, skazał na śmierć, ale ciężko chorego na serce wreszcie w 1980 r. wypuścił i wysłał na operację oraz wieczne wygnanie do USA. Trzy lata później Aquino postanowił jednak opuścić Boston, gdzie osiadł wraz z rodziną, i wrócić do ojczyzny na wybory prezydenckie. 21 sierpnia 1983 r. został zamordowany strzałem w głowę w chwili opuszczania samolotu na lotnisku w Manili.

Opozycja, do tej pory skłócona i rozdrobniona, teraz zjednoczyła się wokół wdowy po nim – pani Corazon Aquino. W całym kraju wybuchły zamieszki, krytykował dyktatora Kościół, Stany Zjednoczone dystansowały się wobec Marcosa, którego dotychczas popierały jako antykomunistyczną zaporę. Poczuł się on zmuszony do powołania komisji śledczej. Ta zaś ustaliła, że za zamach na Aquino odpowiedzialny był najwyższy rangą oficer armii filipińskiej, krewny i bliski współpracownik Marcosa – gen. Fabian Ver. Wypełniała się beczka prochu i tylko iskry brakowało, aby wybuchła.

Wybuch nastąpił na początku ostatniej dekady lutego 1986 r. Po wydarzeniach cudu różańcowego (patrz niżej) armia odwróciła się od Marcosa i stanął on w obliczu klęski. Spróbował jeszcze 24 lutego ogłosić stan wyjątkowy w telewizji, ale w trakcie przemówienia rebelianci przejęli stację. Następnego dnia Corazon Aquino została zaprzysiężona na prezydenta Filipin. Kardynał Jaime Sin skłonił prezydenta Ronalda Reagana do udzielenia Marcosowi azylu w USA, chroniąc go tym samym przed samosądem komunistów. Do śmierci (1989) mieszkał z rodziną na Hawajach.

Imelda wróciła dwa lata później na Filipiny oraz do życia publicznego w kraju i – mimo śledztw, procesów i wyroków – włos z głowy jej nie spadł. Zwłaszcza że obecny prezydent Rodrigo Roa Duterte (ur. 1945), wsławiony licznymi morderstwami dilerów narkotykowych, okazuje wielki szacunek pamięci jej męża.

Imelda R. Marcos urodziła się w 1929 r. w biednej dzielnicy manilskiej i dzieliłaby zapewne nieciekawy los wielu swych biednych rówieśniczek, gdyby nie wrodzone ambicja, energia, spryt i uroda. Dzięki tym cechom potrafiła w 1953 r. zdobyć tytuł Miss Manili, a rok później olśnić i rozkochać w sobie starszego o 12 lat prawnika, wówczas deputowanego do filipińskiej Izby Reprezentantów – Ferdinanda Marcosa. Podobno miłość wyznał jej pół godziny po zawarciu znajomości, a ożenił się z nią po dalszych 11 dniach.

Gorące uczucie żywił do małżonki również po następnych 12 latach, gdy został wybrany na prezydenta kraju. Niektórzy komentatorzy sądzą, że Imelda odgrywała przy mężu podobną rolę jak lady Makbet, inni skłonni są widzieć w niej tylko pięknego, kolorowego motyla, ozdabiającego czas jego panowania.

Faktem jest, że mąż mianował ją gubernatorem regionu stołecznego, ministrem budownictwa mieszkaniowego i ekologii oraz ambasadorem nadzwyczajnym, składającym wizyty w Moskwie, gdzie m.in. uświetniała pogrzeby kolejnych genseków – Breżniewa, Andropowa i Czernienki – oraz w Pekinie. Przewodniczący Mao był nią oczarowany. Podobnie inni dyktatorzy – Kaddafi czy Saddam Husajn. W 1971 r. reprezentowała kraj na uroczystościach 2500-lecia Cesarstwa Perskiego w Iranie, będących wielkim zjazdem koronowanych głów. A w 1981 r. starała się odgrywać pierwszoplanową rolę podczas kilkudniowej wizyty Jana Pawła II, poczynając od wręczenia mu kluczy do Manili już na lotnisku tuż po przylocie Ojca Świętego na Filipiny.

„Ludzie chcą ujrzeć kogoś, kogo mogą pokochać, kto daje im przykład. Pragną prezydentowej, która wygląda jak milion dolarów. Potrzebują gwiazdy, która oświetli ciemność ich nocy" – wyznała Imelda w jednym z wywiadów. W pewnej mierze miała chyba rację – jeszcze niedawno, w XXI w. (!), pomimo śledztw i (nieprawomocnych niestety) wyroków, wygrywała parokrotnie w wyborach parlamentarnych. Jej styl „miliona dolarów"– z przesadnym makijażem oraz strojem i wartą fortunę biżuterią – nie był jednak naśladownictwem francuskiej elegancji Jackie Kennedy, za jaką w Azji pragnęła uchodzić, tylko nowobogackiej kariery typu „z nędzy do pieniędzy". Ona sama określiła swój styl jako „imeldific". Jeśli desygnatami owego pojęcia są: próżny, przesadny, ekstrawagancki czy wulgarny, to ten termin należałoby uznać za trafny.

Podczas wspomnianych dochodzeń w sprawie malwersacji Marcosów legalne jej zarobki w służbie państwowej liczono na setki tysięcy dolarów, natomiast osobisty majątek Imeldy szacowano w końcu lat 70. na ponad 20 mld (!) dol.

eprasa.pl feb53ef4b7

(obecnie zresztą na ponad 30 mld, a to dzięki biznesom z wykorzystaniem rajów podatkowych…). Gdy w 1986 r. obaleni Marcosowie schronili się na Hawajach, Imelda stała się sławna nie tylko na Filipinach, lecz także na całym świecie z powodu pozostawionej w rezydencji prezydenckiej olbrzymiej kolekcji luksusowego obuwia, liczącej ponad tysiąc par. Znaleziono poza tym 15 futer z norek, 508 długich płaszczy, 888 torebek i 65 parasolek.

Zamordowanie Benigno Aquino na manilskim lotnisku w sierpniu 1983 r. FOT. EAST NEWS

Modlitwa na autostradzie

Dwa i pół roku upłynęło od zamordowania Benigno Aquino, zanim doszło do masowego protestu przeciw poczynaniom dyktatora. Lawinę uruchomił on sam, zarządzając przeprowadzenie wyborów prezydenckich. Gdy do walki z nim stanęła wdowa po zamordowanym – Corazon Aquino (1933–2009) – zyskała powszechną sympatię wyborców i stanęła na czele koalicji ugrupowań politycznych dążących do odsunięcia Marcosa od władzy. Wyborom w 1986 r. towarzyszyły jednak tak liczne nadużycia i ewidentne fałszerstwa, że protesty opozycji, kwestionującej zwycięstwo ogłoszone przez Marcosa oraz ogłaszającej zwycięstwo swej kandydatki, znalazły zrozumienie Filipińczyków oraz międzynarodowej opinii publicznej.

Aresztowania licznych opozycjonistów wywołały z kolei zamieszki w całym kraju, oraz – co było szczególnie groźne – bunt w armii. Na jego czele stanął zagrożony aresztowaniem minister obrony narodowej Juan Enrile. Do buntowników przystąpiła też znacząca postać – gen. Fidel Valdez Ramos (ur. 1928), zastępca dowódcy sił zbrojnych, absolwent West Point, weteran wojen koreańskiej i wietnamskiej. Łącznie 300 wojskowych zabarykadowało się w koszarach przy autostradzie Epifanio de los Santos Avenue i ogłosiło, że będą walczyć z uzurpatorem i albo on ustąpi, albo oni polegną. Marcos z kolei – dysponujący nadal bronią pancerną, artylerią i lotnictwem – zapowiedział aresztowanie przywódców buntu i starcie koszar z powierzchni ziemi w razie oporu.

Pomoc dla kontestatorów w mundurach nadeszła ze strony Kościoła rzymskokatolickiego, do którego należało 85 proc. mieszkańców wśród blisko 50-milionowej wtedy ludności kraju (dziś liczy ona ponad 100 mln). Oto metropolita Manili i prymas Filipin kard. Jaime Lachica Sin (1928–2005) – i wcześniej wielokrotnie występujący przeciw łamaniu praw człowieka przez Marcosa – tym razem wezwał wiernych wprost do masowego przeciw niemu wystąpienia. Przez katolickie Radio Veritas wezwał 22 lutego 1986 r. rodaków: „Wyjdźcie na ulice, stańcie pomiędzy siłami Enrile'a i Ramosa a nadjeżdżającymi czołgami!".

I oto z całego miasta popłynął na autostradę tłum. Szli starzy i młodzi, biedni i bogaci, świeccy i duchowni, rodziny z dziećmi – niemal wszyscy z różańcami w dłoniach. Na Epifanio de los Santos Avenue rozpoczęło się największe w dziejach różańcowe nabożeństwo. Cztery dni i noce ludzie modlili się, śpiewali maryjne pieśni, przyjmowali komunię świętą podczas mszy odprawianych przez licznych kapłanów przed prowizorycznymi ołtarzami wzniesionymi na autostradzie. Oczekiwali pomocy od Matki Najświętszej…

Najpierw pojawiło się kilkadziesiąt czołgów, a za nimi kilkutysięczna kolumna wojska. Gdy z chrzęstem gąsienic i tupotem butów zbrojna siła zbliżała się do bezbronnych ludzi, ci uklękli, unieśli w górę różańce i zaczęli się głośno modlić. Czołgiści zatrzymali pancerne wozy, stanęli piechurzy i nagle żołnierskie głosy zaczęły przyłączać się do chóru niedoszłych ofiar. Świadkowie widzieli poruszające sytuacje (cytaty ze strony Sekretariatu Fatimskiego: www.sekretariatfatimski.pl/rozaniec/259-cud-na-filipinach):

W stronę, gdzie „jedna z sióstr prowadziła różaniec, zbliżał się czołg

eprasa.pl feb53ef4b7

z samotnym żołnierzem w wieżyczce. Czołg zatrzymał się przed klęczącym tłumem. Żołnierz patrzył długą chwilę z zachwytem, po czym powiedział: »Czy mogłaby siostra modlić się głośniej? Moi ludzie w czołgu nie słyszą«. Kiedy zakonnica skinęła głową, twarz żołnierza rozpromienił szeroki uśmiech. Po chwili załoga czołgu dołączyła się do wspólnej modlitwy.

Staruszka na wózku inwalidzkim wysunęła się do przodu. Trzymając w rękach różaniec, zawołała do dowodzącego innym czołgiem: »Możesz mnie zabić, bo i tak jestem już stara! Ale nie rób krzywdy tamtym ludziom«. Czołg zatrzymał się kilka metrów przed starą filipińską kobietą.

Trzynastoletnia Risa z zerwanymi w ogródku stokrotkami klęczała i patrzyła na zbliżający się czołg. Pod jej kolanami asfalt był mokry od potu. »Panie żołnierzu, niech pan nas nie zabija. Jesteśmy Filipińczykami, tak samo jak pan«. Wyciągnęła bukiecik ku czołgiście. Żołnierz długo na nią patrzył przewiercającym na wylot wzrokiem. Wreszcie uśmiechnął się. »Nie bój się, maleńka, nie zabiję nikogo«. Zeskoczył z czołgu i wziął z rąk dziecka kwiaty. Risa przytuliła się do niego. Z oczu żołnierza i dziewczynki płynęły łzy.

Dzieci przyszły z kwiatami i wkładały je w lufy karabinów, które miały służyć do zabijania. Klerycy wychodzili naprzeciw żołnierzy i obejmowali ich w uścisku braterstwa. Byli przecież w tym samym wieku co oni. Kobiety i dziewczęta robiły kanapki dla okupujących aleję i częstowali nimi żołnierzy jadących ku nim w czołgach".

Były dalsze zaskakujące sytuacje. Po wycofaniu „zdemoralizowanych" oddziałów do akcji przystąpiły jednostki specjalne i – korzystając ze sprzyjającego wiatru – obrzuciły modlących się ludzi pojemnikami z gazem łzawiącym. Kiedy tylko pojemniki upadły, wiatr jednak odwrócił się o 180 stopni i chmura gazu rozgoniła napastników. Podobnie stało się po dwóch godzinach. Nie udał się też ostrzał koszar z moździerzy. Jakoś kilka godzin upłynęło, zanim dowódca artylerii znalazł odpowiednie stanowisko i cel, aby – strzelając do zbuntowanych żołnierzy – nie zabijać przy tym cywili. Wreszcie dał rozkaz: „Pal!", ale żaden pocisk nie odpalił. Wszystkie okazały się niewypałami… Z kolei dowódca helikopterów bojowych nie tylko nie zbombardował koszar przy autostradzie, lecz także po prostu rozkazał załogom wylądować wśród rebeliantów…

Filipiny i JP II

Na koniec warto przypomnieć dwie wizyty, które złożył na Filipinach Jan Paweł II. Pierwsza z nich trwała od 17 do 22 lutego 1981 r., podczas azjatyckiej podróży Ojca Świętego, która była jego dziewiątą pielgrzymką zagraniczną. W ciągu 12 dni papież odwiedził wtedy: Pakistan, Filipiny, Guam, Japonię i USA (Alaskę). W Manili witały go setki tysięcy ludzi, podobnie jak w 1979 r. w Polsce. I podobnie jak tamta niezapomniana pielgrzymka była zapowiedzią narodzin Solidarności, tak i tu tłamszone przez władzę społeczeństwo mogło się wtedy „policzyć" i zdać sobie sprawę z własnej siły.

Jak pisze Jolanta Sosnowska („Hetman Chrystusa. Biografia świętego Jana Pawła II", tom 1), już w drodze z lotniska do rezydencji Marcosa gościa witały nieprzebrane tłumy. Ogromny entuzjazm towarzyszył mu również w kolejnych dniach, gdy odwiedzał uniwersytety i najbiedniejszych pracowników plantacji, mniejszość chińską i muzułmańską, gdy przemawiał do rybaków z mostu łączącego wyspy Cebu i Mactan (na której skonał w 1521 r. Magellan), do duchowieństwa i do trędowatych. Przypomnijmy jednak wizytę w prezydenckim pałacu Malacanang, byłej (do kresu hiszpańskiego panowania w 1898 r.) siedzibie hiszpańskiego gubernatora, którą rozpoczął od wygłoszenia orędzia do narodu filipińskiego.

Nawiązując do niedawno odwołanego (zresztą tylko częściowo) stanu wyjątkowego, powiedział: „Nawet w sytuacjach wyjątkowych, które czasem mogą zaistnieć, nie wolno nigdy usprawiedliwiać jakiegokolwiek pogwałcenia podstawowej ludzkiej godności czy fundamentalnych praw, które strzegą wolności. […] Ci, którym powierzono zadanie rządzenia, przynoszą zaszczyt chrześcijaństwu wówczas, kiedy swoją wiarygodność wspierają poprzez przedkładanie interesów wspólnoty nad wszystkie inne i uważanie siebie samych, najpierw i przede wszystkim, za sługi wspólnego dobra". Prorocze słowa, które pamiętano dokładnie pięć lat później podczas „rewolucji różańcowej". Zauważmy, jak ta sytuacja przypomina wcześniejsze słowa – że myśl, która jest dobra, musi być powiązana z prawdą, a jeśli nie ma prawdy, to nie ma dobra – skierowane do Edwarda Gierka i jego ekipy w Belwederze w czerwcu 1979 r…

Przypomnijmy też jeszcze, że kiedy 15 stycznia 1995 r. Jan Paweł II celebrował mszę św. w Manili, zebrało się 4 mln młodych ludzi ze 105 krajów, uczestniczących w X Światowym Dniu Młodzieży. Było to wydarzenie bez precedensu. Po raz pierwszy bowiem w historii ludzkości w jednym zgromadzeniu uczestniczyła tak wielka rzesza ludzi. „Ojcze Święty, popatrz na te miliony młodych ludzi, którzy odpowiadając na wezwanie Chrystusa, gotowi są głosić Dobrą Nowinę w całym świecie" – mówił wtedy kard. Jaime Sin, heroiczny prymas Filipin.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl feb53ef4b7

Walka między Teodorem Sztekkerem i austriackim zapaśnikiem Benoldem FOT. NAC

1919–1934 / Na arenach Polski i świata

Sąd nad atletą

Tomasz Stańczyk

Wybitny zapaśnik Teodor Sztekker został oskarżony o ustawianie walk, podżeganie do zabójstwa i kierowanie grupą przestępczą

Urodził się w 1897 r. jako Teodor Stöcke, w Wojciechowie na Lubelszczyźnie. Przed pierwszą wojną światową mieszkał z rodzicami w Kijowie, tam też ukończył gimnazjum i rozpoczął studia prawnicze. Jednocześnie zaczął brać udział w walkach zapaśniczych, ale wówczas uważał to za rozrywkę. Wszystko zmienił jednak burzliwy rok 1917. „Dopiero później, kiedy zaczęła się rosyjska rewolucja, zmuszony byłem uważać atletykę za środek do życia i zaangażowałem się do dużego turnieju zawodowego, gdyż wyższe uczelnie funkcjonowały już bardzo nieprawidłowo i czasu miałem wiele" – wspomniał Sztekker w autobiografii „W potrójnym nelsonie".

Niewiele brakowało, by stał się ofiarą bolszewickiego terroru. Wyrwał się, dosłownie, z rąk czekistów prowadzących go do aresztu. W 1919 r. jednym z ostatnich pociągów z wracającymi z Rosji Polakami przyjechał do Polski. Miał dylemat, czy podjąć studia, czy iść drogą, „gdzie mnie oczekiwały pieniądze, kwiaty, sława, której już zaznałem – i uśmiechy pięknych kobiet". Wybrał to drugie.

Zaangażował się do cyrku Panorama w Warszawie – wówczas walki atletów były jedną z atrakcji programu cyrkowego. Pierwsze zwycięstwo odniósł na arenie z kozakiem Lutowem. Sukcesy przewróciły mu w głowie i przestał trenować. Wkrótce dostał nauczkę od niemieckiego zapaśnika. „Tom Belling złamał mi wtedy lewe ucho, nadwerężył szyję i rozbił kolano, znęcając się po prostu nade mną, aż wreszcie pół żywego pokonał".

Przełomem w życiu Sztekkera okazał się przyjazd z bolszewickiej Rosji zapaśnika Aleksandra Garkowienki, którego znał z Kijowa. Razem zamieszkali i razem trenowali. To właśnie Garkowienko nauczył Sztekkera systematycznej pracy, a raczej zmusił go do tego. W 1922 r. w turnieju reklamowanym jako mistrzostwa Polski przegrał jedynie z Garkowienką. „Wiedzieliśmy, że gdzieś po świcie chodzą atleci, których należy położyć – i pojechaliśmy ich szukać". Sztekker i Garkowienko wyjechali na południe Europy, walczyli na arenach w Rumunii, Jugosławii i Czechosłowacj. Tam Sztekker dowiedział się, że przebywa tu akurat słynny zapaśnik Władysław Pytlasiński. Okazało się, że był to atleta, który podawał się za Polaka. Pokonał mistyfikatora, „brzuchatego olbrzyma na krótkich nóżkach" w 2,5 minuty.

Po powrocie do Polski Sztekker najął się do znanego cyrku Cinisellego w Wilnie. Później występował w cyrku Staniewskich w Warszawie. W piosence „Cyrk na Ordynackiej" jedna ze zwrotek mówi o zapaśnikach:

eprasa.pl feb53ef4b7

A jak walczył na arenie Garkowienko z Czarną Maską,
To na takie przedstawienie zasuwało całe miasto.
Ale Szteker kładł każdego, bo jak kogo wziął w nelsona,
Mokra plama była z niego, każdy pękał, niech ja skonam!

Sztekker i Garkowienko planowali światową karierę. „Rozpoczęliśmy znowu wariacki trening, decydując, że tak świetnym atletom nie wystarczają triumfy europejskie. Zachciało się nam laurów za oceanem".

Fiasko w Ameryce

Latem 1923 r. Sztekker i Garkowienko popłynęli do Stanów Zjednoczonych. Sztekker przyjechał do Ameryki, prawie nie znając angielskiego, nie mając tam przyjaciół ani pieniędzy. Te ostatnie chciał jednak właśnie zarobić. Samodzielnie, bo rozstał się też z Garkowienką.

Menedżerowie walk zapaśniczych proponowali niemal niewolnicze kontrakty, bez określonego wynagrodzenia, za to z koniecznością bezwzględnego podporządkowania się. Sztekker ocenił, że po dwóch latach na arenie byłby „wyrzucony poza nawias życia jak wyciśnięta cytryna", ze zniszczonym zdrowiem, może i chory, ze złamaną karierą. Kontraktu nie podpisał. „Ponieważ trzeba było żyć, walczyłem wówczas, gdzie mogłem i z kim mogłem". Nie dopuszczano go do walk z „intratnymi zawodnikami", a jego propozycja, że w godzinę pokona Władka Zbyszka, czyli Władysława Cyganiewicza, mającego już dużą renomę w Ameryce, została zignorowana.

Zaczął uczyć się walki „catch as can catch", czyli wolnoamerykanki. Znalazł emerytowanego menedżera, z którym podpisał kontrakt. Ów menedżer także był wyzyskiwaczem, który wymawiał się od zapłaty. Raz dał Sztekkerowi 20 dol., innym razem opłacał jego rachunki, ostatecznie Polak wydusił od niego 500 dol.

Sztekker był nie tylko zszokowany wyzyskiem atletów przez menedżerów, lecz także sposobem walki. Podkreślał, że o ile w Europie w tzw. walce francuskiej można było podziwiać „splot pięknych ciał, energię, trening i harmonijne ruchy zapaśników", o tyle w walce amerykańskiej jest tylko „zgrzytanie zębów, wyłamywanie stawów i kości, brutalne i bolesne uderzenia". Uważał, że wolna

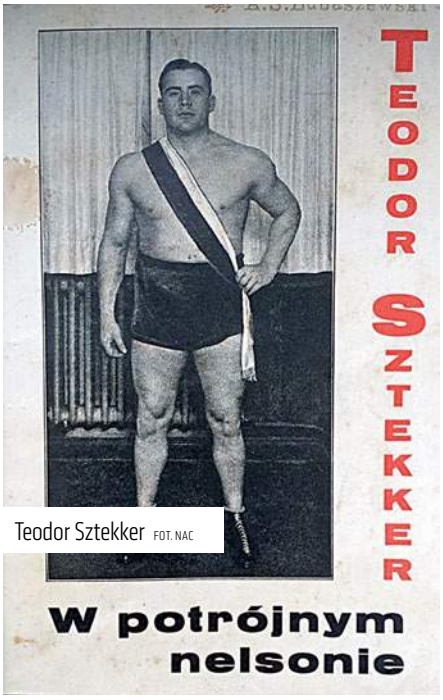

Teodor Sztekker FOT. NAC

amerykanka jest tak samo bezwzględna i brutalna jak życie amerykańskie.

Stoczył w Ameryce 32 zwycięskie mecze, gwa nierozegrane i jeden przegrany, wszystkie w stylu amerykańskim. Nic jednak nie wskazywało na to, że – w przeciwieństwie do Cyganiewicza – osiągnie sukces, także finansowy. Kolejnym zwrotem w życiu Sztekkera była ciężka choroba, grypa hiszpanka. Jeszcze nie doszedł po chorobie do siebie, a już menedżer zaczął zmuszać go do walk. Sztekker przyznawał, że po prostu uciekł z Ameryki, nie wywiązując się z kontraktu.

Pasmo sukcesów

Chciał pożegnać się z karierą atlety i założyć szkółkę gimnastyczną oraz zapaśniczą, ale arena okazała się narkotykiem. „Zachciało mi się znów kwiatów, oklasków i tych surogatów życia, które publiczność będzie zawsze uważała za najistotniejszą treść życia atlety". W warszawskim turnieju w 1925 r. zajął drugie miejsce po mistrzu świata Janie Jaago, pokonując wielu znanych atletów, zwyciężył w turnieju we Lwowie, zdobył też mistrzostwo Śląska, ale zaliczył porażkę z Leonem Pineckim, dwumetrowym „olbrzymem z Wielkopolski", który pokonał go nelsonem. Sztekker trzymany przez 10 minut w tym chwycie musiał się poddać.

W 1926 r. Teodor Sztekker zdobył nieoficjalne mistrzostwo Polski. Rok później w turnieju uważanym za nieoficjalne mistrzostwo Europy, w finałowej walce zmierzył się z Pineckim. Znał już morderczego nelsona tego zapaśnika, więc do walki przygotowywał się, ćwicząc mięśnie szyi. Chwyt ten, jak go opisywał, założony nawet na potężny kark (obwód karku Sztekkera – 47 cm), powodował napływ krwi do głowy i oczu, tamował oddech i groził złamaniem kręgosłupa. „Wierząc, że zwycięstwo nade mną uzyska jedynie z pomocą swego strasznego chwytu, zastosował go błyskawicznie po raz drugi wówczas, gdy zaledwie zdążyłem wymknąć się z pierwszego, ale nachylił się przy tym zanadto naprzód, a szczęśliwie zastosowany chwyt przez głowę, powalił go na łopatki".

W 1927 r. Teodor Sztekker odniósł wielki międzynarodowy sukces, zwyciężając w olimpiadzie atletycznej w Sportpalast w Berlinie. Rok później ożenił się ze znaną literatką i publicystką Wandą Melcer, która podziwiała go podczas walk w cyrku Staniewskich. Miał z nią dwoje dzieci – bliźniaków. Poeta Antoni Słonimski skomentował to, mówiąc, że widocznie Sztekker założył żonie podwójnego nelsona… Żona pomogła mu napisać autobiografię „W potrójnym nelsonie", która ukazała się w 1928 r. Dalszej części swoich wspomnień nie wydał, a właśnie później uwieńczył swoją karierę, zdobywając dwukrotnie, w latach 1930 i 1932, mistrzostwo świata.

W turnieju w Bydgoszczy walczył ponownie z Garkowienką. Ukrainiec uderzył Sztekkera, a ten pchnął go w rewanżu tak mocno, że Garkowienko wypadł z ringu i wpadł na kant pianina, raniąc się tak boleśnie, że nie mógł kontynuować walki. Inny incydent wydarzył się podczas walki Sztekkera z bułgarskim zapaśnikiem Martinowem. Sztekker pokonał go i został obrzucony kwiatami. Wściekły Martinow rzucił się na Sztekkera i zaczął go bić. Oburzona publiczność zaczęła rzucać na ring butelki i szklanki.

Sztekker zajmował się organizacją walk zapaśniczych, a ponieważ w grę wchodziły pieniądze, doszło do jego konfliktu z Centralnym Związkiem Zapaśników. Mimo nazwy liczył on – jak utrzymywał Sztekker – tylko kilku atletów. Oskarżali go o malwersacje finansowe.

eprasa.pl feb53ef4b7

Wówczas Sztekker założył konkurencyjny Zawodowy Związek Atletyczny. To tylko pogłębiło rywalizację o dochody z turniejów i walk.

Oskarżony

Takie było tło głośnego procesu we wrześniu 1934 r., w którym Teodor Sztekker zasiadł na ławie oskarżonych. Zapaśnik Józef Miazio złożył doniesienia na Sztekkera, że ten nakłaniał go do zabójstwa międzynarodowego sędziego walk Józefa Treflera-Brańskiego.

Miazio zeznawał o Sztekkerze: „Gdy przyjechaliśmy do Szwajcarii, powiedział, że są tam takie wysokie góry, że gdyby zepchnąć »pudla« (Brańskiego), to tylko plama by po nim została. […] Sztekker namawiał mnie całkiem wyraźnie: »Zrób to, dostaniesz lepszą gażę, będę cię puszczał«". Sztekker proponował, że dopuści Miazię do walk, w których będzie wygrywał. Miazio twierdził bowiem, że „kiedy byłem potrzebny Sztekkerowi jako »podkładka«, to się kładłem, bo tego chciał. Robiłem to na jego rozkaz". Oskarżył więc Sztekkera o ustawianie walk. Co więcej, twierdził, że mistrzowskie tytuły Sztekkera były w ten sposób kupione.

Miazio na propozycję zabicia Brańskiego zareagował gwałtowną odmową i zagroził Sztekkerowi, że doniesie na niego na policję. Wtedy Sztekker miał wyjąć rewolwer i powiedzieć: „Jak nie będziesz cicho, to cię każę sprzątnąć w ten czy inny sposób, widzisz ten rewolwer". Miazio wyjaśniał przed sądem, że motywem planowanego zabójstwa Brańskiego było to, że znał on wszystkie kanty i przekręty Sztekkera i chciał nawet napisać o nim książkę pod tytułem „Polski Al Capone".

Podczas procesu Miazio opowiadał też o bankiecie w restauracji w Zurychu, w grudniu 1932 r. „Gdy trochę więcej wypiłem, postanowiłem powiedzieć Brańskiemu o zbrodni. Jak mu opowiadałem, ktoś musiał podsłuchać i Lentz z Sztekkerem kazali mi wyjść z sali. Kiedy po chwili wróciłem, znów zaczęło mnie nurtować, żeby uprzedzić o wszystkim Brańskiego. Wtedy ktoś wyskoczył i uderzył mnie nożem w plecy. Kto, nie wiem". Wyglądało to na próbę zastraszenia lub zlikwidowania świadka.

W procesie zeznawał też inny zapaśnik, który ujawnił, że cios nożem zadał Stanisław Lentz, asystent Sztekkera.

Leon Pinecki, rywal Sztekkera FOT. NAC

„Pomruk przeszedł przez salę, gdy wywołano na świadka Leona Grabowskiego, olbrzyma sięgającego niemal sufitu. Dialektem Górnoślązaka wielkolud opowiadał, że po wypadku zranienia Miazi Lentz przepraszał go i mówił, że wszystko było na rozkaz.

Na sali pojawił się Aleksander Garkowienko, dawny przyjaciel Sztekkera. W jego relacji wydarzenia przestawiały się następująco: niezgrabny w tańcu Grabowski właził na odciski paniom i proszono go, by dał sobie spokój z tańczeniem. Miazio próbował go wyprowadzić z lokalu, ale nie dał rady, Grabowski znów zaczął tańczyć. „Sztekker wtedy kazał swemu sekretarzowi Stanisławowi Lentzowi, żeby wyprowadził Miazię i Grabowskiego. Z ulicy doszedł jakiś przeraźliwy krzyk. Chciałem wyjść, ale Sztekker mówił, że wszystko w porządku". Garkowienko dowiedział się od Brańskiego, że Lentz uderzył Miazię nożem. A Lentz miał powiedzieć do Sztekkera: »Ty Judaszu, ty wszystkich każesz zarzynać!«".

Grób Teodora Sztekkera na Powązkach Wojskowych FOT. WIKIPEDIA

Lentz nie przyznał się do zadania Miazi ciosu nożem. Utrzymywał, że pchnął tylko zapaśnika, a ten przewrócił się do rynsztoka, gdzie leżały zbite butelki i puszki od sardynek. To one spowodowały skaleczenie Miazi. W rewanżu Lentz oskarżył Miazię, że ten miał plan porwania cadyka z Góry Kalwarii. Miazio stwierdził, że owszem, rozmawiał o tym, ale był to tylko „szpas", czyli dowcip.

Teodor Sztekker zaprzeczał wszystkiemu. Z Treflerem-Brańskim, jak oświadczył, był w jak najlepszych stosunkach, ale później dodał, że mogły być między nimi pewne scysje, „ale nie było antypatii". Nie proponował Miazi, by ten dokonał zabójstwa arbitra walk ani nie namawiał Lentza, by potraktował Miazię nożem. Jeden ze świadków, Mordka Taksowiński, służący zapaśników, zeznał, że Garkowienko, Miazio i Grabowski cieszyli się, że jak utworzą własny związek, „to tylko oni będą walczyć, a Sztekkera utrącą". Potwierdzał tym samym wyjaśnienia Sztekkera o powodach, dla których Miazio go oskarżył.

Sędzia uniewinnił Teodora Sztekkera z braku dowodów. W sytuacji, gdy słowo było przeciw słowu, uznał oskarżenia za niewiarygodne. Uznając Lentza winnego zranienia Miazi, odesłał jego sprawę do prokuratury do dalszego zbadania.

Sztekker zamierzał wystąpić z powództwem przeciwko Miazi za fałszywe oskarżenia. Nie zdążył. Pod koniec października, przebywając w swoim majątku ziemskim Chawłowo pod Warszawą, nagle ciężko zachorował. Został przewieziony do szpitala w Warszawie, w którym zmarł 7 listopada 1934 r., w wieku zaledwie 37 lat. Prasa podawała różne przyczyny nagłej śmierci zapaśnika,w łącznie z sensacyjnymi. Miało to być samobójstwo przez otrucie na tle kłopotów finansowych lub nawet zabójstwo. W rzeczywistości Sztekker zmarł albo z powodu ogólnego zakażenia organizmu – jego początkiem miało być rozdrapanie krosty na szyi lub wewnętrzne obrażenia po turnieju zapaśniczym – albo na gwałtownie postępującą białaczkę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Artykuł powstał na podstawie książki Teodora Sztekkera „W potrójnym nelsonie" oraz relacji prasowych, głównie z „Dziennika Bydgoskiego".

eprasa.pl feb53ef4b7

FOT. ADOBE STOCK

ZSRS / Sołowieckij Łagier Osobiennogo Naznaczenija

Sołówki – wynalazek diabła

Piotr Semka

Karcer, głodzenie, bicie, polewanie wodą na mrozie, szczucie psami. Tak wyglądała codzienność więźniów pierwszych bolszewickich łagrów

Wyspy Sołowieckie – ta budząca grozę w starszych pokoleniach obywateli ZSRS nazwa dziś mówi coś głównie specjalistom. Nie ma w zbiorowej pamięci świata podobnego statusu co nazwy Auschwitz i Treblinka. Obozu na Sołówkach nikt nie wyzwolił. Zamknęły go w 1939 r. same władze sowieckie, gdy już pełną parą działała maszyneria tysięcy obozów pracy i wyniszczenia, nazywana archipelagiem GUŁag. Auschwitz istniał niemal pięć lat; Sołówki – 19. I to obóz sołowiecki był pierwszy.

W powieści Michaiła Bułhakowa „Mistrz i Małgorzata", która powstawała w Moskwie na przełomie lat 20. i 30., znalazła się znamienna scena. Oto pisarz Michał Aleksandrowicz Berlioz tłumaczy młodszemu koledze, Iwanowi Bezdomnemu, że sowiecka literatura nie powinna skupiać się na oczernianiu Jezusa Chrystusa, ale raczej udowadniać, że nigdy nie istniał. Do rozmowy wtrąca się jakiś obcy mężczyzna, który wskazuje, że Kant napisał parę dowodów na istnienie Jezusa. Młody aktywista reaguje na to wybuchem: „Tego Kanta należałoby wysłać na trzy lata na Sołówki".

W dużej części wydań „Mistrza i Małgorzaty" albo ten wtręt nie jest opatrywany przypisem, albo informacja, czym były Sołówki, sprowadza się do paru słów. To, że Bułhakow uznał za stosowne wtrącić nazwę obozu do narracji, wiele pokazuje. Łagier na dalekich, północnych wyspach nie był bynajmniej pilnie strzeżoną tajemnicą. Był raczej powszechnie znaną groźbą wiszącą nad głową każdego, kto odważyłby się sprzeciwić ideologii marksistowskiej lub uczynić coś przeciw komunistycznej władzy.

Wyspy, których posępną sławę uwiecznił Bułhakow, znajdują się na Morzu Białym. Do najbliższego dużego miasta – Archangielska – jest ponad 230 km. Północne odludzie przyciągało od początku XVI w. mnichów prawosławnych szukających samotności do rozwoju swojej duchowości lub zsyłano ich tu karnie.

Potęga i zamożność klasztoru wzrastały powoli od XVI do XVII w. W latach 1668–1676 monastyr wystąpił przeciw narzuconej przez carat reformie prawosławia. Jego potężne mury stawiały opór oblegającym go wojskom cara Aleksego I Michajłowicza przez długich osiem dni, by paść dopiero wskutek zdrady jednego z mnichów.

Kolejny raz monastyr stał się obiektem oblężenia blisko 200 lat później, w 1855 r., gdy podczas wojny krymskiej

eprasa.pl feb53ef4b7

trzy brytyjskie okręty bez sukcesów próbowały zająć ten odległy północny zakątek. Po wybuchu rewolucji Lenina zaczęły się represje bolszewików wobec klasztoru. Mnichów wygnano lub aresztowano, a klasztor zamieniono w więzienie dla przeciwników Sowietów.

Terror na oślep

Kiedy na wyspy trafili pierwsi więźniowie? Profesor Wojciech Śleszyński, polski badacz GUŁagu, pisze: „Pierwszy obóz dla przeciwników politycznych utworzono w 1920 roku właśnie na Wyspach Sołowieckich. W tym czasie pracowała na wyspach komisja przysłana z Moskwy, której celem była konfiskata majątku należącego do klasztoru. Tylko w maju 1922 r. wysłano do Moskwy 19 skrzyń z drogocenną zawartością: złotem, srebrem, szlachetnymi kamieniami".

Wśród zsyłanych byli z jednej strony konkurenci bolszewików z lewicy – socjalrewolucjoniści (tzw. eserowcy), mienszewicy i anarchiści. Z drugiej kontra, czyli byli oficerowie carscy, aresztowani dygnitarze carscy, mnisi oraz kapłani prawosławni. W latach 20. była jeszcze różnica w traktowaniu kontry i nielegalnych marksistów. Profesor Śleszyński wskazuje: „W pierwszym okresie funkcjonowania państwa bolszewickiego [lewicowcom – przyp. P.S.] przysługiwały przywileje […] wynikające z posiadania statusu więźnia politycznego. Nie musieli pracować i niejednokrotnie mieli dostęp do gazet i książek. Byli dobrze zorganizowani. Prowadzili akcje protestacyjne i głodówki".

Niektórym z eserowców czy mienszewików po pobycie na Sołówkach uda się wskutek niekonsekwentnej polityki epoki NEP-u wyjechać lub uciec przez zieloną granicę na zachód. To oni pierwsi przekażą światu prawdę o systemie łagrów. Ich książki wydawano jednak na Zachodzie w niewielkich nakładach, zazwyczaj po rosyjsku, w emigracyjnej niszy. Skąd taka obojętność wobec tych pierwszych świadectw piekła sowieckich obozów?

Jedni uznawali, że to nic nowego wobec wstrząsającej wiedzy o innych zbrodniach rewolucji, drudzy byli zdania, że Sołówki to szczegół na tle pozytywów gigantycznej przebudowy społecznej.

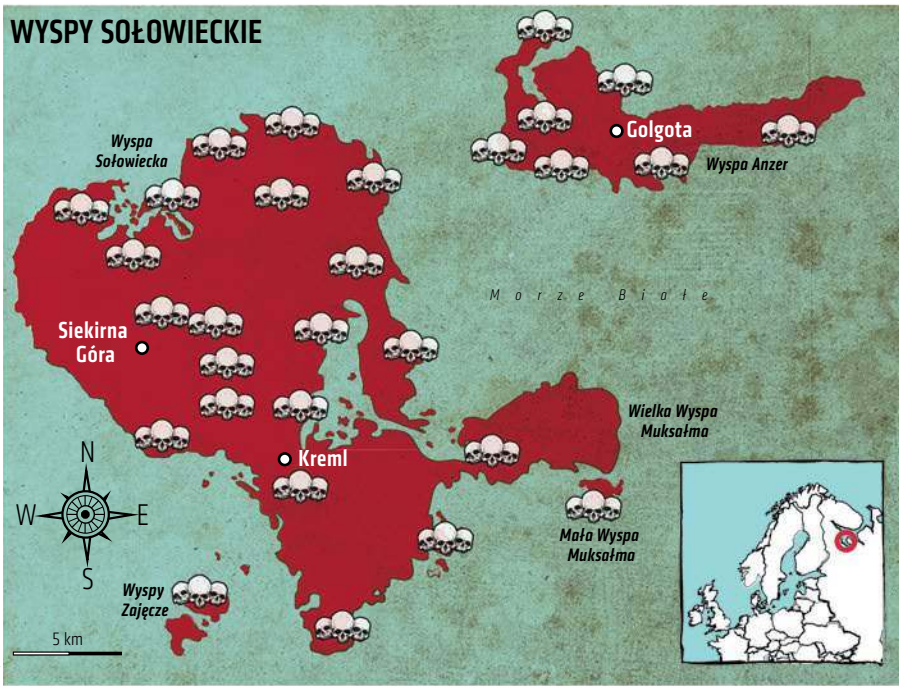

RYS. JACEK GRAMBURG

„Nie można zrobić omletu, nie rozbijając jaj" – to była najczęstsza odpowiedź na pytania o pierwsze relacje dotyczące Sołówek.

Zysk zamiast reedukacji

W 1923 r. zakończyła się dość chaotyczna i przypadkowa pierwsza faza polityki karnej władz sowieckich wobec więźniów politycznych. Z racji wiary w reedukację socjalistyczną stworzono nowego typu pierwszy łagier eksperymentalny – Sołowieckij Łagier Osobiennogo Naznaczenija (sowiecki łagier specjalnego przeznaczenia) – w skrócie SŁON. Korzystanie z zaplanowanej pracy więźniów miało być elementem wzmocnienia gospodarski komunistycznej, ale praca nie miała być jedynym sensem pobytu więźnia w obozie. Jeszcze wierzono we wpływ edukacji i pracy wychowawczej. Dbano o dostęp więźniów do literatury propagandowej, o czytelnie, o tworzenie gazetek obozowych. W obozie istniały orkiestra symfoniczna i teatr obozowy. Siłą rzeczy musiało powodować to ograniczenie czasu pracy.

Ten wciąż dość idealistyczny program zaczął być z biegiem lat 20. porzucany równolegle z coraz silniejszym wpływem Stalina na politykę NKWD. Liczyć się zaczął coraz bardziej rachunek ekonomicznych zysków, które wynikać miały z pracy więźniów. Jednocześnie najpierw zaczęto lekceważyć starania o zmianę ich myślenia, a potem porzucono je niemal całkowicie.

Co nie znaczy, że co pewien czas nie urządzano tzw. pokazuchy. Najbardziej znanym przykładem takiej mistyfikacji była wizyta w czerwcu 1929 r. w obozie sołowieckim znanego pisarza Maksyma Gorkiego. W roli więźniów występowali co bardziej szczupli przebrani strażnicy, a sam pisarz zapewne sam wierzył w to, co było bardziej dla niego wygodne po demonstracyjnym powrocie do ojczyzny. Obok pokazówek Sołówki wchodziły już w mechanizm trzeciej fazy działania łagrów.

Jej pomysłodawcą był zamknięty w obozie na 10 lat przemytnik i rzezimieszek z Odessy – Naftali Frenkel (1883–1960). Był jednym z niewielu przykładów kariery więźnia, który sprytem, ale i bezwzględnością, zdołał uzyskać przejście od roli szeregowego „zeka" do pozycji członka kierownictwa obozu i przebić się następnie do aparatu NKWD. W swoim raporcie, który ponoć trafił po wędrówce przez kolejne instancje aparatu represji na biurko Stalina, proponował szybką

eprasa.pl feb53ef4b7

Więźniowie na Wyspach Sołowieckich
FOT. ARCHIWUM

i bezwzględną maksymalizację zysków z pracy więźniów. Miano też skończyć z troską o jakiekolwiek reedukowanie więźniów.

„Z osadzonego musimy wycisnąć wszystko w ciągu pierwszych trzech miesięcy – potem nic nam po nim" – pisał Frenkel. Stworzenie sieci tysięcy łagrów pasowało do planów Stalina forsownej industrializacji ZSRS z priorytetem rozbudowy produkcji zbrojeniowej. Cenę za ten „skok do przodu" miało zapłacić chłopstwo skazane na „rozkułaczenie" i kolektywizację. Aby system działał, trzeba było kolejnych fal represji, które zapełniały areszty setkami tysięcy ludzi skazanych na los podobny do niewolników na wielkich budowach starożytności.

Model Frenkla rozwinął się w pełni na początku lat 30. O ile w 1923 r. na Sołówkach więziono 2557 ludzi, o tyle osiem lat później, w 1931 r., pracowało tu już 71,8 tys. więźniów. O jakichkolwiek przywilejach dla eserowców czy mienszewików wszyscy dawno zapomnieli. Samo pojęcie więźnia politycznego zanikło. Tworzyła się upiorna logika, w której nadzór NKWD wzmacniany był poprzez system pośledniejszych katów.

Do tej roli używano więźniów kryminalnych, którzy z lubością wyszukiwali z tłumu ofiar ludzi skazanych z przyczyn politycznych, by ich dręczyć dodatkowo jako słabszych i „klasowo obcych". Marksistom z zarządu obozu kryminaliści byli bliżsi klasowo niż np. wykryty po latach ukrywania się kapłan podziemnej Cerkwi.

Teraz kontrą mógł zostać każdy – od wysokiego członka aparatu partii do pechowca, który był potrzebny lokalnym strukturom NKWD do wypełnienia miesięcznego limitu aresztowanych, zwłaszcza w czasie czystek lat 1936–1938. A kampanii szukania wrogów nie brakowało – po walce z trockistami byli sprawcy zbrodni przeciwko Kirowowi. Po nich wyłapywano szajki „bucharinowskie", „zinowjewowskie" i wreszcie grupy powstające wskutek osobistej inwencji śledczych – „japońskich agentów" czy „sługusów polskiej sanacji".

Brutalizacja życia w łagrach przekroczyła wszelkie granice. Kary karceru, głodzenie, bicie za byle uchybienie, polewanie wodą na mrozie, szczucie psami, nakaz pracy nawet przy poważnych chorobach. Ten model dominować będzie do połowy lat 50. i zakończy go dopiero śmierć Stalina w 1953 r.

Kres wzorca

Sukces idei Naftalego Frenkla był – paradoksalnie – początkiem schyłku znaczenia obozu. Skoro powstały dziesiątki tysięcy kopii Sołówek, to ów wzorzec nie był już taki ważny. Znaczenie SŁON powoli malało, aż nastąpił koniec. W 1939 r. wyspy wraz z zabudowaniami klasztornymi zostały zamienione w letni obóz treningowy dla kadetów Floty Północnej ZSRS. W latach 70. przypomniano sobie w Moskwie o artystycznym znaczeniu monastyru i zaczęto jego mocno spóźnioną restaurację. Wciąż przy uznawaniu historii obozu SŁON za temat tabu.

Aby przykryć czarną legendę wysp, rozpoczęto starania o wpisanie zespołu klasztornego na listę zabytków UNESCO, co udało się w 1992 r. Mniej więcej w tym czasie pasjonaci ze Stowarzyszenia „Memoriał" zaczęli wydobywanie kości z sołowieckich pól śmierci. Na wyspę wrócili prawosławni mnisi, którzy przepraszają dziś Boga za potworności ludzkiego umysłu wyzwolonego z bojaźni przed wielkością Stwórcy. Wyspę mogą zwiedzać turyści z zagranicy. Pokazuje im się głównie wciąż restaurowany monastyr. O obozie mówi się znacznie mniej.

Przy obecnej polityce historycznej władców Rosji nazwa Sołówek może być coraz bardziej obca młodym Rosjanom. Ilu z nich za jakiś czas zrozumie, gdzie konkretnie Iwan Bezdomny chciał zesłać Kanta za dowody na istnienie Jezusa Chrystusa?

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl feb53ef4b7

Jak powstańcy '44

dr hab. Adam Leszczyński

Leszczyński: Bywało różnie

RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

PIOTR WŁOCZYK: „Z dokumentów wynika, że oddziały Armii Krajowej unicestwiły Ukraińców i Żydów pozostających w mieście" – napisało w połowie stycznia br. rosyjskie ministerstwo obrony narodowej, przekonując, że „odtajnione" materiały pokazują prawdę na temat Powstania Warszawskiego. Ile faktycznie jest w nich prawdy?

DR HAB. ADAM LESZCZYŃSKI: Komunikat wykorzystuje fragment cytatu z raportu sowieckiego zwiadowcy, który znany jest od lat 90. Ten zwiadowca mówił nieprawdę, ponieważ oczywiście Polacy nie „unicestwili" Żydów ukrywających się w Warszawie. Nie zmienia to jednak faktu, że dochodziło wówczas do przypadków, gdy Żydzi byli mordowani przez Polaków, i są to sprawy doskonale udokumentowane.

Ten temat naświetlają dwie świetne książki: „Ochrona porządku i bezpieczeństwa publicznego w Powstaniu Warszawskim" dr. Janusza Marszalca oraz „Żydzi w powstańczej Warszawie" prof. Barbary Engelking i prof. Dariusza Libionki. Generalnie historycy szacują liczbę Żydów zabitych przez Polaków w czasie powstania na 20–100 osób. Kwestią otwartą, już nie do ustalenia dziś, jest to, czy tych ludzi zabijano dlatego, że byli Żydami, czy z powodów czysto rabunkowych. Oba te motywy mogły wchodzić w grę równocześnie.

Można się tu pokusić o generalizację, jeżeli chodzi o stosunek powstańców do ludności żydowskiej?

Autorzy obu tych ważnych prac rozróżniają podejście władz powstańczych od tego, co się działo w „terenie". Stanowisko dowództwa było jednoznaczne. Kiedy doszło do głośnej zbrodni przy ul. Prostej 4, gdzie zabito kilkanaścioro Żydów, AK wszczęła śledztwo i próbowała dociec, kto za nią odpowiada. Traktowano ją priorytetowo. Natomiast w „terenie" dochodziło do bardzo różnych sytuacji i ciężko tu o generalizację.

Pamiętajmy jednak, że nie brakowało Żydów, którzy walczyli w powstaniu w szeregach AK. Część z nich została uwolniona 5 sierpnia z „Gęsiówki" przez żołnierzy Batalionu „Zośka" (w sumie uwolniono wtedy ok. 350 Żydów).

To wszystko prawda, ale też nie we wszystkich oddziałach powstańczych Żydzi czuli się bezpiecznie, skoro niektórzy przenosili się z tego powodu z AK do formacji lewicowych. Jako powód często podawali oni nie tyle ideologię, ile właśnie obawę o bezpieczeństwo.

Pytanie, jak oceniać skalę przemocy wobec Żydów w czasie powstania. Przywołany już dr Marszalec sceptycznie patrzył na słynną publikację „Gazety Wyborczej" pióra Michała Cichego. „Teza postawiona przez Michała Cichego o likwidowaniu Żydów przez AK i ludność polską wydaje się więc nieprawdziwa. Akty agresji przeciw Żydom miały charakter incydentalny" – stwierdził dr Marszalec, podkreślając, że bandytyzm dotykał także polskiej ludności cywilnej.

Doktor Marszalec jest specjalistą w tej dziedzinie, więc możemy mu wierzyć. Przemoc wobec Żydów miała charakter incydentalny, ale zdarzała się i nie można zaprzeczyć, że konkretni ludzie narodowości żydowskiej zginęli wówczas w Warszawie z rąk Polaków. Pytanie, na ile bandyci byli również powstańcami przypisanymi do oddziałów. Tego nie wiemy. Jest tu masa znaków zapytania.

W swoim artykule Michał Cichy sporo miejsca poświęcił sprawie mordu przy ul. Prostej 4 w kontekście działalności kpt. Wacława Stykowskiego ps. Hal. Jacek Stykowski, syn kpt. „Hala", broni ojca i twierdzi, że dokumenty pokazują, iż prawdziwi mordercy nie działali na jego polecenie. Podkreśla też, że śledztwo żandarmerii AK nie zostało dokończone. Czy można więc w tym kontekście jednoznacznie oskarżać Wacława Stykowskiego?

To prawda, że jednoznacznych dowodów winy nie ma, są za to mocne poszlaki, które wskazują na jego zaangażowanie w tę sprawę, a co najmniej że nieprzesadnie miał ochotę dochodzić, kto odpowiadał za tę zbrodnię. Taki obraz wyłania się z badań historyków. Wyjaśnienie tej sprawy utrudniało to, że Warszawa była pogrążona w kompletnym chaosie. Jedno jednak wiemy na pewno – do takiej zbrodni doszło i z pewnością nie popełnili jej Niemcy.

Dr hab. Adam Leszczyński jest historykiem, byłym dziennikarzem „Gazety Wyborczej", współzałożycielem serwisu OKO.press.

eprasa.pl feb53ef4b7

traktowali Żydów?

Tadeusz M. Płużański

Płużański: AK była w porządku

PIOTR WŁOCZYK: Jak powinna brzmieć odpowiedź na komunikat rosyjskiego ministerstwa obrony narodowej?

TADEUSZ M. PŁUŻAŃSKI: To kwestia wyboru strategii. Mamy tu dwie opcje. Czy jako państwo odpowiadamy na każdą brednię władz rosyjskich, czy raz na jakiś czas odpowiadamy kompleksowo na wszystkie te ataki szkalujące nasze dobre imię. Obawiam się, że nie ma tu dobrej metody. Jedno nie ulega wątpliwości – trzeba reagować na tak niebywałe kłamstwa, ponieważ w świat nie może pójść rosyjsko-sowiecka wersja naszej historii. Brak reakcji z naszej strony mógłby się odbić na naszej sytuacji międzynarodowej.

Ataki Rosjan są z punktu widzenia historiografii niepoważne, a jeżeli chodzi o ludzki wymiar tej sprawy, to jest to po prostu obrażanie pamięci o naszych żołnierzach.

Do czego właściwe sprowadza się narracja suflowana przez rosyjskie MON?

Ktoś, kto nie jest zaznajomiony dobrze z naszą historią i nie jest wyczulony na rosyjską propagandę, stwierdzi, że Powstanie Warszawskie wybuchło po to, żeby Polacy mogli w końcu wymordować Żydów... Rosjanom mało było przypisywania Polakom wymordowania ocalałych warszawskich Żydów, więc jeszcze sięgnęli po Ukraińców, których też rzekomo mieliśmy „unicestwić". To już jest szczyt absurdu.

Cel Putina jest jasny – stara się udowodnić, że Niemcy zostali sprowokowani przez „faszystowską" Polskę i w ten sposób wybuchła wojna, do której Związek Sowiecki musiał wejść, by ratować Europę Wschodnią. Myślę, że Rosjanie niedługo będą się starali udowodnić, że ten „polski antysemityzm" ciągnął się też po wojnie i żołnierze podziemia antykomunistycznego byli urodzonymi antysemitami.

Mówi się, że w każdej dobrej manipulacji musi być ziarno prawdy, żeby cała ta konstrukcja była jakkolwiek wiarygodna. Nie da się ukryć, że w czasie powstania dochodziło do nielicznych zbrodni przeciwko Żydom, których sprawcami nie byli Niemcy. Jak to oceniać w szerszym kontekście działalności powstańczej?

To jest część większego problemu, który dotyczy nie tylko Powstania Warszawskiego. Czy przypadki – bardzo nieliczne – napaści na Żydów lub wręcz mordów były spowodowane antysemityzmem czy bandytyzmem? Wygląda na to, że kontekst rasowy nie odgrywał tu dużej roli. Chodziło głównie o rabunek. Żyd mógł się kojarzyć przestępcom jako człowiek, który ma pieniądze. Prawdą jest, że olbrzymi zamęt sprzyja nasileniu przestępczości i odczuła to też ludność polska, więc trudno mówić, że tylko Żydzi padali w czasie zrywu w stolicy ofiarami bandytów.

Naprawdę można po tylu latach stwierdzić, ile było w atakach na Żydów motywacji rabunkowej, a ile antysemickiej?

Ludzie, którzy badali to lepiej niż ja, np. Leszek Żebrowski, pokazują, że w takich przypadkach najczęściej spotykaną motywacją była przestępczość pospolita. To też widać w książce Jacka Stykowskiego, syna słynnego kapitana „Hala". Autor, opierając się na dokumentach, pokazuje, że jego ojciec nie był żadnym antysemitą, a zbrodni na Żydach dokonywali degeneraci, zwykli bandyci, a nie powstańcy. Przecież mamy aż nadto dowodów, że powstańcza komenda dbała o to, by ocalałym Żydom nie działa się krzywda, a wszelkie przypadki bandytyzmu były przez powstańcze siły porządkowe – w miarę możliwości – tropione i karane.

Czym w takim razie tłumaczyć to, że wielu Żydów, również tych uratowanych przez powstańców, przechodziło z AK do formacji lewicowych? Uważa pan, że antysemityzm nie miał tu nic do rzeczy?

Ludzie mają bardzo różne poglądy. Nie jest tajemnicą, że bardzo wielu Żydów miało sympatie lewicowe i w naturalny sposób lepiej się czuli w formacjach stricte lewicowych, a nawet komunistycznych. Zadajmy sobie jednak podstawowe pytanie: Czy naprawdę Żydzi uratowani w czasie powstania z „Gęsiówki" mieli jakiekolwiek pretensje do AK-owców? Ta sprawa chyba najlepiej pokazuje, czy AK faktycznie miała „problem z antysemityzmem", czy jest to tylko wymysł ludzi niechętnych Polsce.

Tadeusz M. Płużański jest historykiem i dziennikarzem, szefem publicystyki w TVP Historia.

eprasa.pl feb53ef4b7

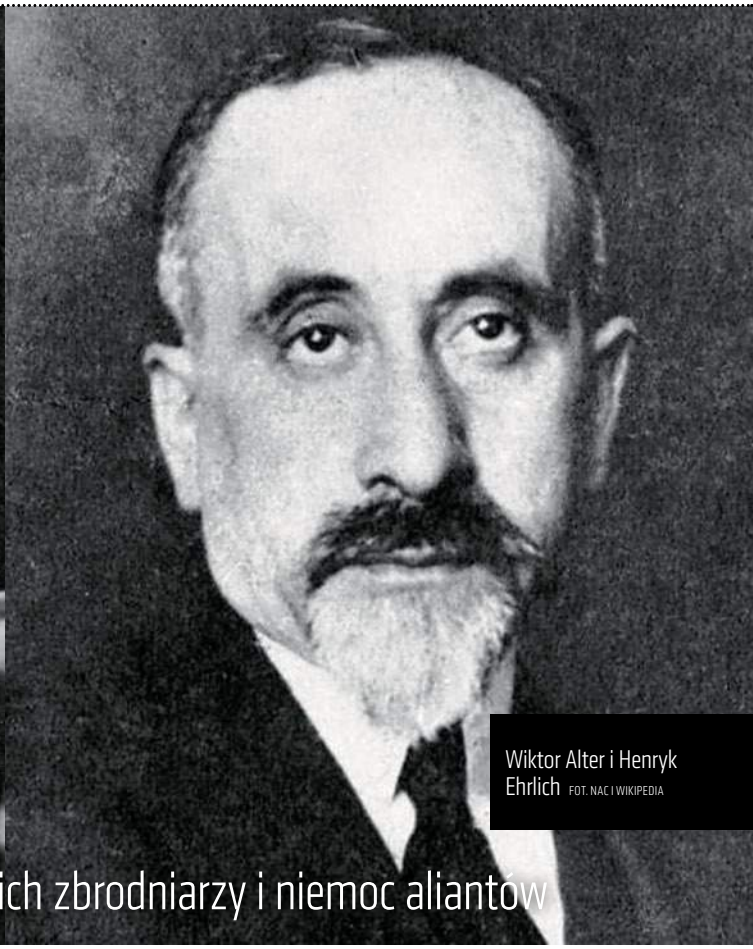

Wiktor Alter i Henryk Ehrlich FOT. NAC I WIKIPEDIA

1941 r. / Bezczelność sowieckich zbrodniarzy i niemoc aliantów

Porwanie Altera i Ehrlicha

Marek Gałęzowski

Dwóch wybitnych żydowskich socjalistów z Polski zostało uprowadzonych przez NKWD. Obaj zostali zgładzeni strzałem w tył czaszki

Niemal natychmiast po przybyciu do ZSRS premiera rządu Rzeczypospolitej na uchodźstwie i Naczelnego Wodza gen. Władysława Sikorskiego, 1 grudnia 1941 r. władze sowieckie ogłosiły, że wszyscy mieszkańcy wschodnich województw Rzeczypospolitej, kilka tygodni po agresji na Polskę w 1939 r. wcielonych do ZSRS, są obywatelami sowieckimi. Jednocześnie informowano, że jedynie w drodze wyjątku Sowieci mogą uznać za obywateli polskich osoby narodowości polskiej, które zamieszkiwały wówczas obszar tych województw. Oceniając tę decyzję, wybitny historyk Paweł P. Wieczorkiewicz pisał, że w cyniczny sposób naruszała ona zawarty niespełna cztery miesiące wcześniej układ Sikorski-Majski.

Następnego dnia po wspomnianej nocie sowieckiej dotyczącej obywatelstwa gen. Sikorski przyleciał do Moskwy i tam 4 grudnia 1941 r. podpisał z Józefem Stalinem deklarację o współpracy między Polską a ZSRS

eprasa.pl feb53ef4b7

w wojnie z Niemcami. Zgodnie z jej treścią powstające w sowieckiej Rosji wojsko polskie miało prowadzić walkę w sojuszu z Armią Czerwoną. W dalszej części zapowiadano, że podstawą powojennych stosunków między obydwoma państwami powinny stać się dobrosąsiedzka współpraca, przyjaźń i „rzetelne przestrzeganie przyjętych przez obie strony zobowiązań".

Dwaj socjaliści

Niemalże w tej samej chwili, kiedy padały te wzniosłe słowa, NKWD aresztowało dwóch współpracowników ambasady polskiej w Kujbyszewie – Wiktora Altera i Henryka Ehrlicha. Obaj byli czołowymi politykami socjalistycznej partii żydowskiej Bund, powstałej jeszcze pod zaborem rosyjskim, w okresie międzywojennym znaczącego w polskim życiu politycznego ugrupowania lewicowego.

Ehrlich, w chwili aresztowania blisko 60-letni, pochodził z Lublina, był absolwentem prawa na uniwersytecie w Petersburgu, w niepodległej Polsce adwokatem i radnym miejskim w Warszawie. Urodzony w 1890 r. w Mławie Alter ukończył z dyplomem inżyniera mechanika politechnikę w Gandawie. I on zasiadał w radzie miejskiej Warszawy. Obaj swoją działalność polityczną rozpoczęli jeszcze pod zaborem rosyjskim, przeszli przez carskie więzienia. W międzywojniu zasiadali w kierownictwie Bundu, który reprezentowali w Socjalistycznej Międzynarodówce Robotniczej, zrzeszającej partie lewicowe niezależne od Międzynarodówki Komunistycznej.

„Co mnie uderzyło w tym wysokim, barczystym człowieku o bardzo czarnych, zawsze błyszczących z ożywieniem oczach, to jego świetna inteligencja i jakby zupełne oderwanie od spraw osobistych, własnych; mówił wiele, z pasją, o polityce, nauce, o nowych teoriach fizyki i chemii" – pisał o Alterze Józef Czapski, który zetknął się z obydwoma socjalistami w Kujbyszewie. Wybitny malarz dodawał, że „charakteryzował ich jeszcze głęboki związek z kulturą polską, zrośnięcie z nią tych dwóch członków Międzynarodówki, którzy tak akcentowali swoje żydostwo międzynarodowe, ich świetna polszczyzna".

Po wybuchu wojny Alter i Ehrlich udali się na ziemie wschodnie Rzeczypospolitej, na które 17 września 1939 r. wkroczyła Armia Czerwona. Jeszcze trwały walki tej jesiennej kampanii polskiej, kiedy zostali aresztowani przez Sowietów – pierwszy w Lidzie, a drugi w Brześciu nad Bugiem. Byli więzieni na Łubiance. Znany publicysta Ksawery Pruszyński cytował później relację katolickiego księdza, który mówił: „Trzymali się nadzwyczajnie. Zupełnie niezwykle. Jest to dla mnie całkowicie niezrozumiałe, jak mogli tak trzymać się ludzie pozbawieni tego moralnego podtrzymania, jakie daje religia" (cyt. za: „Żydzi polscy w służbie Rzeczypospolitej 1939–1945. Wybór źródeł", oprac. Andrzej K. Kunert, Warszawa 2002, tam liczne materiały dotyczące sprawy Altera i Ehrlicha). Wedle innego świadectwa ten sam ksiądz, niestety nieustalonego nazwiska, zaraz po uwolnieniu i dotarciu do organizowanego dopiero polskiego poselstwa, „gorąco nalegał [...], aby natychmiast i jak najenergiczniej poczynić kroki u władz sowieckich dla wydobycia z więzienia Altera".

W lipcu 1941 r. obaj socjaliści zostali skazani na karę śmierci. Jak informował później sowiecki ambasador Maksym Litwinow, „za czynną działalność wywrotową przeciw ZSSR oraz za udzielanie pomocy organom polskiego wywiadu". Zaiste, należy podziwiać wyjątkową energię obu działaczy, którzy zdążyli prowadzić tak szeroko zakrojoną działalność odpowiednio przez tydzień (Alter) lub dwa tygodnie (Ehrlich), gdyż po takim mniej więcej czasie znaleźli się w rękach NKWD. W istocie zostali aresztowani po prostu jako niekomunistyczni politycy lewicowi. W wypowiedzi Litwinowa ważniejsze było jednak coś innego – zupełna niedbałość o zachowanie pozorów jej prawdopodobieństwa. Jak gdyby i on, i jego mocodawcy wiedzieli, że tam, na Zachodzie – wsio progłotiat.

Nie jest pewne, czy rzeczywiście zamieniono im karę śmierci na 10 lat pobytu w łagrze, czy – jak podaje Józef Czapski – ponieważ nie przyznali się do przypisywanych im zarzutów, podtrzymano wcześniejszy wyrok śmierci, a życie uratował im zawarty w tych dniach układ Sikorski-Majski, wyrywając – na pewien czas – z rąk sowieckiego totalitaryzmu. Po uwolnieniu zgłosili się do ambasady polskiej – ambasador Stanisław Kot pisał do gen. Sikorskiego, że są „zbyt wychudli, aby ich pokazać". Dość oględnie – w rzeczywistości, jak wspominał Jan Szczyrek, wyglądali jak „dwa cienie ludzkie. Istne szkielety, postacie wychudzone, osiwiałe".

Nie różnili się od innych obywateli polskich wyrwanych z kazamat i łagrów totalitarnego państwa. Tak jak inni zgłaszali jednak gotowość pracy dla sprawy polskiej i nie minęły dwa tygodnie, kiedy zadeklarowali to w imieniu Bundu: „Dziś, gdy na ziemiach ZSRR tworzy się nowa Armia Polska dla dalszej walki z Hitlerem, zwracamy się do wszystkich Żydów obywateli Polski, zdolnych do noszenia broni, a znajdujących się na terenie ZSRR, z wezwaniem: »Do broni!«. Stańcie w szeregach żołnierzy, którzy krwią własną raz jeszcze okupić mają prawo Polski do wolnego życia,

eprasa.pl feb53ef4b7

Podpisanie układu polsko-sowieckiego, Kreml, grudzień 1941 r. FOT. CAW

którzy wespół z armiami państw sprzymierzonych uwolnić chcą Polskę od zmory brunatnej zarazy".

Zgodnie z tym apelem deklarowali udział w akcji werbunkowej do powstającego wojska polskiego w ZSRS. W dalszej części odezwy, wypowiadając się o przyszłości Polski po zakończeniu wojny, stwierdzali, że nie może ona istnieć „bez ciągłej groźby utraty swej wolności tylko w wolnej, demokratycznej Europie". Znaczące, że w deklaracji nie padły żadne wyrazy wiary w to, iż ZSRS ma przyjazne zamiary wobec tej przyszłej demokratycznej Polski. ZSRS wymieniano jedynie jako terytorium państwa, gdzie tworzy się polskie wojsko.

Wkrótce Kot otrzymał informację, że do nowej Rady Narodowej RP, będącej organem doradczym uchodzącym za namiastkę parlamentu na uchodźstwie, wejdzie Ehrlich, jako jeden z dwóch reprezentantów polskich Żydów. Na razie obaj pozostali w ZSRS i za wiedzą Kota zgłosili postulat utworzenia żydowskiego komitetu antyfaszystowskiego. Jak pisał Stanisław Swianiewicz, władze sowieckie dały „im do dyspozycji pewien aparat sekretarski i transportowy, tzn. obstawiono ich ze wszystkich stron prowokatorami". Przede wszystkim zgodnie ze swoją wrześniową deklaracją włączyli się w propagowanie akcji wojskowej. 24 października, w czasie spotkania z gen. Władysławem Andersem, oświadczyli, iż „Bund nie pragnie niczego innego, jak wykonać zapewnienie gen. Andersa, że jest jedno tylko wojsko polskie, jeden cel tylko – walka o nową Polskę, walka ta sama dla wszystkich".

Znów w matni NKWD

Ich działalność nie trwała długo. Nocną godziną 4 grudnia 1941 r. z sali restauracyjnej hotelu Grand w Kujbyszewie wywołano, ponoć do telefonu, Altera. Wrócił po chwili, mówiąc do Ehrlicha: „Henryku – jesteśmy proszeni". Wiadomo, że wyszli z hotelu z jakąś nieznaną osobą, „w ciemną, grudniową rosyjską noc. Nie mieli z niej wyjrzeć już nigdy" – napisał znający obu Pruszyński. Domyślono się jednak, że ponownie znaleźli się w rękach NKWD. Było to niemal dokładnie w chwili, kiedy na Kremlu podpisywano polsko-sowiecką deklarację o wspólnej walce z Niemcami, „gdy w moskiewskiej operze grano »Jeszcze Polska nie zginęła«, a wódz naczelny był przyjmowany przez Stalina i na wszystkie strony filmowany" (Czapski, „Na nieludzkiej ziemi").

Ambasador Kot natychmiast podjął interwencję na rzecz aresztowanych u Andrieja Wyszyńskiego, zastępcy sowieckiego ministra spraw zagranicznych (nadal zajmowane przez tego, który podpisał układ o nieagresji z III Rzeszą 23 sierpnia 1939 r.). Wyszyński był postacią wyjątkowo złowrogą, jednym z tych, którzy uosabiali wielki terror w Związku Sowieckim. O korzeniach polskich, ale deklarujący, że z polskością nic go już nie łączy, był niegdyś działaczem mienszewików, odłamu rosyjskiej socjaldemokracji wrogiego bolszewikom. Na stronę Lenina przeszedł dopiero u schyłku wojny domowej w Rosji. Nie zaszkodziło to jego karierze, a w drugiej połowie lat 30. pełnił funkcję oskarżyciela w procesach pokazowych czołowych działaczy bolszewickich z otoczenia wodza rewolucji październikowej.

Kiedy Kot zaapelował o uwolnienie Altera i Ehrlicha, rzucając w końcu na szalę argument, że środowiska żydowskie w Stanach Zjednoczonych będą głośno protestować w związku z tą sprawą, Wyszyński odpowiedział: „Tym, że organizacje żydowskie za granicą podniosą wrzawę, nie możemy się kierować. Aresztowanie ich doszło do skutku z wyjątkowo ważnej przyczyny [...]. Ustalono bez żadnej wątpliwości, że pracowali oni na rzecz Niemiec [...]. Przestępstwo popełnione przez nich jest bardzo poważne". Kot, zaskoczony tak bezczelnym tłumaczeniem, odpowiedział, że to zupełnie nieprawdopodobne, żeby Żydzi na tak wysokim stanowisku byli agentami niemieckimi. Wyszyński potrafił i na to znaleźć odpowiedź: „A Trocki przecież okazał się być agentem niemieckim". Na dalsze próby argumentacji Kota o niedorzeczności powodu aresztowania sowiecki dygnitarz obiecał, że każe dokładnie zbadać sprawę, przyznając, że o aresztowaniu zadecydowały najwyższe władze ZSRS, i dodając złowrogie pytanie: „A jeśli interesy naszej wspólnej

eprasa.pl feb53ef4b7

sprawy wymagają unieszkodliwienia tego rodzaju agentów niemieckich?". Kotowi pozostało tylko raz jeszcze potwierdzić swoje pełne przekonanie o tym, że bundowcy są niewinni.

W marcu następnego roku ambasador informował władze polskie w Londynie, że wszelkie starania o zwolnienie obu działaczy „spełzły na niczym". Ponownie spotkał się z Wyszyńskim na początku czerwca 1942 r. Ten wysłuchał ambasadora, po czym stwierdził, że nie może dyskutować w sprawie Altera i Ehrlicha, ponieważ są oni obywatelami sowieckimi. Kot starał się obrócić te słowa w żart, mówiąc, że Sowieci chyba nie zamierzają zająć Warszawy. „Bo jakimiż oni tam są waszymi obywatelami! Przecież to radni miejscy Warszawy", uwięzieni w 1939 r. przez Sowietów po zagarnięciu ziem wschodnich RP. Wyszyński odpowiedział, że uznaje powiedzenie Kota za dowcip: „Wcale nie chcemy jej zajmować! Ale Warszawa się obejdzie bez Ehrlicha i Altera". Kot nie wiedział, że kiedy po raz kolejny prosił o uwolnienie obu działaczy Bundu, jeden z nich już nie żył.

Pomińmy ostentacyjną bezczelność sowieckiego „wyjaśnienia". Nie wiemy, jaki był rzeczywisty cel aresztowania Altera i Ehrlicha przez NKWD, jak wspominał gen. Anders, patriotów żydowskich i socjalistów, biegunowo różniących się od totalistów sowieckich. Można jednak domniemywać, że wpływały na to dwie rzeczy. W środowisku polskim skupionym wokół ambasady w Kujbyszewie zauważono, że obaj bundowcy chętnie rozmawiają z dziennikarzami i dyplomatami państw zachodnich. Nie mogło to ujść uwadze NKWD. Nawet jeżeli oględnie wyrażali się o systemie panującym w państwie sowieckim, to na Zachodzie ich potencjalny głos jako polityków lewicowych, demaskujących komunistyczną „wolność", był dla Sowietów znacznie bardziej niebezpieczny niż oficjalne deklaracje władz polskich.

Może jednak przyczyna była bardziej prozaiczna, a uderzenie sowieckie miało na celu sterroryzowanie Polaków przebywających przy ambasadzie RP w Kujbyszewie? „Zrozumiano, że każdy może jutro znaleźć się z powrotem tam, skąd go wyrwała umowa gen. Sikorskiego ze Związkiem Sowieckim" – pisał Swianiewicz. Pewne jest, że aresztowanie Altera i Ehrlicha było

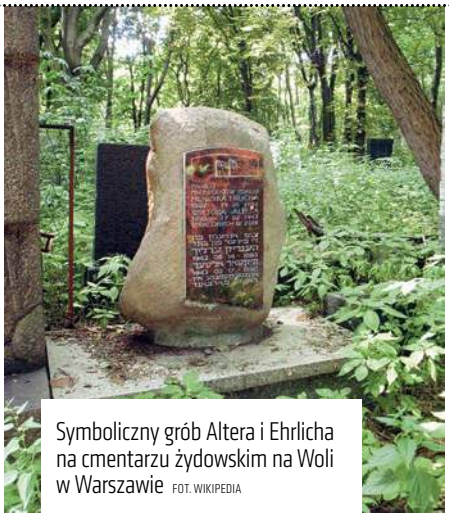

Symboliczny grób Altera i Ehrlicha na cmentarzu żydowskim na Woli w Warszawie FOT. WIKIPEDIA

sygnałem prawdziwych intencji ZSRS wobec Polski. Dokładnie odwrotnych od zapewnienia Wyszyńskiego, że Sowieci nie mają zamiaru opanować Warszawy.

„Wszystko przełkną"

Jakie były dalsze losy Wiktora Altera i Henryka Ehrlicha? 23 lutego 1943 r. ambasador sowiecki w Nowym Jorku Maksym Litwinow, poprzednik Mołotowa na stanowisku komisarza spraw zagranicznych, przekazał jego oświadczenie grupie amerykańskich przywódców związkowych, którzy domagali się wyjaśnienia losu działaczy Bundu. Twierdzono w nim, że aresztowano ich za propagowanie wśród wojsk sowieckich postulatu zawarcia odrębnego pokoju z Niemcami, za co następnie zostali przez władze sowieckie rozstrzelani. W jaki sposób Alter i Ehrlich mieli propagować wśród czerwonoarmistów postulat zawarcia pokoju z Niemcami, Litwinow już nie wyjaśnił. Dopiero po upadku ZSRS okazało się, że Ehrlich miał popełnić samobójstwo w więzieniu w Kujbyszewie 14 maja 1942 r., a Alter został rozstrzelany 17 lutego następnego roku.

Józef Czapski, komentując oświadczenie sowieckie, zauważył, że „wybrano dla ogłoszenia tej wiadomości okres zwycięstw sowieckich; co znaczy likwidacja dwóch ludzi na tym tle – drobnostka! Minęły czasy, kiedy walczono o Dreyfusa [...]. Prawdopodobnie na myśl, że tego rodzaju egzekucja może wywołać przykre reperkusje w opinii na Zachodzie, Stalin musiał się uśmiechnąć i pomyśleć sobie to, co miał w podobnej okazji powiedzieć o ludziach Zachodu: – »Niczewo, wsio progłotiat« (To nic, wszystko przełkną)".

Wszystko przełknął zresztą i konserwatysta Ksawery Pruszyński, po wojnie poseł komunistycznych władz polskich w holenderskiej Hadze. Przełknął i Bernard Singer, jeden z najbardziej znanych przedwojennych publicystów, więzień sowieckich łagrów, który zapewniał Swianiewicza, że ze sprawy zaginięcia Altera i Ehrlicha uczyni jeden „z centralnych tematów swojej aktywności pisarskiej i dziennikarskiej". Nie tylko tego nie zrobił, lecz także w 1945 r., chociaż pozostał na Zachodzie, swoją aktywność dziennikarską skoncentrował na zgoła innym temacie – wspieraniu reżimu Bieruta w Warszawie.

Jak wspominał Swianiewicz, „gdy pewnego dnia spotkaliśmy się, zaprosił mnie na kolację do swego mieszkania z zastrzeżeniem jednak, że nie będę zadawał żadnych pytań, związanych z powodami jego przejścia na służbę rządów komunistycznych". Rzeczywiście, współpracownik komunistycznej bezpieki o kryptonimie Rex nie miał się czym chwalić, chociaż Swianiewicz, rzecz jasna nic na ten temat niewiedzący, dostrzegł, że Singer „robił wrażenie człowieka ujętego w jakieś kleszcze [...] wstydził się tej zmiany frontu", czym różnił się od Pruszyńskiego, „który przeszedł do służby Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej [...] z przekonaniem, że robi właściwą rzecz".

Sowieckie „wyjaśnienia" w sprawie przyczyny aresztowania i zamordowania Wiktora Altera i Henryka Ehrlicha „przełknęła" jednak przede wszystkim opinia publiczna na Zachodzie, w znacznej wszak mierze ulegająca wpływom lewicowym. Gorzko konstatował Stanisław Swianiewicz, że w środowisku polskim spodziewano się jednak jakiegoś protestu na Zachodzie. „Nie orientowaliśmy się wówczas, jak mało ta opinia była skłonna do jakiejś reakcji na wszelkie nieprawości i zbrodnie sowieckie i jak bezceremonialnie prasa, radio i przemysł filmowy okłamywały swoich czytelników i słuchaczy, jeśli idzie o te sprawy".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Edukacji Narodowej IPN, profesorem Uczelni Łazarskiego.

eprasa.pl feb53ef4b7

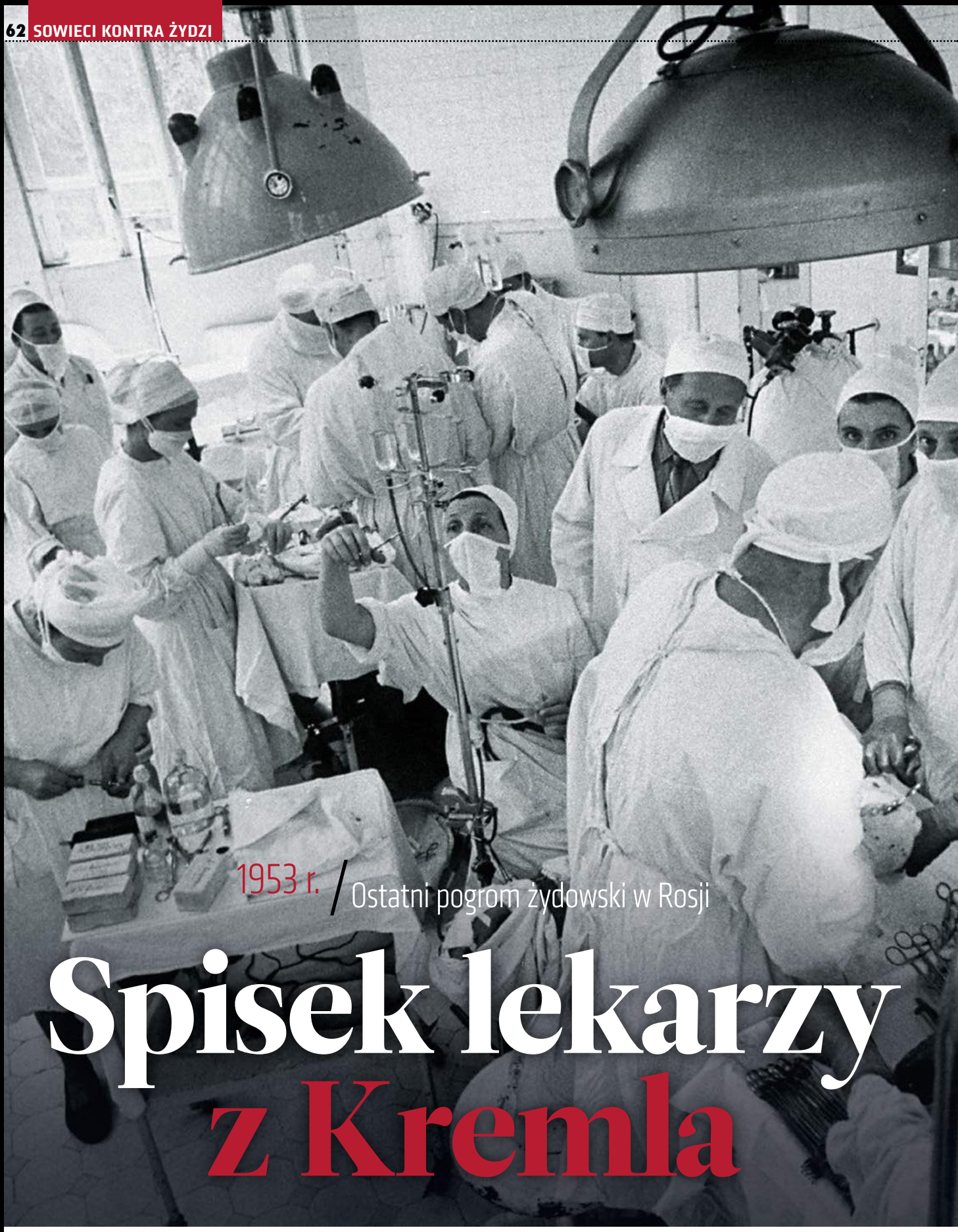

1953 r. / Ostatni pogrom żydowski w Rosji

Spisek lekarzy z Kremla

eprasa.pl feb53ef4b7

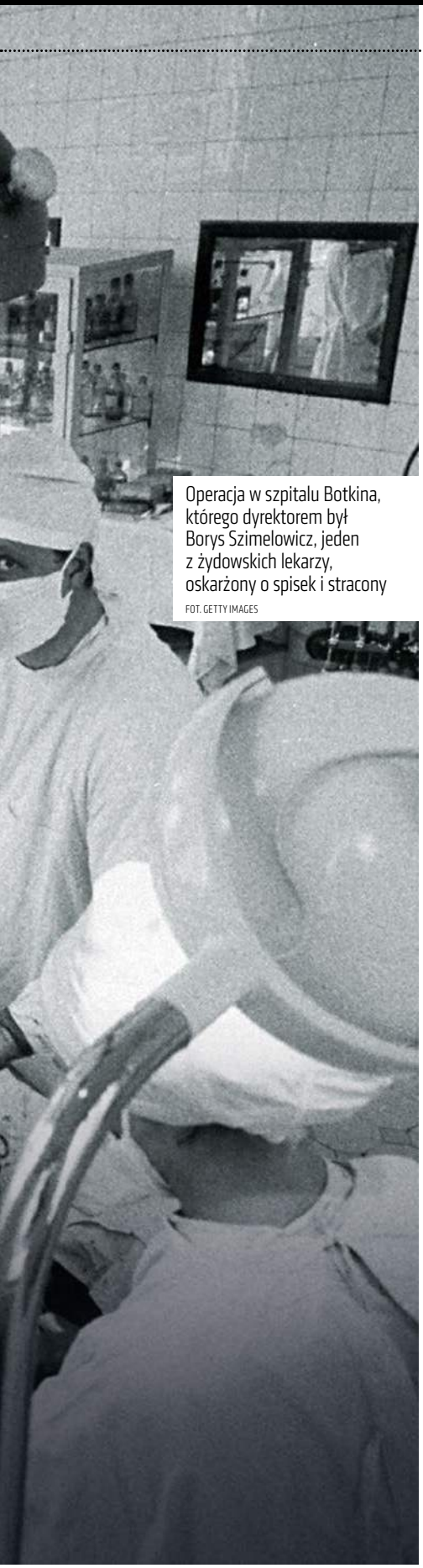

Operacja w szpitalu Botkina, którego dyrektorem był Borys Szimelowicz, jeden z żydowskich lekarzy, oskarżony o spisek i stracony

FOT. GETTY IMAGES

Mikołaj Iwanow

Na rozkaz Stalina NKWD spreparowało antysemicką prowokację. Czy w ZSRS mogło dojść do drugiego Holokaustu?

Holokaust był wymyślony i zrealizowany przez niemieckich narodowych socjalistów Hitlera. Było to prawdopodobnie apogeum rozwoju zoologicznego antysemityzmu – fizyczne zniszczenie Żydów. Wydaje się, że nigdzie i nigdy coś podobnego wobec narodu żydowskiego nie było planowane ani wdrażane w życie. A jednak…

Był luty roku 1953. Minęło osiem lat od zakończenia drugiej wojny światowej, od zakończenia straszliwej tragedii narodu żydowskiego. Do redakcji gazety „Prawda" zaproszono 43 wybitnych przedstawicieli Żydów sowieckich w celu podpisania listu zbiorowego do KC i Stalina z prośbą, aby deportować ich własny naród na Syberię i Daleki Wschód i w ten sposób odkupić winę za uleganie syjonizmowi. Było jasne, że szykuje się wielki pogrom żydowski. Dlaczego jednak? W jakim celu Stalin chciał ukarać tych, którzy tak dużo zrobili dla zwycięstwa ZSRS w wojnie z Niemcami?

Brak w tym wszystkim elementarnej logiki. Powojenna odbudowa Związku Sowieckiego dobiegła końca. Wydawało się, że narody Kraju Rad mogą liczyć na jakieś reformy liberalne. Stalin jednak polegał na swej starej wypróbowanej metodzie rządzenia – terrorze.

Po rewolucji bolszewickiej rola Żydów w Związku Sowieckim powoli, ale nieuchronnie malała. Od czasów Lenina, kiedy komuniści narodowości żydowskiej w Biurze Politycznym Partii Komunistycznej dominowali, a Lew Trocki powszechnie był uważany w kraju za naturalnego spadkobiercę Lenina, pod koniec lat 30. w Biurze Politycznym pozostał jedyny „wierny stalinowiec" pochodzenia żydowskiego – Łazar Kaganowicz. Jego wierność Stalinowi przypomina służbę dla Niemców policjantów żydowskich, którzy dość często dla uratowania własnego życia musieli wysyłać na śmierć swoje rodziny. W przypadku Kaganowicza w wirze wielkiego terroru zginął jego rodzony brat, którego starszy nawet nie próbował ratować.

Prawie wszyscy Żydzi-poplecznicy Lenina zaginęli w ramach wielkiego terroru, w wyniku wyroków sądów przeważnie pokazowych, jako agenci brytyjscy, polscy, amerykańscy czy japońscy. Trockiego siekiera terrorysty dosięgła nawet w Meksyku, gdzie ostatni „wierny leninowiec" próbował z wielkim trudem organizować opozycję wobec Stalina.

Spotkanie w redakcji partyjnej gazety „Prawda" było poprzedzone artykułem redakcyjnym tej gazety z 13 stycznia. Pisano w nim, że dzięki czujności lekarki-patriotki Lidii Timaszuk wykryto spisek lekarzy-szkodników, którzy planowali zabicie członków Biura Politycznego i samego Stalina. Zamach na życie przywódców sowieckich – jak pisała „Prawda" – miał odbyć się w sposób najbardziej ohydny: poprzez nieprawidłowe leczenie i stosowanie złych lekarstw. Doświadczony czytelnik tej gazety, która rzadko pisała prawdę, umiejący czytać między wierszami, mógł jednak zrozumieć, że chodzi tu nie o lekarzy, ale o Żydów, ponieważ prawie wszyscy wymienieni w artykule lekarze-szkodnicy byli Żydami. Co więcej, „Prawda" oskarżała ich o związki ze światowym syjonizmem i z reakcyjną organizacją amerykańskiego Żydostwa „Joint". Pisano w „Prawdzie" i o tym, że jedyną słuszną karą za podobne przestępstwa może być kara śmierci.

O co tu chodzi? Czy od dawna drzemiący w „przywódcy narodów" antysemityzm nareszcie się przejawił

eprasa.pl feb53ef4b7

w całej okazałości i Stalin, przeczuwając bliską śmierć, zadecydował rozliczyć się z Żydami? Czy rzeczywiście Stalin był antysemitą?

Antysemita pragmatyk

Stalin był przede wszystkim skrajnym pragmatykiem. Dla zachowania i umocnienia swej władzy mógł pójść na kompromis ze swym najgorszym wrogiem albo – jeśli uważał to za konieczne – zabić najbardziej oddanego sobie człowieka. I mógł sięgać po absolutnie sprzeczne ze sobą metody. Tym razem dla osiągnięcia doraźnych celów politycznych pasował mu jak najbardziej antysemityzm. Tak samo przyczyną wymordowania prawie 200 tys. Polaków w okresie wielkiego terroru lat 1937–1938 nie była zoologiczna polonofobia Stalina, lecz jego „zdrowy rozsądek" prawdziwego komunisty. Polacy najbardziej nadawali się do odegrania roli swoistego straszaka w celu pogrążenia kraju w atmosferze strachu i totalnego terroru. Uważał to za jedyny środek bezwzględnego podporządkowania sobie społeczeństwa sowieckiego.

Stalin za pomocą terroru chciał przygotować kraj ku nowemu starciu wojennemu. Było to również konieczne ze względu na powszechne oczekiwania narodu, który ogromnym krwawym wysiłkiem wygrał tę wojnę, a miliony ubranych w wojskowe mundury obywateli sowieckich na własne oczy zobaczyły, jak żyją ludzie w wyzwolonej-zniewolonej przez nich Europie, a jak niski jest poziom ich życia. Prześladując Żydów, Stalin osiągał podwójny cel. Po pierwsze, oskarżając przywódców społeczności żydowskiej o szpiegostwo na rzecz Stanów Zjednoczonych, uwypuklał rzekomą groźbę nowej wojny i w ten sposób jednoczył naród pod kierownictwem partii komunistycznej. Po drugie, Żydów można było tradycyjnie oskarżyć o wszystkie niepowodzenia powojennej polityki wewnętrznej.

Porównanie polityki ludobójczej dwóch najpotężniejszych totalitaryzmów XX w. ujawnia zadziwiające podobieństwo. Stalin pierwszy zastosował na tak wielką skalę ludobójstwo jednej narodowości (Polaków) w operacji polskiej NKWD. Hitler znacznie wyprzedził Stalina w liczbie ofiar i w przemysłowych metodach masowego zabójstwa. Zastosował to na Żydach, natomiast Polacy stali na pewno w kolejce do zagłady.

Na pierwszy ogień tego wielkiego pogromu żydowskiego poszli członkowie tzw. Żydowskiego Komitetu Antyfaszystowskiego. Komitet za zgodą Stalina utworzono w 1941 r. w celu pozyskania poparcia żydostwa amerykańskiego dla Związku Sowieckiego w wojnie z Hitlerem. Na jego czele stanął wybitny aktor żydowski Solomon Michoels. Członkami komitetu zostali: generałowie Jakob Kreiser i Aaron Kac, dyrektor „Sowinformbiuro" (główna tuba propagandowa Stalina) Solomon Łozowskij, pisarz Ilja Erenburg, poeta Perec Markisz, akademicy Aaron Frumkin, Lina Sztern, muzycy Dawid Ojstrach i Emil Gilels oraz inni. Podczas licznych wizyt w Stanach Zjednoczonych w trakcie wojny zebrali oni dla Związku Sowieckiego miliony dolarów od żydostwa amerykańskiego. Po wojnie ci ludzie już nie byli Stalinowi potrzebni. Wręcz odwrotnie: symbolizowali oni współpracę z zagorzałym wrogiem ZSRS – Stanami Zjednoczonymi. Większość członków komitetu aresztowano i po sfingowanym procesie rozstrzelano w sierpniu 1952 r.

Następnym krokiem przygotowawczym do wielkiego pogromu żydowskiego w ZSRS była sprawa lekarzy. W artykule „Prawdy" na ten temat pisano: „Większość uczestników grupy przestępczej – Wowsi, Feldman, Grinsztejn, Etinger – była kupiona przez wywiad amerykański. Zostali zwerbowani przez filię wywiadu amerykańskiego – międzynarodową żydowską burżuazyjno-nacjonalistyczną organizację »Joint«. Brudne oblicze tej szpiegowskiej syjonistycznej organizacji, która ukrywa swą podłą działalność pod maską dobroczynności, wykryte jest już całkowicie".

Stalin osobiście nadzorował śledztwo w sprawie lekarzy. Wymagał od śledczych wykrycia związków oskarżonych z wywiadem amerykańskim i brytyjskim. Zastosowano wobec nich środki przymusu bezpośredniego. 24 godziny na dobę trzymano ich w kajdankach. W dzień ręce wiązano im z tyłu, a w nocy z przodu. Stosowano wypróbowane metody NKWD: brak snu przez kilka dób, głodzenie, straszenie represjami wobec dzieci i rodziny. Stalin planował organizowanie wielkiego pokazowego procesu w Moskwie, który powinien stać się podstawą do ukarania całego narodu żydowskiego.

Króliki i wąż

Plan Stalina był iście diabelski: sami Żydzi proszą o wysiedlenie na Syberię, aby sumienną pracą na rzecz socjalistycznej ojczyzny zmazać winę – syjonizm. Powiało grozą wielkiego pogromu żydowskiego, dorównującego Holokaustowi drugiej wojny światowej.

Wasilij Grossman, kronikarz bitwy stalingradzkiej, bohater wojny, autor nagrodzonej nagrodą stalinowską pierwszego stopnia książki „W okopach Stalingradu", tak opisywał atmosferę tych dni: „Wydawało się, że czarna mgła opanowała Moskwę. Ona wpełzała w domy, w szkoły, w nasze serca". Żydów powszechnie zwalniają z pracy, już przyjęto tajny dokument, ograniczający liczbę Żydów na uczelniach wyższych. Wysiedlenie wyglądało na nieuniknione. Wasilij Grossman pisze: „W szpitalach pracować było prawie niemożliwe. Chorzy odmawiali leczyć się u lekarzy-Żydów, pielęgniarki-Żydówki podejrzewano o próby otrucia pacjentów. W tramwajach i na bazarach ludzie opowiadali, że w Moskwie zamknięto kilka aptek, gdzie farmaceuci-Żydzi sprzedawali leki z wysuszonymi wszami, że na porodówkach Żydzi zakażają syfilisem, że dentyści-Żydzi zakażają pacjentów rakiem szczęki i języka… Wierzyli w te plotki zarówno nieedukowani zarządcy domów, jak i naukowcy-doktorzy, pisarze, inżynierowie, studenci".

Karykatura odnosząca się do rzekomego spisku żydowskich lekarzy

FOT. ARCHIWUM

eprasa.pl feb53ef4b7

Do podpisania listu do Stalina i KC z prośbą o wysiedlenie Żydów zaproszono wybitnych przedstawicieli tego narodu, których znał cały kraj. W sali redakcyjnej „Prawdy", gdzie zebrali się podpisujący, byli sami Żydzi. Stalin polecił przekonać zebranych o konieczności postawienia swego podpisu przez dwóch wiernych stalinowców (znów nasuwa się analogia do policji żydowskiej w gettach): pierwszego zastępcę redaktora naczelnego „Prawdy" (było to w zasadzie stanowisko redaktora naczelnego, bo redaktorem nominalnym był członek Biura Politycznego) Dawida Zasławskiego i czołowego jej publicystę Jakoba Chawensona (piszącego pod pseudonimem M. Marinin).

Aby zrozumieć, co to byli za ludzie, wystarczy przytoczyć fragment wystąpienia Chawensona-Marinina na zebraniu partyjnym w „Prawdzie", poprzedzającym zbiórkę podpisujących: „Liderzy imperializmu amerykańskiego, należący do żydowskiej burżuazji, wykorzystują różne sposoby w celu zakażenia części ludności żydowskiej w naszym kraju trucizną szowinizmu nacjonalistycznego, wykorzystując przy tym związki rodzinne Żydów amerykańskich, znaczna część których pochodzi z naszego kraju. Wykorzystują te sposoby, aby zakładać swą agenturę. Znaczna część dzisiejszych krytyków – kosmopolitów ulega tym naciskom. Oni bezpośrednio związani są między sobą".

Wśród zaproszonych byli: mistrz świata w szachach Dawid Botwinnik, akademicy Jewgenij Warga, Aleksandr Goriunow, Aleksandr Frumkin, Siemion Wolfkowicz, Lew Landau, kompozytorzy Isaak Dunajewski, Reinhold Glière, pisarze Wasilij Grossman, Pawieł Antokolski, Samuel Marszak, Margarita Aligier, reżyserzy filmowi Dmitrij Donskoj, Grigorij Rom, Julij Rajzman, muzycy Dawid Ojstrach, Emil Gilels, generałowie Jakob Krejser, Dragunskij i inni.

Tekstu tego listu nie ma w obiegu naukowym. Prawdopodobnie znajduje się w jednym z zamkniętych archiwów Rosji. Możliwe także, że został zniszczony po śmierci Stalina. Znane są jedynie fragmenty, odtworzone z pamięci przez niektórych podpisujących. Wasilij Grossman wspominał, że było to błaganie Żydów, aby obronić ich przed nieuniknionym samosądem narodu sowieckiego za uleganie ideom syjonistycznym. Zasławski przekonywał zebranych, że partia w ten sposób próbuje uchronić naród żydowski przed nieuniknionymi pogromami.

Komunistyczna agitacja w Tel Awiwie, 1947 r. FOT. ARCHIWUM

Odtworzony z pamięci przez poetę Pawieła Antokolskiego fragment listu brzmiał: „Złowieszczy cień zabójców w białych ubraniach legł na cały naród żydowski. Każdy człowiek sowiecki nie może nie wyrażać swojego gniewu i oburzenia. W obecnej sytuacji jedynie oddana praca tam, gdzie skieruje nas partia i rząd sowiecki, wielki wódz narodu sowieckiego Józef Stalin, pozwoli zmyć tę ohydną plamę, która leży na ludności żydowskiej ZSRS. Dlatego całkowicie popieramy sprawiedliwe plany rządu sowieckiego, aby skierować Żydów do pracy w celu rozwoju rejonów wschodniej Syberii, Dalekiego Wschodu i Dalekiej Północy. Jedynie sumienna i szturmowa praca może przywrócić dobre imię Żydów w oczach ojczyzny, wielkiego Stalina i całego narodu sowieckiego". Na Syberii Żydów planowano wykorzystywać do najcięższych prac.

Podpisali list wszyscy obecni. Podpisał i Wasilij Grossman. Mówią, że tego swojego tchórzostwa ów żołnierz spod Stalingradu nigdy sobie nie mógł wybaczyć. Zrobił się małomówny, zaczął stronić od ludzi. Pisał przeważnie to, co zostało opublikowane dopiero po jego śmierci. Poeta Pawieł Antokolski skomentował proces podpisania tak: „Teraz wiem, co czuje królik kilka minut przed tym, jak zostanie zjedzony przez węża dusiciela".

Ilja Erenburg, który na zebraniu obecny nie był, napisał obszerne posłanie do Stalina, próbując tłumaczyć mu absurdalność listu, argumentując, że gra on na rzecz nacjonalistów żydowskich i może bardzo negatywnie wpłynąć na wizerunek sowieckiego systemu na świecie. Prosił Stalina, by mu poradził: podpisywać czy nie? Erenburg napisał, że podpisze, jeśli każe mu to zrobić sam Stalin. Miał krótki telefon od „ojca narodów", który powiedział krótko: „Podpisujcie".

Nie podpisał listu szachowy mistrz świata Dawid Botwinnik. Po prostu miał dobre układy ze służbami. Za namową swych ludzi z tych struktur udawał chorobę i przez kilka dni nie podnosił słuchawki telefonu, a później znikł z Moskwy na kilka dni, kiedy go szukali Zasławski i Chawenson.

Słynny śpiewak operowy Mark Rejzen odmówił udziału w zebraniu. Wiedział, o co chodzi. Nie zgłosił się na apel Zasławskiego gen. Jakob Kreiser. Odmówili podpisania w związku z kłopotami służbowymi akademicy Jewgienij Warga i Aleksandr Goriunow. Wszyscy po prostu unikali spotkania z Zasławskim.

Otwarcie sprzeciwiły się podpisaniu listu jedynie dwie osoby. Pisarz Aleksandr Kawerin wprost powiedział Zasławskiemu, że nie podpisze. Dlaczego? Wytłumaczył, że odpowie na to pytanie jedynie samemu Stalinowi. O dziwo, odmówił podpisania listu „żelazny stalinowiec", członek Biura Politycznego i osoba z najbliższego otoczenia Stalina – Łazar Kaganowicz. Nie tylko odmówił, lecz także zadzwonił do Stalina ze skargą: Kto mógł wpaść na tak idiotyczny pomysł, aby dołączyć go, jednego z pierwszych ludzi kraju, do grona podpisujących?! Stalin wysłuchawszy go, z niezadowoleniem odpuścił.

W tym czasie (luty 1953 r.) Moskwa, miasto z największym odsetkiem ludności żydowskiej w kraju, szykowała się do „wielkiego pogromu żydowskiego". Do gazet trafiają setki listów „sumiennych" robotników, oskarżających Żydów o syjonizm. Piszą, że „wśród Żydów prawie brak jest uczciwych ludzi. Niech ich wszystkich dosięgnie karająca ręka partii i towarzysza Stalina…".Są informacje o tym, że na Syberii i Dalekim Wschodzie w tym czasie już rozpoczęto budowę obozów pracy dla setek tysięcy wypędzanych. W okolicach Moskwy i przy innych wielkich miastach gromadzono tabor kolejowy, lokomotywy. Niektórzy twierdzą, że oszalały wódz chciał urządzić w centach miast publiczne powieszenie skazanych lekarzy-szkodników połączone z pogromami Żydów…

Kraj szykował się do oczyszczenia Związku Sowieckiego z Żydów, ale zamiast tego 9 marca trzeba było zorganizować pogrzeb jednego z największych antysemitów świata, ale antysemity szczególnego rodzaju… W niesamowitym ścisku podczas pogrzebu zginęło, jak twierdzą niektórzy badacze, do 2 tys. osób… Czy była to zemsta Żydów za planowany pogrom?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl feb53ef4b7

Wywiad / Z prof. Johnem Mearsheimerem

rozmawia Piotr Zychowicz

Ameryka potrafi być bezwzględna

Amerykanie w Paryżu, 1944 r. FOT. GETTY IMAGES

PIOTR ZYCHOWICZ: Oglądał pan serial „Kompania braci" Stevena Spielberga?

PROF. JOHN MEARSHEIMER: Nie.

To historia oddziału amerykańskich żołnierzy, którzy lądują w Normandii. Odcinek 9. został zatytułowany „Dlaczego walczymy". W odcinku tym bohaterowie serialu wyzwalają niemiecki obóz koncentracyjny. Znajdują w nim góry trupów i potwornie wychudzonych, wycieńczonych więźniów w pasiakach. I wtedy dociera do nich – i do milionów widzów przed telewizorami – dlaczego Amerykanie walczą i umierają tak daleko od domu.

To tylko film. Wbrew temu, co się dzisiaj opowiada, Stany Zjednoczone nie przystąpiły do drugiej wojny światowej z pobudek moralnych. Przystąpiły do niej z powodów strategicznych. W ten sposób realizowały swoje interesy. Oczywiście amerykański rząd od samego początku – od momentu dojścia Adolfa Hitlera do władzy w 1933 r. – był niezwykle krytycznie nastawiony wobec ideologii narodowosocjalistycznej. To jest poza dyskusją. To jednak nie z powodu niechęci do nazizmu Waszyngton zaangażował się w wojnę na kontynencie europejskim. To nie dlatego ginęli amerykańscy chłopcy.

To dlaczego?

Ponieważ Niemcy naruszyły równowagę sił na kontynencie. A Stany Zjednoczone wobec Europy sprawują funkcję offshore balancer.

Co to znaczy?

To znaczy, że naczelną zasadą amerykańskiej polityki zagranicznej jest niedopuszczenie do tego, aby jakieś mocarstwo w Europie lub Azji osiągnęło status kontynentalnego hegemona. Czyli zdominowało wszystkie pozostałe regionalne mocarstwa. Państwo takie szybko stałoby się bowiem na tyle potężne, że mogłoby rzucić wyzwanie Stanom Zjednoczonym w walce o globalną dominację. Gdy jakiś kraj staje się na tyle potężny, aby zdominować Stary Kontynent, Ameryka wkracza do akcji i takie państwo powstrzymuje. W latach 40. XX w. takim krajem były Niemcy.

O tym, że Niemcy będą próbowały zdobyć hegemonię w Europie, wiadomo było już jednak wcześniej.

Tak, ale Ameryka liczyła wówczas, że innym europejskim mocarstwom

eprasa.pl feb53ef4b7

uda się Niemcy zatrzymać samodzielnie. Hitler zaatakował Polskę w roku 1939, ale Stany Zjednoczone nie zdecydowały się na interwencję. W grze były bowiem jeszcze Francja i Wielka Brytania. Dopiero w 1940 r., gdy Niemcy szybko rozbiły Francję i wypchnęły Brytyjczyków z kontynentu, Waszyngton zaczął się poważnie niepokoić. Wyglądało bowiem na to, że teraz Hitler zaatakuje i zniszczy Związek Sowiecki. To zaś oznaczałoby, że Niemcy zdobędą status hegemona Europy.

I co za tym idzie – naruszą światową równowagę sił.

Dokładnie. Taka sytuacja była dla Stanów Zjednoczonych nie do zaakceptowania. Dlatego właśnie, gdy 22 czerwca 1941 r. rozpoczęła się operacja „Barbarossa", w Waszyngtonie zapaliła się czerwona lampka alarmowa. I Ameryka wrzuciła wysoki bieg. W grudniu 1941 r. Stany Zjednoczone wkroczyły do wojny przeciwko Niemcom. Nie zrobiły tego jednak dlatego, że chciały walczyć z paskudną tyranią Hitlera – zrobiły to dlatego, że Niemcy stały się na tyle potężne, iż mogły zdominować Europę. System, który panował w Niemczech, miał w tej rozgrywce drugorzędne znaczenie. Chodziło o układ sił.

Zaraz, ale to Niemcy wypowiedziały wojnę Ameryce, a nie Ameryka Niemcom.

To była formalność. Hitler tylko zaoszczędził Amerykanom kłopotu. Decyzja o tym, że należy walczyć z Niemcami w Waszyngtonie, już zapadła.

Wojna niemiecko-amerykańska rozpoczęła się w grudniu 1941 r., ale Amerykanie nie kwapili się, żeby przybyć na kontynent. Dlaczego?

Ponieważ taką mają taktykę. To samo zrobili przecież w trakcie pierwszej wojny światowej. Wtedy z kolei istniało ryzyko, że hegemonem Europy zostaną wilhelmińskie, cesarskie Niemcy. Amerykanie mieli jednak nadzieję, że koalicja brytyjsko-francusko-rosyjska sama z Niemcami sobie poradzi. Problem pojawił się na początku 1917 r. Wtedy stało się jasne, że ten scenariusz się nie zrealizuje. I rzeczywiście. Niemcom udało się pobić i wykluczyć z gry Rosję. Dzięki temu mogli przerzucić gros sił na front zachodni. Istniało ryzyko, że pobiją Anglię oraz Francję i w konsekwencji staną się hegemonem. Był to moment, w którym Stany Zjednoczone musiały wkroczy do wojny. Amerykańskie wojska zaczęły przybywać do Europy pod koniec 1917 r., ale większość oddziałów przerzucono w roku 1918. A więc w ostatniej fazie konfliktu.

Czyli Stany Zjednoczone zawsze rzucają karty na stół jako ostatnie.

Oczywiście. To jest najmądrzejsza strategia, jaką może zastosować państwo. Wejść do wojny tak późno, jak tylko się da. Wówczas ponosi się najmniejsze straty i zachowuje siły na moment rozstrzygający konflikt. To przepis na zwycięstwo.

Tak, to bez wątpienia najmądrzejsza taktyka. Jak pan jednak wytłumaczy ten dualizm. Ameryka prowadzi wojny w obronie swoich interesów, ale światu sprzedaje je jako walkę o wolność, prawa człowieka i demokrację.

Narody lubią wierzyć w to, że walczą po stronie dobra, a ich rządy nie kierują się egoizmem ani Realpolitik, ale altruizmem i humanizmem. Chcą też, żeby w taką idealistyczną wizję uwierzyli wszyscy inni ludzie na globie. Dlatego właśnie każda strona konfliktu w swojej propagandzie twierdzi, że to po jej stronie stoją racje moralne i to ona reprezentuje dobro. A przeciwnik – zło. Stany Zjednoczone nie są tu żadnym wyjątkiem. Wojny między mocarstwami toczą się o interesy, ale miło jest je opakować w moralne narracje. Jest jeszcze strona praktyczna. Trudno skłonić własnych żołnierzy do przelewania krwi, mówiąc im, że walczą o realizacje strategicznych interesów mocarstwa. Znacznie łatwiej jest zmobilizować ich do poświęceń, mówiąc, że walczą w dobrej sprawie. To samo dotyczy całych społeczeństw.

Wróćmy do drugiej wojny światowej. Generał Patton zaraz po wojnie powiedział, że Amerykanie wyzwolili pół Europy spod jednej tyranii, ale drugie pół oddali pod władanie drugiej tyranii. To, że sojusznikiem Stanów Zjednoczonych był Związek Sowiecki, chyba jasno dowodzi, iż czarno-biała narracja ukazująca drugą wojnę światową jako starcie dobra ze złem jest mitem.

Stalin był wielkim zbrodniarzem, ale – w mojej opinii – Hitler był jeszcze większym zbrodniarzem.

To akurat kwestia dyskusyjna. Mnie chodzi o to, że sojusznikiem USA był straszliwy, krwiożerczy totalitaryzm. Ameryka ten totalitaryzm wspierała dostawami broni i sprzętu. Trudno więc mówić o Ameryce jako o nieskazitelnym imperium dobra.

No cóż, taka jest polityka. Proszę pamiętać, że zanim Amerykanie i Brytyjczycy wylądowali na kontynencie, front wschodni wiązał przytłaczającą część sił Wehrmachtu. 93 proc. strat, które Niemcy ponieśli do tego czasu w drugiej wojnie światowej, ponieśli w walce z Armią Czerwoną. To Związek Sowiecki przez kilka lat brał na siebie niemal cały ciężar walki z Niemcami. Ameryka miałaby odrzucić takiego sojusznika z powodu jego represyjnego systemu wewnętrznego? Bądźmy poważni. To tak nie działa.

W maju 1945 r. Niemcy jednak kapitulowały. A Stalin nadal był dobrym „Wujkiem Joe".

Tak, wiem. Wielu ludzi w Europie Wschodniej ma żal do Stanów Zjednoczonych, że w 1945 r. nie zaatakowały Sowietów. I nie wyzwoliły ich ojczyzn spod czerwonej okupacji. Żal ten wynika jednak z nieznajomości ówczesnej sytuacji militarnej i nieznajomości natury amerykańskiej polityki.

Zacznijmy od sytuacji militarnej.

Po pierwsze, Armia Czerwona była potężniejsza od sił amerykańsko-brytyjskich, które znajdowały się wówczas na kontynencie. Alianci zachodni byli za słabi, żeby przepędzić Sowietów do Moskwy. Po drugie, w momencie, gdy skapitulowała III Rzesza, wojna na Pacyfiku trwała w najlepsze. Amerykanie nie byli w stanie samotnie pokonać Japończyków i potrzebowali do tego pomocy Związku Sowieckiego. Usilnie próbowali nakłonić Stalina do zaatakowania Japonii. Nie mogli więc jednocześnie wystąpić przeciwko

eprasa.pl feb53ef4b7

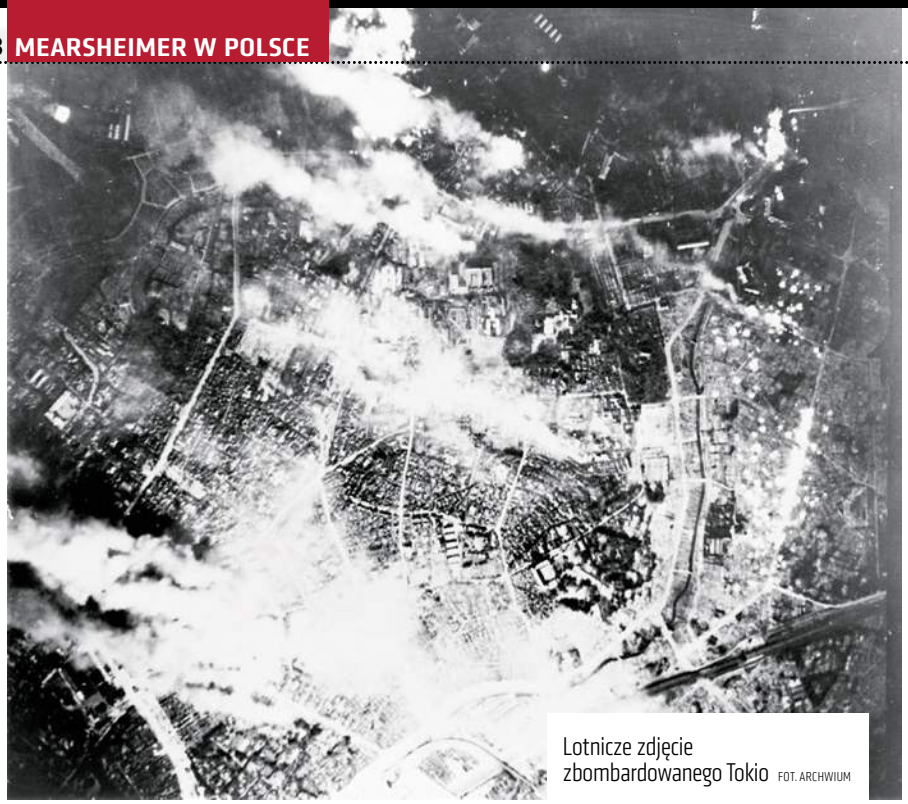

Lotnicze zdjęcie zbombardowanego Tokio FOT. ARCHWIUM

Amerykańscy żołnierze wdzierają się do irackiego domu FOT. ARCHIWUM

niemu w Europie Wschodniej. Jak wiadomo, w sierpniu 1945 r. Armia Czerwona rzeczywiście zaatakowała Armię Kwantuńską w Mandżurii, co spowodowało kapitulację Japonii.

A na czym polega nieznajomość natury amerykańskiej polityki?

Na niezrozumieniu podstawowego faktu, że Amerykanie nie przybyli do Europy, żeby walczyć z „paskudnymi dyktaturami", które łamały prawa człowieka. Przybyli do Europy, żeby walczyć z Niemcami, które naruszyły równowagę sił na kontynencie.

Podczas jednego z wykładów powiedział pan, że Stany Zjednoczone – gdy realizują swoje interesy – potrafią być bezwzględne. Co miał pan na myśli?

Choćby dywanowe naloty na niemieckie miasta, w których śmierć poniosły dziesiątki tysięcy cywili. A także naloty na miasta japońskie.

Dokonane za pomocą bomb atomowych.

Nie tylko! Przecież 10 marca 1945 r. amerykańskie bombowce obróciły w perzynę Tokio. Jednej nocy zginęło tam więcej osób niż w Hiroszimie i Nagasaki. Lotnictwo Stanów Zjednoczonych prowadziło systematyczną kampanię, której celem było spalenie Japonii do gołej ziemi. Wraz z zamieszkującymi ją ludźmi. Czy pan wie, że na liście japońskich miast, na które miały spaść bomby atomowe, na pierwszym miejscu znajdowało się Kioto?

Nie, nie wiedziałem. Dlaczego Amerykanie zrezygnowali z tego celu?

Kioto z listy celów kazał wykreślić ówczesny sekretarz wojny Henry L. Stimson. Tak się bowiem złożyło, że w tym mieście spędził miesiąc miodowy i bardzo je polubił. W 1945 r. postanowił ocalić je przed anihilacją. W ten sposób w Waszyngtonie podejmowano decyzje o życiu i śmierci setek tysięcy cywili.

W Hollywood powstało wiele filmów o cierpieniach amerykańskich żołnierzy w japońskiej niewoli. Milczy się natomiast o gehennie japońskich jeńców w niewoli amerykańskiej.

Tak, żołnierze armii cesarskiej często nawet nie mieli szansy, żeby zostać jeńcami. Amerykańscy żołnierze zabijali ich na miejscu, od razu po tym, gdy się poddali. Wiele z tych działań powtórzono w trakcie wojny koreańskiej. Wskutek amerykańskich bombardowań Korei Północnej śmierć mogło ponieść nawet 20 proc. populacji tego kraju. US Army dokonała również olbrzymich spustoszeń w Wietnamie.

Ameryce zdarzało się chyba prowadzić również politykę wypływającą z pobudek idealistycznych.

Tak, ale z tragicznym dla Ameryki i dla świata skutkiem. Mam na myśli okres po upadku Związku Sowieckiego i zakończeniu zimnej wojny. Lata 1990–2016. Był to jedyny moment w dziejach, w którym Stany Zjednoczone nie musiały martwić się o równowagę sił na świecie. Były bowiem jedynym supermocarstwem na globie. Żadne inne mocarstwo nie rzucało im wyzwania w grze o globalną dominację. Żadne inne mocarstwo nie stanowiło dla nich poważnego zagrożenia.

Ameryka zaczęła wówczas działać nieracjonalnie?

Niestety tak. I za każdym razem ładowała się w niebywałe wręcz kłopoty. Prawda jest bowiem zaskakująca. Prowadzenie polityki idealistycznej wcale

eprasa.pl feb53ef4b7

nie sprawia, że świat staje się lepszym miejscem. Jest dokładnie odwrotnie – świat staje się znacznie gorszym miejscem. A przede wszystkim taka polityka jest nieskuteczna. Polityka taka przynosi tylko koszmarne klęski.

Na czym polegała idealistyczna polityka USA?

Na przekonaniu, że cały świat należy zmienić na obraz i podobieństwo Ameryki. Narzucić mu system liberalnej demokracji. Wszystkie kraje świata miały stać się liberalnymi demokracjami, co miało położyć kres łamaniu praw człowieka, wojnom i terroryzmowi.

To nie była polityka idealistyczna, to była skrajna głupota.

Zgoda, to nie mogło się udać. Ameryka próbowała przeprowadzić operację inżynierii społecznej na kolosalną skalę. Co ciekawe, do realizacji tych „szczytnych celów" używała jednak brutalnej siły militarnej. Mowa o tzw. doktrynie George'a W. Busha, czyli atakowaniu i obalaniu kolejnych reżimów w świecie muzułmańskim. Zgodnie z jej założeniem cały Bliski Wschód miał przeistoczyć się w morze demokracji.

Wyszło nieco inaczej.

Doszło do wielkiego dramatu. I do spektakularnej klęski. Rozpoczęta w 2001 r. wojna w Afganistanie jest najdłuższą wojną w historii Stanów Zjednoczonych. I wygląda na to, że gdy Amerykanie kiedyś wycofają się z tego kraju, talibowie odzyskają nad nim kontrolę. Sytuacja wróci więc do punktu wyjścia, do momentu sprzed inwazji. A w międzyczasie zginęły dziesiątki tysięcy cywili. Cały kraj został zrujnowany długoletnim konfliktem zbrojnym.

A jak Amerykanom poszło w Iraku?

Jeszcze gorzej. Irak to kraj, w którym mieszkają szyici, sunnici i Kurdowie. Grupy te – mówiąc delikatnie – za sobą nie przepadają. W efekcie amerykańskiej interwencji z 2003 r. Irak de facto rozpadł się na kilka części. A na domiar złego pojawiło się w nim radykalne, terrorystyczne Państwo Islamskie (ISIS), które sprawiło Zachodowi tyle kłopotów. W Iraku nie było problemu terroryzmu dopóty, dopóki nie przybyli tam Amerykanie.

Amerykański atak na Irak w 2003 r. nosił kryptonim Iracka Wolność. Zamiast wyzwolenia Irakijczycy otrzymali jednak od „Wuja Sama" zniszczenie, terror i chaos.

Ten kraj został po prostu zrujnowany. Przelano morze krwi. Gdybym był Irakijczykiem, wolałbym, żeby Saddam Husajn został przy władzy. Co oczywiście nie oznacza, że życie pod rządami Saddama Husajna było przyjemne. To oznacza, że Ameryka zmieniła sytuację na jeszcze gorszą.

Potem „uszczęśliwione" zostały kolejne kraje: Libia, Egipt i Syria.

Tak, Stany Zjednoczone odegrały niemałą rolę w obaleniu Muammara Kaddafiego i Hosniego Mubaraka. A także w próbie obalenia Baszira Al-Asada. Opłakane efekty tych operacji wszyscy znamy. Syria pogrążyła się w straszliwej wojnie domowej. Al-Asada wsparli bowiem Rosjanie i Irańczycy. Kilka milionów Syryjczyków musiało uciekać ze swoich domów, kilkaset tysięcy zginęło. Kawał Syrii został obrócony w perzynę. Krwawa wojna domowa wybuchła także w Libii. A w Egipcie demokratyczne wybory wygrało Bractwo Muzułmańskie, które należało obalić za pomocą… zamachu stanu.

Same klęski.

Same klęski. Tak w praktyce wyglądała idealistyczna polityka w wykonaniu Stanów Zjednoczonych. Marsz od katastrofy do katastrofy. A przy okazji Amerykanie spowodowali ludzkie cierpienie na gigantyczną, szokującą wręcz skalę. Śmierć setek tysięcy ludzi, olbrzymie zniszczenia i destabilizacja ważnego, strategicznego regionu świata. Skutkiem tego była fala uchodźców, która zalała Stary Kontynent i wywołała poważny kryzys Unii Europejskiej.

Jaki z tego morał?

Jeżeli prowadzisz politykę idealistyczną, to przegrywasz.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. John Mearsheimer – jest amerykańskim politologiem, jednym z najwybitniejszych światowych znawców geopolityki. Twórca koncepcji realizmu ofensywnego, zwolennik Realpolitik. Napisał m.in. słynną książkę „Izraelskie lobby i amerykańska polityka zagraniczna" (wspólnie ze Stephenem Waltem) oraz „The Great Delusion: Liberal Dreams and International Realities". W Polsce nakładem wydawnictwa Universitas właśnie ukazało się jego magnum opus „Tragizm polityki mocarstw". Profesor Mearsheimer wykłada na Uniwersytecie w Chicago.

eprasa.pl feb53ef4b7

1939 r. / Teoria Mearsheimera: „Przerzucanie odpowiedzialności"

Jak Polska mogła uniknąć klęski

Piotr Zychowicz

Wszystkie kraje Europy próbowały odwrócić od siebie pierwsze uderzenie Hitlera i skierować je w innym kierunku. Wszystkie oprócz Polski

Czy Polska w 1939 r. była skazana na klęskę? Czy minister spraw zagranicznych Józef Beck zrobił wszystko, by uniknąć jednoczesnego ataku Związku Sowieckiego i III Rzeszy? Czy istniała alternatywa dla prowadzonej przez niego polityki? Czy sojusze, na podstawie których Polska przystąpiła do II wojny światowej, były dobrze dobrane?

Wszystkie te pytania od ośmiu dekad wzbudzają olbrzymie zainteresowanie opinii publicznej. I trudno się temu dziwić. Państwo polskie nie tylko straciło niepodległość, lecz także zostało zrujnowane. Miliony jego obywateli straciły życie. Sowieci zagarnęli połowę terytorium II RP. Zagarnęli Wilno i Lwów. A Niemcy zrównali z ziemią Warszawę.

Obrońcy Józefa Becka dowodzą, że podjęte przez niego decyzje – mimo ich apokaliptycznych skutków – były „jedynie słuszne". Powołują się przy tym na ogół na argumenty natury emocjonalno-moralnej. Alternatywne rozwiązanie, czyli przyjęcie niemieckiej oferty sojuszu, byłoby sprzeczne z poczuciem „honoru narodowego". Zhańbiłoby Polskę po wsze czasy.

eprasa.pl feb53ef4b7

Minister Józef Beck przed frontem kompanii honorowej w Berlinie, 1935 r. FOT. NAC

Z kolei krytycy Józefa Becka dowodzą, że w 1939 r. należało ratować państwo polskie za wszelką cenę. W polityce międzynarodowej należy się kierować interesem narodowym, chłodną kalkulacją zysków i strat, a nie emocjami. Sojusz z Niemcami podczas drugiej wojny światowej zawarło wiele państw – m.in. Włochy, Finlandia, Bułgaria czy Węgry – i nikt nie ma o to dzisiaj do nich pretensji.

Spór ten trwa od lat. I nie wygląda na to, żeby szybko wygasł. Realiści otrzymali jednak właśnie do rąk dodatkowe, bardzo mocne narzędzie. To polskie wydanie legendarnej książki „Tragizm polityki mocarstw" czołowego amerykańskiego znawcy geopolityki prof. Johna Mearsheimera.

Od razu należy zaznaczyć, że profesor – który w styczniu gościł w Warszawie – nigdy nie zajmował się badaniem racji stanu Polski. W swojej pracy, jak wskazuje na to tytuł, skupia się na polityce mocarstw, a nie na polityce państw małych i średnich. „Tragizm" pozwala jednak zrozumieć, jaką grę w 1939 r. prowadzili nasi „sojusznicy". A także ukazuje rozmaite strategie, jakie mogą przyjmować państwa wobec zagrożenia swojej egzystencji.

To, co musi zaskakiwać, to zbieżność wniosków prof. Mearsheimera z wnioskami, do których doszli polscy realiści w latach 30. i 40. Przede wszystkim Władysław Studnicki i jego uczniowie – Adolf Bocheński i Stanisław Cat-Mackiewicz. Mimo że ludzi tych dzieli wszystko – narodowość, epoka, doświadczenia – ich umysły podążyły tymi samymi torami.

Wskazania prof. Mearsheimera są również zgodne z poglądami współczesnych polskich realistów, którzy uważają, że tylko krytyczne przeanalizowanie koszmarnych błędów przeszłości może pozwolić na uniknięcie ich w przyszłości. A gloryfikowanie tych błędów prowadzi do ich powtarzania.

„Historia Polski – pisze Mearsheimer – powinna skłaniać jej mieszkańców do studiowania polityki międzynarodowej, by mogli zrozumieć jej brutalność i potrafili odpowiedzieć na pytanie, dlaczego ich kraj tak często padał ofiarą polityki mocarstw. Nie należałoby też zaniedbywać głębokiej refleksji nad przyszłością Polski. W jaki sposób Polska może zwiększyć swoje szanse na przetrwanie w XXI wieku".

Gra Wielkiej Brytanii

Nasze historyczne rozważania zacznijmy od zadania zasadniczego pytania: Dlaczego wybuchła druga wojna światowa? Dlaczego we wrześniu 1939 r. Polska, Francja, Wielka Brytania i Niemcy znalazły się w stanie wojny? Myślę, że spora część Polaków nadal odpowiedziałaby, iż powodem tego konfliktu były niemieckie żądania wobec Polski, że cały świat stanął w płomieniach z naszego powodu.

Jest to oczywiście pogląd śmieszny. Rażący wręcz swoją naiwnością i oderwaniem od realiów wielkiej światowej polityki. Prawdziwym powodem wybuchu drugiej wojny światowej było to, że Niemcy pod koniec lat 30. wkroczyły na drogę zdobycia hegemonii na kontynencie europejskim. A Wielka Brytania postanowiła ten plan pokrzyżować.

Jak udowadnia prof. John Mearsheimer, Wielka Brytania przez stulecia odgrywała bowiem wobec Europy rolę „zamorskiego strażnika równowagi sił" (angielski termin: ***off-shore balancer***). Cóż to oznacza? Tyle, że Wielka Brytania dba o to, aby żadne z kontynentalnych mocarstw nie zdominowało pozostałych ani nie zdobyło pozycji hegemona kontynentu. Osiągnięcie takiej potęgi przez któryś z krajów Europy oznaczało bowiem śmiertelne zagrożenie dla wyspiarskiego mocarstwa.

Za każdym razem, gdy pojawiał się pretendent do zdobycia hegemonii, Wielka Brytania wypowiadała mu wojnę i doprowadzała do jego zniszczenia. Tak było na początku XIX w., gdy próbę zdominowania Europy podjął Napoleon Bonaparte. Tak było w roku 1914, gdy podjął ją cesarz Wilhelm II. I tak było wreszcie w 1939 r., gdy próbował to zrobić Adolf Hitler.

Celem, który przyświecał Wielkiej Brytanii, gdy 3 września 1939 r. wypowiedziała wojnę III Rzeszy, nie była więc obrona Polski. Polska była tylko pretekstem, a nie powodem przystąpienia Zjednoczonego Królestwa do zmagań zbrojnych. Dla każdego znawcy polityki mocarstw jest to rzecz oczywista.

Dlaczego więc Wielka Brytania – skoro zamierzała zniszczyć III Rzeszę – nie uderzyła na nią z pełną mocą już

eprasa.pl feb53ef4b7

Propagandowy plakat niemiecki FOT. DOMENA PUBLICZNA

w 1939 r.? Dlaczego razem z Polską i Francją nie wzięła Niemców w dwa ognie? Otóż stało się tak z dwóch powodów.

Po pierwsze, Wielka Brytania w 1939 r. była na to jeszcze za słaba. Zapóźniona w zbrojeniach, pozbawiona armii lądowej jak powietrza potrzebowała czasu. Czasu niezbędnego do tego, aby przygotować się do walnej rozprawy z Niemcami. Po drugie, zgodnie z tradycyjną – i jedynie słuszną – linią polityki brytyjskiej Londyn zawsze walczy, przelewając krew żołnierzy swoich sojuszników. A nie własnych.

Aby zrealizować taką linię polityczną, Wielka Brytania zastosowała dwie – opisane szeroko przez prof. Mearsheimera – strategie:

1. Przerzucanie odpowiedzialności (***buck-passing***).

2. Sprowokować i wykrwawić (***bait and bleed***).

Zacznijmy od strategii pierwszej.

„Przerzucanie odpowiedzialności – pisze autor »Tragizmu polityki mocarstw« – polega na zepchnięciu zadania powstrzymania agresora na inne państwo. Mocarstwa preferują tę strategię, gdyż trzymanie się z boku pozwala uniknąć kosztów ewentualnej wojny. Gdy w danym regionie pojawia się szczególnie silne państwo, zamorski hegemon woli pozostać z boku i pozostawić uporanie się z nim miejscowym mocarstwom. Dopiero gdy zadanie to przerasta siły regionalnych mocarstw, zamorski hegemon gotowy jest je wesprzeć".

Dodajmy, że w momencie, gdy „zamorski strażnik równowagi" wreszcie z pełną mocą angażuje się zbrojnie na kontynencie, pretendent do osiągnięcia hegemonii jest już poważnie osłabiony. Tocząc kolejne wojny, wyłamuje sobie z paszczęki część kłów. ***Off-shore balancer*** przybywa więc tylko po to, aby zadać ostatni, śmiertelny sztych. Coup de grâce.

W ten sposób przechodzimy do strategii „sprowokować i wykrwawić". W pewnych sytuacjach, aby „przerzucić odpowiedzialność" na inne państwo, należy na nie swojego głównego rywala napuścić. Sprowokować go do ataku w pożądanym przez siebie kierunku.

Dokładnie tak podczas drugiej wojny światowej postąpiła Wielka Brytania z Polską. Adolf Hitler pierwotnie planował bowiem rozpocząć wojnę od ataku na Francję. Liczył na to, że Polska zachowa w trakcie tego konfliktu neutralność i zabezpieczy jego tyły od ewentualnego ataku Stalina.

Dopiero lekkomyślne przyjęcie przez ministra Becka brytyjskich gwarancji na początku kwietnia 1939 r. zmieniło tę kolejność. W momencie, gdy Polska nagle przeskoczyła do obozu brytyjskiego, sytuacja zmieniła się o 180 stopni. Hitler musiał teraz najpierw zaatakować Polskę, zgodnie z zasadą, że w pierwszej kolejności neutralizuje się najsłabszego rywala.

Gwarancje brytyjskie były więc pułapką. Udzielając ich, Wielka Brytania nie miała zamiaru przychodzić Polsce z pomocą. Chodziło o zyskanie na czasie i uwikłanie Hitlera w długi konflikt na wschodzie Europy. W wojnę z Polską, a następnie ze Związkiem Sowieckim.

W europejskiej grze w „przerzucanie odpowiedzialności" Wielka Brytania – stosując nazewnictwo prof. Mearsheimera – odegrała więc rolę ***buck-passera***. A Polska i inne kraje Europy rolę ***buck-catcherów***.

W 1939 r. główny ciężar walki z Hitlerem spoczywał na Polsce.

W 1940 r. na Francji.

W latach 1941–1943 na Związku Sowieckim.

Przez cały ten czas Niemcy powoli się wykrwawiały, a Wielka Brytania zbroiła się po zęby i szykowała do ostatecznej rozprawy. Niemcy słabły – Wielka Brytania się wzmacniała. Ostatecznie wojska brytyjskie – oczywiście w asyście Amerykanów – wylądowały na kontynencie dopiero w latach 1943 (Włochy) i 1944 (Normandia). A więc w momencie, gdy III Rzesza robiła już bokami.

Bez wątpienia sposób, w jaki Wielka Brytania rozegrała drugą wojnę światowej na kontynencie europejskim, należy uznać za majstersztyk. Kraj ten osiągnął bowiem maksimum zysku przy minimalnych kosztach. Strategia ta powinna po wsze czasy stanowić niedościgniony wzór do naśladowania dla innych państw. Na czele z Polską, która – na skutek błędów swoich przywódców – osiągnęła podczas drugiej wojny efekt odwrotny. Minimum zysku przy maksymalnych kosztach.

Drugie z mocarstw sojuszniczych – Francja – również próbowało zastosować tę samą technikę. Czyli „przerzucić odpowiedzialność" walki z Hitlerem na Europę Wschodnią. Najpierw napuścić go na Polskę, a później na Związek Sowiecki. I tym samym odsunąć groźbę agresji niemieckiej od swoich własnych granic.

W przypadku Francji – jak wiadomo – strategia ta zakończyła się fiaskiem. Między zniszczeniem Polski a zaatakowaniem Związku Sowieckiego Niemcy zaatakowały bowiem i rozbiły Francję. Stało się to na skutek tego, że Józef Stalin – zawierając w 1939 r. pakt z Hitlerem – „przerzucił odpowiedzialność" na Europę Zachodnią.

Jak widać, w przededniu drugiej wojny światowej wszystkie trzy mocarstwa europejskie – Wielka Brytania, Francja i ZSRS – starały się zrobić wszystko, by odsunąć od siebie groźbę pierwszego ataku Hitlera i skierować ją w innym kierunku. Starały się zrobić wszystko, aby do wojny wejść w jej późniejszej fazie. Polityka taka była bez wątpienia zgodna z ich interesem narodowym.

W europejskiej grze „przerzucania odpowiedzialności" nie wzięło udziału tylko jedno liczące się na kontynencie państwo. Tylko jedno państwo postąpiło wbrew własnym interesom narodowym i samo wystawiło się na pierwsze uderzenie Hitlera. Wprawiając tym zresztą w zdumienie innych graczy. Nie muszę oczywiście dodawać, o jakie państwo chodzi.

Co mogła zrobić Polska?

Pora więc na udzielenie odpowiedzi na pytanie zadane na początku tego artykułu. Jaką strategię mogła przyjąć Polska, aby uratować się w roku 1939? Otóż Polska powinna była zrobić dokładnie to samo, co robiły Wielka Brytania i Francja. Ani o jotę więcej i ani o jotę mniej. Czyli zastosować strategię „przerzucania odpowiedzialności".

O ile Francja i Wielka Brytania próbowały skierować pierwsze uderzenie

eprasa.pl feb53ef4b7

Hitlera na Wschód, o tyle Polska powinna była robić wszystko, by pierwsze uderzenie Hitlera poszło na Zachód. Aby to osiągnąć, należało zgodzić się na niemiecką propozycję sojuszu i – tak jak tego oczekiwał Hitler – stać z bronią u nogi w trakcie wojny niemiecko-francuskiej.

Zyski z zastosowania takiej strategii byłyby kolosalne.

1. Nie doszłoby do podpisania paktu Ribbentrop-Mołotow, który był skutkiem polskiej odmowy Hitlerowi.

2. Nie doszłoby do niemiecko-sowieckiego rozbioru Polski.

3. Nie byłoby Palmir, Auschwitz ani Katynia.

4. To Francja zostałaby zniszczona w pierwszej kolejności, a nie Polska.

5. Polska zyskałaby bezcenny czas na dozbrojenie.

Problem oczywiście pojawiłby się w 1940 r., po pokonaniu Francji i wypchnięciu Wielkiej Brytanii na wyspy. Wówczas Polska zostałaby na kontynencie sama w obliczu dwóch potężnych tyranii: Niemiec i Związku Sowieckiego. Nie byłaby to jednak sytuacja bez wyjścia. Rzeczpospolita mogła bowiem wówczas zastosować strategię „sprowokuj i wykrwaw". A konkretnie jej najskuteczniejszą wersję, którą prof. Mearsheimer nazywa „wykrwawianiem".

„Wykrwawianie (***bloodletting***) to najbardziej obiecujący wariant poprzedniej strategii – pisze prof. Mearsheimer. – W tym przypadku chodzi o dopilnowanie, by wojna między rywalami była długa i kosztowna i osłabiła obydwie strony. Nie ma tu elementu prowokacji, rywale sami decydują się na stoczenie wojny, a państwo trzecie zabiega jedynie o podsycanie konfliktu, aż do zupełnego wyczerpania przeciwników".

Wojna niemiecko-sowiecka wybuchłaby niechybnie. Opanowanie zachodnich terenów Związku Sowieckiego było przecież kluczowym celem wojennym Adolfa Hitlera. Oczywiście Rzeczpospolita nie mogłaby sobie pozwolić na komfort przyglądania się tej wojnie z boku. Tak jak inni sojusznicy musiałaby posłać na front wschodni własne oddziały.

Straty poniesione przez Wojsko Polskie stanowiłyby jednak zaledwie niewielki procent strat, jakie naród Polski poniósł, prowadząc wojnę w „sojuszu" z Wielką Brytanią. Szczególnie że udział Wojska Polskiego – jak udowadniał to

JOHN MEARSHEIMER
„TRAGIZM POLITYKI MOCARSTW"
UNIVERSITAS

wybitny znawca wojskowości prof. Paweł Wieczorkiewicz – zapewne przechyliłby szalę zwycięstwa na stronę państw Osi.

Polska musiałaby zastosować taktykę, którą prof. Mearsheimer nazywa „podłączeniem się" (***bandwagonning***). Czyli przejściowo współdziałać z Niemcami w celu osiągnięcia wspólnego celu strategicznego, jakim było zniszczenie Związku Sowieckiego. Następnie Polska powinna zaś spokojnie oczekiwać, aż do akcji przeciwko Niemcom wkroczą „zamorscy strażnicy równowagi sił". Czyli Wielka Brytania i USA.

W ostatniej fazie wojny Polska powinna była dokonać zmiany sojuszy i bić się przeciwko Niemcom. Nie Niemcom

Patrol polskiej kawalerii FOT. NAC

znajdującym się w zenicie potęgi, ale Niemcom wyczerpanym i skrwawionym wieloletnimi zmaganiami na wielu frontach.

„Z podłączaniem się – pisze prof. Mearsheimer – mamy do czynienia w przypadku państw słabych i osamotnionych, skonfrontowanych z wrogimi mocarstwami. Nie mają wtedy innego wyboru niż ulec przeciwnikowi. Dobrym przykładem tej strategii jest postawa Bułgarii i Rumunii, które na początku II wojny światowej sprzymierzyły się z nazistowskimi Niemcami, by pod koniec wojny przejść na stronę Związku Sowieckiego".

Dodajmy, że podobną strategię zastosowała Finlandia oraz próbowały ją zastosować Węgry. Sojusznika w trakcie wojny zmienił także Związek Sowiecki. Państwo to weszło do światowego konfliktu po stronie III Rzeszy, a skończyło ją w obozie jej przeciwników. Ani Amerykanie, ani Brytyjczycy nie mieli oczywiście za to do Stalina najmniejszych pretensji. Wprost przeciwnie, darzyli go szacunkiem jako wytrawnego stratega i uznawali za pożądanego sojusznika.

Narody dojrzałe rozumieją bowiem, że międzynarodowa polityka jest grą bezwzględną i brutalną. Nie ma w niej miejsca na sentymenty ani patetyczne gesty. Liczy się tylko realizacja interesów. Państwa nie dzielą się wcale na „dobre" i „złe", tylko na „silne" i „słabe". A każde państwo – w miarę swoich możliwości – walczy o przetrwanie i uniknięcie strat.

Niestety, Polska w trakcie drugiej wojny światowej tym elementarnym zasadom się sprzeniewierzyła. Zamiast prowadzić politykę realistyczną, prowadziła politykę idealistyczną. Efekt tego osobliwego eksperymentu był opłakany. Polska – mimo że formalnie znalazła się w obozie zwycięzców – okazała się największym przegranym wojny. Większym niż Niemcy, Włochy i Japonia.

Naród polski musi odrobić tę tragiczną lekcję, aby już nigdy nie powtórzyć błędów z lat 1939–1945. Dlatego właśnie „Tragizm polityki mocarstw" amerykańskiego prof. Johna Mearsheimera powinien być lekturą obowiązkową dla wszystkich polityków i dowódców wojskowych Rzeczypospolitej. Uczmy się od najlepszych. I najskuteczniejszych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl feb53ef4b7

1984–1956 / Czarna czy nieznana postać polskiej literatury i kultury?

FOT. ZBIORY MACIEJA URBANOWSKIEGO

Tajemnica Skiwskiego

eprasa.pl feb53ef4b7

Krzysztof Masłoń

Jan Emil Skiwski od wiosny 1944 r. wydawał antysowiecki dwutygodnik „Przełom". Nawoływał w nim do zaprzestania „terroru" antyniemieckiego

Był znaczącą postacią środowiska pisarskiego II Rzeczypospolitej, wiceprezesem Związku Zawodowego Literatów Polskich, członkiem zarządu Polskiego PEN Clubu. Uważano go za jednego z najciekawszych i najbardziej niezależnych krytyków, z uznaniem przyjmując jego książki „Poza wieszczbiarstwem i pedanterią" oraz „Na przełaj". Przekładał sławne utwory André Gide'a i François Mauriaca. Publikował w „Myśli Narodowej", a także w „Wiadomościach Literackich" oraz w „Pionie". Próbował też swoich sił jako poeta (tom „Człowiek wśród potworów" z 1930 r.) i autor tekstów prozatorskich, z których niemałą część mamy szansę poznać dopiero dzisiaj, 64 lata po jego śmierci.

Jan Emil Skiwski – czarna czy nieznana postać polskiej literatury i kultury? Renegat, infamis czy tylko człowiek niejako z zasady idący od prąd?

Inne wojenne światło

W 1948 r., w podwójnym numerze „Kultury" (nr 9–10), Jerzy Giedroyc opublikował mu, pod pseudonimem Karol Rogaliński, „Scherzo Infernalnej". W szkicu tym Skiwski tak pisał o Warszawie zdobytej przez hitlerowców: „Warszawa po wejściu Niemców przypominała wielki, przeciekający sagan z brudną wodą. Ludzie snuli się sennie, dźwigając tobołki, worki, teczki, napełnione kartoflami, jarzynami, czasem mięsem i słoniną. Noce były ciemne i wilgotne, lepkie błoto na ulicach, a sznury całe zmęczonych nóg ludzkich cupały po nim wśród nieustannej krzątaniny. Psy-żebraki wałęsały się po ulicach, niektóre miały swe stałe posterunki i wyraźnie prosiły o wsparcie. Widywało się też psy rasowe w kagańcach, psy-widma. To właściciele luksusowych mieszkań puszczali tak na powolne zdychanie swych pupilów – przez dobre serce. Bo jakże to »przyjacielowi« w łeb strzelić! Ulice zakwitły jak spod ziemi wyczarowanymi różnokolorowymi kapturkami, pokrywającymi kobiece głowy. Pierwsza biedna kreacja mody wojskowej. Wkrótce zaczęły krążyć (wobec rekwizycji i wybicia pogłowia końskiego) ryksze rowerowe. Upokarzające, niewolnicze. Czuło się na karku przyspieszony, gorący oddech kierowcy, wynajmującego się za ileś tam złotych jako zwierzę pociągowe. Jakiś maskaradowy szał padł na ludzi. Wszyscy byli poprzebierani na sportowo. Czapki-cyklistówki wyparły kapelusze, wysokie buty – miejskie obuwie, »pumpy« – zwykłe spodnie. W tym stroju jakoś lepiej, stosowniej było spotykać klęskę. Nie było światła, wody, komunikacji tramwajowej. Wszystko to stopniowo wróciło. Ale to było już inne światło, inna woda, inne tramwaje, wojenne".

Autor opowiada o swoim mieście, oprowadza nas po nim przez lata okupacji aż do finału: powstania. O nim napisze w „Pawle", dopiero teraz opublikowanym, a szkoda, bo pod wieloma względami to opowiadanie wyjątkowe, w którym w roli katów powstańczej Warszawy występują nie Niemcy, lecz Rosjanie i Ukraińcy. Z takiej perspektywy – zauważa Maciej Urbanowski – mamy tu do czynienia „z repetycją powstania styczniowego, tłumionego przez wciąż tego samego Ilię Muromieca".

Antyrosyjskość wpisana jest i w prozę Jana Emila Skiwskiego, i w jego publicystykę, i – co najważniejsze – w jego życie. Urodzony w 1894 r. w Warszawie, uczęszczał do prywatnej szkoły Witolda Wróblewskiego przy ulicy Złotej, naukę tę przerwał jednak w klasie VI w roku 1909, by kontynuować ją w Moskwie. Wybuch pierwszej wojny światowej uniemożliwił mu zdanie matury, a wtedy powrócił do Warszawy, gdzie zresztą zaraz wcielony został do armii rosyjskiej. Podobno nie trafił na front, ale z powrotem pojawił się w Warszawie dopiero w roku 1918. Po tym, jak ćwierć wieku później ujrzał groby katyńskie, w wywiadzie udzielonym „Gońcowi Krakowskiemu" powiedział m.in.: „Bolszewików znam, byłem w Rosji w okresie, kiedy dokonywała się [tam] komunistyczna transfuzja krwi".

A jeszcze przed drugą wojną, w 1938 r., w szkicu zamieszczonym w „Jesteśmy w Warszawie. Przewodniku literackim po stolicy", wspominał: „Kiedyś szliśmy w trzech czy czterech ulicami Moskwy. Opowiadaliśmy sobie coś zabawnego. Krzykliwie, jeden przez drugiego, przerywając sobie w pół słowa, żeby nie stracić ani jednej lotnej pointy, która właśnie błyskała w myśli, z doskakiwaniem do tego »od ściany«, żeby na pewno usłyszał. Gwar, śmiech, hałas…

Pamiętam jak dziś, przechodził ulicą młody, rosły żołnierz-gwardzista. Stanął i spojrzał na nas z tą spokojną, obraźliwą obojętnością, która odcina człowieka od człowieka nieprzebytym murem obcości. Powiedział: Iisz weselatsia! – pogarda mieszała się w tych słowach z bliżej nieokreśloną zazdrością, nie wiem, czy słyszał, że mówiliśmy po polsku, może tylko uderzył go nasz śmiech, wesołość i niesforne gadulstwo. Ale wiem, że tego epizodu nie zapomnę nigdy. Bo zrozumiałem wtedy, że my i Rosjanie jesteśmy z innej gliny. Nie, żeby oni nie znali wesołości. Ale u nich wesołość to oderwanie od dna rozpaczy, u nas marytm od dechu. U nich: konie poić szampanem – tak. Ale nie wolno nucić na ulicy – chyba śpiewać na całe gardło, raczej po pijanemu. Bo pojenie koni winem – to rozpacz w błazeńskim przebraniu. A nuci na ulicy człowiek, który wierzy w siebie i w życie. […] Blisko Wschodu żyjemy, a jednak Wschodem nie jesteśmy".

Dzieło bez czytelnika

Niemała część tekstów, które możemy wreszcie przeczytać w wydanym właśnie przez LTW tomie opowiadań i wspomnień Skiwskiego „Umierające miasto", pozostawała dotąd w maszynopisach. Z niepamięci wydobył je prof. Maciej Urbanowski, autor książki o życiu i twórczości autora „Na przełaj" – „Człowiek z głębszego podziemia". Znajdziemy w niej historię niewydanej powieści

eprasa.pl feb53ef4b7

Skiwskiego „Czad", której fragment zamyka wydany obecnie tom. A historia to arcyciekawa, przede wszystkim może dlatego, że rzutowała na ocenę nie tyle pisarstwa jej twórcy, ile jego postawy patriotycznej.

„Czad" opublikować chciał Skiwski w 1941 r. w oficjalnie działającym w Warszawie Wydawnictwie Polskim. Zamiar ten storpedowało podziemie i związane z nim środowisko literackie. Zagrożony karą infamii autor wycofał powieść z koncesjonowanej przez okupanta oficyny i nigdy nie ukazała się drukiem. Wiadomo, że z ustępami „Czadu" zaznajomili się wcześniej m.in. Zofia Nałkowska, Maria Dąbrowska, Tadeusz Breza, Karol Irzykowski i że pierwsze opinie były pochlebne. Później miały się całkowicie odmienić, choć nie ulega wątpliwości, że dyktowane były ocenami postępowania Skiwskiego, którego posądzano o pracę dla dyskryminowanego Wydawnictwa Polskiego, a nie mankamentami powieści dziejącej się przed wojną, głównie w Warszawie. Cóż, w napisanej w 1955 r. „Problematyce politycznej Polski dzisiejszej" wspominał Skiwski, że „w Polsce 1939–1944 [...] działały dwa systemy terroru. Terror Gestapo. I polski terror podziemia. Ten drugi znacznie bardziej sprawny i czujniejszy od pierwszego. Jeśli nie »likwidacja fizyczna«, to infamia spadała na każdego, kto by poważył się własnymi oczami spojrzeć na rzeczywistość".

Kiedy uświadomimy sobie, co w tym samym czasie wypisywali i co publikowali polscy pisarze pod inną – sowiecką – okupacją, jasne jest, że zarzuty wobec autora „Czadu" były nietrafione, a na pewno nie w pełni trafione. Nawet antysemickie kwestie padające w powieści nie decydują o ogólnym wydźwięku dzieła.

Maciej Urbanowski w „Człowieku z głębszego podziemia" zastanawiał się, co by się działo, gdyby „Czad" zdążył ukazać się przed wrześniem 1939 r. „Partie antysemickie – czytamy – kazałyby zapewne krytykom zestawiać ją z powieściami Mariańskiego-Giertycha i Wybranowskiego-Dmowskiego. Problematyka religijna i psychologiczna pozwalałaby z kolei widzieć w »Czadzie« jedną z realizacji psychologizmu, reprezentowanego przez pisarzy tak bliskich Skiwskiemu-krytykowi literackiemu jak Zofia Nałkowska czy François Mauriac, a zwłaszcza tego nurtu w prozie polskiej lat 30., który demaskował rodzinę jako »kłębowisko żmij«, źródło cierpień, fałszów, patologii i anomalii psychicznych. Myślę tu o »Niecierpliwych« Nałkowskiej, »Mitach rodzinnych« Ważyka, »Zmorach« Zegadłowicza, »Szczurach« Rudnickiego, »Starych ludziach« Kaczyńskiego.

Rozstrzelanie Polaków w Bochni, grudzień 1939 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

A gdyby Skiwski poczekał i usunąwszy antysemickie fragmenty »Czadu«, wydał go w 1946 r.? Czy włączono by go w nurt porachunków inteligenckich, omawiając gdzieś obok »Sprzysiężenia« Kisielewskiego i »Murów Jerycha« Brezy?

To jednak tylko hipotezy, bo »Czad« pozostał dziełem bez czytelnika, jest nieistniejącym fragmentem nigdy niezaistniałej literatury polskiej w GG".

Straszne pozory życia

W kwietniu 1943 r., po odkryciu przez Niemców mogił polskich oficerów zamordowanych przez Sowietów pod Smoleńskiem, Skiwski pojechał do Katynia, gdzie był świadkiem ekshumacji. Razem z nim był tam też inny świetny pisarz, Ferdynand Goetel, ten jednak na swój wyjazd uzyskał zgodę władz Armii Krajowej, podczas gdy Skiwski w podróż tę wybrał się na własną odpowiedzialność. Po powrocie udzielił wywiadów legalnej prasie Generalnego Gubernatorstwa, w których podkreślał, że wypowiada się wyłącznie we własnym imieniu. Dla agencji DNB powiedział m.in.: „Kiedy wybrałem się w podróż, byłem przygotowany na złe rzeczy, lecz to, co później zobaczyłem w rzeczywistości, to straszliwe oskarżenie bolszewizmu, przewyższa w swym okrucieństwie wszelkie wyobrażenie".

A przecież mówił te słowa świadek rewolucji bolszewickiej i kombatant wojny polsko-bolszewickiej z 1920 r. Należy tu jednak zauważyć, że w wywiadach Skiwskiego znalazły się akcenty antysemickie, których zdołał uniknąć w swoich relacjach z Katynia Józef Mackiewicz. Czy dlatego po Katyniu właśnie zerwał ze Skiwskim stosunki towarzyskie przychylny mu dotąd, choć w wielu zasadniczych kwestiach mający odmienne zdanie, Stefan Kisielewski? A już wcześniej, po aferze z „Czadem", odmówili podania mu ręki Maria Dąbrowska i Jerzy Andrzejewski, za parę lat autor „Popiołu i diamentu" oraz „Partii i zadań pisarza".

Wreszcie do reszty popsuł sobie opinię Skiwski, od wiosny 1944 r. wydając razem z Feliksem Burdeckim dwutygodnik polityczny „Przełom", nawołujący do zaprzestania „terroru" antyniemieckiego. Pismo to, choć wyglądem przypominające druki konspiracyjne, rozprowadzane było legalnie, a zdarzyło się nawet, że Niemcy rozrzucali je z samolotów. W „Przełomie" w istocie pisały, także pod pseudonimami, dwie osoby – Burdecki i Skiwski, do których dołączył potem Jerzy de Nisau.

Ostatni numer „Przełomu" ukazał się w styczniu 1945 r., tuż przed wejściem do Krakowa Armii Czerwonej. Skiwski z rodziną i w towarzystwie pozostałych redaktorów pisma przez Wrocław wyjechał pociągiem na południe Niemiec. 12 lutego przybyli do siedziby... Hansa Franka w Neuhaus koło Monachium. Później, w austriackim miasteczku Kufstein, doczekał się Skiwski wkroczenia wojsk

eprasa.pl feb53ef4b7

amerykańskich. Czy to miasteczko sportretował w „Umierającym mieście", tytułowym opowiadaniu wydanego obecnie zbioru? A może jednak Warszawę? Tego nie można być pewnym, ale sam opis dogorywającego miasta jest znakomity: „Nieboszczyk ze złożonymi rękami, sztywny, zimny, żółty i zmniejszony jakby – nie jest już straszny. Jest raczej wstrętny i ma się doń urazę o to, że zachował kształt ludzki, skoro już nasz świat opuścił. Byłoby taktowniej, gdyby się rozpłynął. Jest jakieś obrzydliwe natręctwo w tym udawaniu człowieka, kiedy się już nim być przestało. Coś jak chęć obrzydzenia nam naszego ludzkiego bytu. Straszny jest człowiek umierający; straszne jest przesilenie się życia i śmierci. Straszne są pozory życia przy powolnie posuwającej się ofensywie śmierci.

To samo dotyczy miasta. Miasto umarłe, zrujnowane, budzi żal, smutek, wściekłość, rozpętuje szalony potok wspomnień, ale już nie jest straszne. Straszne jest miasto umierające. W mieście umierającym wszystko jest niezwykłe. Wszystko przeciwne nam i porządkowi świata – jak odwrócony kalendarz zaczynający rok od sylwestra albo człowiek chodzący tyłem. Każdy z nas wie, że to trwać długo nie może. Ten skandal, ten nonsens, ta tajemnicza nieprzyzwoitość".

„Na szkodę państwa polskiego"

W obozie dla przesiedleńców w Wildflecken dojrzał w Skiwskim zamiar emigracji z Europy. Latem 1946 r. udał się do Włoch, gdzie – licząc na pomoc – skontaktował się z II Korpusem Polskim. Szef korpusowej „dwójki", płk Adam Bąkiewicz, przekazał go jednak do dyspozycji wojsk brytyjskich, w wyniku czego Skiwski prawie rok przesiedział w obozie dla jeńców niemieckich w Rimini. Po zwolnieniu rodzina Skiwskich (używająca już nazwiska Rogalscy) podjęła kroki, by wyemigrować do Kanady, lecz nie dostała zgody tamtejszych władz i w rezultacie 1 lutego 1948 r. odpłynęła statkiem z Neapolu do Wenezueli. Tam została umieszczona w obozie El Trompillo koło Valencii, po czym polski pisarz znalazł dla siebie pracę bibliotekarza w Biblioteca Nacional Caracas i zaraz sprowadził z obozu do stolicy Wenezueli żonę i dwóch synów. Klepał biedę, do czego w gruncie rzeczy się przyzwyczaił w okupowanej Polsce.

Trzeba bowiem wiedzieć, że nawet zaprzysięgli wrogowie Skiwskiego nie negowali jego bezinteresowności. Jego najbardziej nawet obrazoburcze teksty nie powstawały z pobudek materialnych. Oczywiście, żył z pióra, ale przede wszystkim zależało mu na prezentowaniu swoich poglądów. Nie mógł tego czynić w Wenezueli, próbował więc publikować w Europie, gdy jednak Jerzy Giedroyc po wydrukowaniu mu m.in. „Scherzo Infernalnej" (wcześniej, jeszcze we Włoszech, opublikował jego „Fenomenologów polskości", oczywiście pod pseudonimem), dość bezceremonialnie obszedł się z innym jego tekstem, pt. „Solidaryzm europejski", w którym autor stawiał tezę, że Staremu Kontynentowi zagrażają dwie potęgi – Rosja Sowiecka i Stany Zjednoczone – Skiwski przy najbliższej okazji przesłał mu kilka gorzkich słów i współpraca się skończyła.

W polskim Londynie też nie mógł liczyć na jakiekolwiek względy. Mieczysław Grydzewski zapamiętał mu przedwojenne ataki na „Wiadomości Literackie" (choć wcześniej sam tam publikował, będąc np. – do czasu – zwolennikiem Boya-Żeleńskiego; nie trawił za to Słonimskiego), poza tym przylgnęła do niego etykieta kolaboranta, co „zawdzięczał" władzom „Polski lubelskiej".

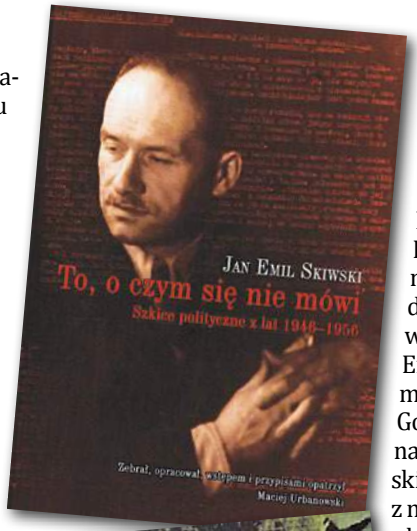

Otóż już 23 czerwca 1945 r. prokuratorowi Specjalnego Sądu Karnego w Krakowie Romanowi Martiniemu polecono wszcząć dochodzenie w sprawie przeciwko Janowi Emilowi Skiwskiemu i Ferdynandowi Goetlowi „o działanie na szkodę Państwa Polskiego we współpracy z niemieckimi władzami okupacyjnymi". Chodziło o masakrę w Katyniu, którą wkrótce po wojnie Sowieci wraz ze swymi polskimi poplecznikami chcieli przedstawić jako zbrodnię niemiecką. Jak wiadomo, próba ta spełzła na niczym, choć ostatnie „rewelacje" historyków rosyjskich, zachęcanych do tego przez Putina, świadczą o tym, że na wschodzie nie pogodzono się z faktami i pewnie niedługo dowiemy się, iż polscy oficerowie pod Smoleńskiem wystrzelali się sami.

Wtedy jednak Jan Emil Skiwski skazany został w końcu zaocznie przez Sąd Okręgowy w Krakowie na dożywocie oraz utratę praw obywatelskich i publicznych za „współpracę z okupacyjną prasą wydawaną w języku polskim". Wyrok wydano 13 czerwca 1949 r. na podstawie Dekretu PKWN z 31 lipca 1944 r. Wszystkie utwory Skiwskiego wycofano od razu z bibliotek, jego samego objęła zmowa milczenia.

2 marca 1956 r. pisarz zmarł w Caracas na zawał serca. Pochowano go – jako Jana Rogalskiego – następnego dnia na Cementerio del Sur.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl feb53ef4b7

Powstanie Warszawskie. Płonące kamienice na ul. Marszałkowskiej

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Książka miesiąca / Ludwik Muzyczka

Oficer AK przeciw powstaniu

Polscy przywódcy w trakcie drugiej wojny światowej podjęli wiele błędnych decyzji, które przyniosły nam straszliwe klęski i rozlew krwi polskiej na kolosalną skalę. Dwie spośród nich zostały podjęte przez Komendę Główną AK w 1944 r. Mowa o realizacji planu akcji „Burza" i wywołaniu Powstania Warszawskiego.

Podczas wszystkich dyskusji na ten temat apologeci dowództwa AK zawsze wysuwają wobec jego krytyków ten sam zarzut: „Łatwo się panom wymądrzać po kilkudziesięciu latach. Wy wiecie, jak potoczyła się historia. Oni nie mogli tego przewidzieć".

Jest to oczywiście zarzut niepoważny. Obowiązkiem wojskowych wysokiego szczebla jest bowiem właśnie przewidywanie. Przed każdą akcją bojową muszą oni dokonać bardzo dokładnej i ostrożnej analizy, czy ma ona szanse powodzenia. Część oficerów KG AK te konsekwencje zresztą przewidziała bezbłędnie. Jednym z nich był płk Janusz Bokszczanin, innym ppłk Ludwik Muzyczka „Benedykt".

IPN wydał niedawno pasjonującą książkę na temat działalności tego ostatniego oficera. Jej autorem jest znawca podziemia prof. Stanisław Salmonowicz. W książce znalazła się obszerna relacja „Benedykta" na temat dyskusji, jakie odbywały się w Komendzie Głównej AK.

Kiedy w listopadzie 1943 r. gen. Bór-Komorowski zapoznał ppłk. Muzyczkę z założeniami „Burzy", ten złapał się za głowę. I natychmiast wystąpił z miażdżącą krytyką planu.

„Wprowadzenie tej instrukcji w życie spowoduje śmierć i cierpienia tysięcy żołnierzy AK i pracowników Delegatury Rządu, nie dając żadnych korzyści" – powiedział „Benedykt". Ostrzegł, że ujawniające się przed Armią Czerwoną oddziały AK zostaną spacyfikowane przez bolszewików. Polscy żołnierze zostaną rozbrojeni i wpakowani do obozów. A być może nawet wymordowani.

Obiekcje ppłk. Muzyczki zostały odrzucone przez gen. Komorowskiego, który wypowiedział przy tym kilka pustych frazesów i takich głupstw, że wstyd je dziś – nawet po tylu latach – powtarzać.

Sytuacja powtórzyła się rok później. Gdy Muzyczka dowiedział się o planie wywołania Powstania Warszawskiego, 27 lipca 1944 r. złożył na ręce „Bora" memoriał, w którym wyraził swoje „zdecydowanie negatywne stanowisko". Memoriał ten poparł inny oficer AK – płk Emil Fieldorf „Nil".

Muzyczka w swoim memoriale użył m.in. następujących argumentów:

- W Warszawie nie ma wystarczającej ilości broni, aby móc skutecznie walczyć z Niemcami.
- W Warszawie znajdują się bezcenne „zbiory kultury narodowej, które w walkach ulicznych muszą ulec zagładzie".
- Powstanie na ulicach milionowego miasta przyniesie hekatombę ludności cywilnej.
- Wcale nie jest pewne, że Armia Czerwona szybko zajmie Warszawę.

W związku z tym ppłk Muzyczka domagał się, aby „zaniechać planu walki o Warszawę". Niestety, i tym razem „Bór" odrzucił ostrzeżenia „Benedykta". Cztery dni później wydał fatalny rozkaz o Godzinie „W", uruchamiając mechanizm zagłady stolicy. Jak wiadomo bowiem przewidywania ppłk. Muzyczki sprawdziły się co do joty. „Burza" i Powstanie Warszawskie przyniosły Polsce katastrofę. „Wyznaczenie »Bora« na komendanta głównego – pisał słusznie »Benedykt« – było tragicznym nieporozumieniem".

Po przeczytaniu książki prof. Salmonowicza trudno nie zadumać się nad rolą jednostek w historii. Jak inaczej potoczyłyby się losy Polski gdyby komendantem AK był „Benedykt"! ©℗

Piotr Zychowicz

STANISŁAW SALOMONOWICZ (RED. MACIEJ JAN MAZURKIEWICZ)
„LUDWIK MUZYCZKA »BENEDYKT« (1900–1977)"
IPN

eprasa.pl feb53ef4b7

Świat w sieci

Polski tytuł tej fascynującej książki na pierwszy rzut oka jest nieco mylący. Oczami wyobraźni widzimy wyniosły ratusz z władzami rządzącymi miastem oraz rynek z kłębiącym się na nim plebsem. A tu nie chodzi o jakieś średniowieczne miasto, z górującą nad nim wieżą ratusza, ale w ogóle o społeczeństwo i mechanizmy jego rozwoju w ciągu wieków i epok. Treść książki bardziej odzwierciedla podtytuł – „o ukrytej sieci powiązań, która rządzi światem" – aczkolwiek ten z kolei może naprowadzić na fałszywy trop poszukiwania jedynie tajnych, złych ze swej natury spisków.

Autor, znakomity historyk brytyjski wykładający obecnie na amerykańskich uniwersytetach, wsławił się głównie publikacjami o cywilizacji zachodniej, imperium USA czy rodzinie Rothschildów i ich olbrzymim majątku – a więc i ich znaczeniu – do którego doszli w XIX w. Z jego doświadczeń wynika, że „największe zmiany w historii zachodziły często za sprawą jedynie luźno i nieformalnie powiązanych grup ludzi", którzy działali nie w układzie pionowym, hierarchicznym – jak struktury władzy politycznej czy korporacyjnej – ale w układzie poziomym, na zasadzie związków nawet towarzyskich. Właśnie w sieciach. Okresem ich dominacji była na przykład druga połowa XVIII w., a efektem – rewolucje po obu stronach Atlantyku.

Wprawdzie „bzdurami" nazywa upatrywanie „złowrogich sił" np. w międzynarodowej finansjerze, całej klasie politycznej, Żydach, masonach lub „iluminatach" (oświeconych), ale „też wydaje się wysoce nieprawdopodobne, by owe teorie spiskowe jedną za drugą wymyślano i powtarzano, gdyby tego rodzaju sieci w ogóle nie istniały". Pisze też np.: „Ci, którzy potrafią jedynie kpić ze Światowego Forum Ekonomicznego w Davos, stanowczo nie doceniają siły sieci".

Wyjątkowo ciekawy dla nas jest rozdział o upadku imperium sowieckiego. Nader niebezpieczne okazały się dla niego zachodnie sieci finansowe, „które w latach osiemdziesiątych odnotowały gwałtowny wzrost związany z liberalizacją rynku kapitałowego i wprowadzeniem technologii komputerowych". Okazało się to zbieżne z działaniem „garstki bohaterskich przywódców", do których zalicza Gorbaczowa, Reagana, Thatcher oraz Jana Pawła II. Po jego pierwszej wizycie w PRL urosła sieć opozycyjnych grup robotniczych, liberalnych, katolickich, nacjonalistycznych i radykalnych, „a jej dominującą częścią stał się teraz nowy związek zawodowy Solidarność". ©℗ ***Maciej Rosalak***

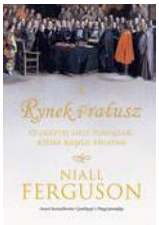

NIALL FERGUSON
„RYNEK I RATUSZ"
WYDAWNICTWO LITERACKIE

Japonia kontra reszta świata

Rok 1905. Potężna rosyjska flota leci w kierunku Japonii. Wraz z rosyjskimi pancernikami do brzegów Japonii dolatuje armada sił sojuszniczych, wypełniając niemal całe niebo aż po horyzont. To starcie zdecyduje o nowym porządku świata. Po drugiej stronie do walki stają jednak majestatyczne potwory uwolnione po tysiącu latach. Bitwa o Tokio zapowiada się na największe starcie w historii. Dodajmy jeszcze do tego wszystkiego Józefa Piłsudskiego, który w tym zamęcie szuka szansy na wyrwanie niepodległości dla Polski. „Zgasić słońce" to historia alternatywna w najlepszym, fantastycznym, wydaniu. ***(m.w.)***

ROBERT J. SZMID
„ZGASIĆ SŁOŃCE. SZPONY SMOKA"
WYDAWNICTWO SQN

ALBERTO ANGELA
„JEDEN DZIEŃ W STAROŻYTNYM RZYMIE"
CZYTELNIK

RZYM CZASÓW TRAJANA

To lektura zwłaszcza dla studentów historii. Znakomity włoski popularyzator wiedzy prowadzi nas po cesarskim Rzymie. Mieście półtoramilionowym, w którym stadiony, biblioteki, pałace, świątynie, łuki triumfalne, termy i akwedukty otaczało morze prymitywnych kilkupiętrowych kamienic przy wąskich, śmierdzących, ciemnych i niebezpiecznych uliczkach. Jak żyli w nim ludzie? Przeczytaj! ©℗ ***(m.r.)***

NINA BRITTON BOYLE
„SKRZYDŁA WE KRWI"
REPLIKA

WALCZYLI W OBRONIE ANGLII

Autorka, mieszkanka Northolt, gdzie w bazie RAF stacjonował Dywizjon 303, zebrała biogramy i relacje kilkudziesięciu polskich pilotów oraz raporty bojowe. Wydając cztery lata temu książkę w swojej ojczyźnie, Britton Boyle wyraziła nadzieję, że dzięki niej Brytyjczycy zrozumieją, w jak ogromnym stopniu zawdzięczają wolność 17 tys. żołnierzy Polskich Sił Powietrznych, w tym pilotom Dywizjonu 303. ***(t.s.)***

RED. MARTYNA GRĄDZKA-REJAK, ALEKSANDRA NAMYSŁO
„REPRESJE ZA POMOC ŻYDOM NA OKUPOWANYCH ZIEMIACH POLSKICH", T. 1
IPN

ZGŁADZENI ZA POMOC ŻYDOM

Stanisława Olewnik z Krzemienia przyjęła pod swój dach przedwojenną znajomą Rachelę Mławską z trojgiem dzieci. Niestety, Niemcy dowiedzieli się o tym i aresztowali Stanisławę pod zarzutem pomagania Żydom. Trafiła do Auschwitz (nr 70508), gdzie zmarła. W wydanej przez IPN książce znalazły się setki takich tragicznych opowieści. Polacy ratujący Żydów byli bez wątpienia naszymi największymi bohaterami ostatniej wojny. (p.z.)

eprasa.pl feb53ef4b7

Polska kawaleria z początków XVII w., obraz Roelandta Savery'ego FOT. WIKIMEDIA/MUSÉE DU LOUVRE

Petyhorcy i inni

Książkę „Nie tylko husaria" czyta się z prawdziwą przyjemnością. Radosław Sikora jest bowiem znakomitym znawcą staropolskiego wojska oraz sztuki wojennej tamtych czasów i pisze przejrzyście.

Nasze wyobrażenia o wojnach, które toczyła dawna Rzeczpospolita, zdominowali husarze. „Czas więc oddać sprawiedliwość innym formacjom" – stwierdza autor. A tymi formacjami są m.in. petyhorcy, pancerni i piechota. Nie zabrakło też miejsca dla pospolitego ruszenia.

Czytelnik znajdzie opis wyprawy pod Wiedeń i kulisy walki pod Chocimiem w 1621 r. Walor książki polega także na tym, że przypomina bitwy mało znane albo wcale nieznane, takie jak starcie z wojskami moskiewskimi pod Newelem w 1562 r. Mimo ogromnej, dziesięciokrotnej przewagi wroga odnieśliśmy zwycięstwo. I nie był to pierwszy przypadek, gdy mniej liczne wojska Rzeczypospolitej pokonywały carskie armie. W 1654 r. pod Szkłowem hetman Janusz Radziwiłł (którego czarna legenda do dziś trwa) na czele 3,5 tys. żołnierzy pobił trzykrotnie silniejszego rosyjskiego wroga.

Złą opinię ma także niekarne pospolite ruszenie. Autor generalnie się z nią zgadzając, pokazuje przypadki, gdy odnosiło ono świetne zwycięstwa, choćby nad Szwedami pod Kościanem i we wsi Lubrze w 1657 r. Podczas wojny domowej w Wielkim Księstwie Litewskim pospolite ruszenie rozbiło pod Olkienikami wojska Sapiehów. Prawda, że te ostatnie były mniej liczne, ale górowały bardzo wojennym rzemiosłem. W tym przypadku odegrał ważną rolę czynnik moralny – „zajuszenie" szlachty na bezwzględnych, dyktatorskich Sapiehów. Sikora polemizuje z przekonaniem, że kryzys staropolskiej kawalerii był spowodowany rozwojem broni palnej. Dowodzi, że broń ta nie była zbyt skuteczna. Kryzys jazdy był, jego zdaniem, spowodowany upadkiem morale, brakiem woli walki i coraz gorszym wyszkoleniem. Po husarii pozostały nieliczne zbroje. Dlaczego tak mało? Pancerze i kirysy zostały przetopione na łyżki...

Książka jest znakomicie zilustrowana, zarówno obrazami i grafikami z czasów staropolskich, jak i zdjęciami rekonstruktorów historycznych w zbrojach i mundurach. A jednym z nich jest autor, sfotografowany jako rotmistrz husarski końca XVI w. ©℗

RADOSŁAW SIKORA
„NIE TYLKO HUSARIA. NIEZNANE OBLICZE POLSKIEJ ARMII"
ZNAK HORYZONT

Tomasz Stańczyk

Trudny powrót arcydzieła

Owa opowieść jest owocem wieloletniej pracy naukowej autorki. Przynosi czytelnikowi intrygującą lekturę o odzyskaniu zagrabionego przez Niemców ołtarza Wita Stwosza, a zarazem jest w pełni wiarygodna, bo opiera się na imponującej bazie źródłowej. Nastawa ołtarzowa wykonana w drugiej połowie XV w. przez norymberskiego mistrza Wita Stwosza na zamówienie miasta Krakowa stanowi arcydzieło późnego gotyku. Próby jego ukrycia w 1939 r. zawiodły. W wyścigu bonzów hitlerowskich o przejęcie łupu – Göringa, Franka i Himmlera – zwyciężył ten ostatni i na specjalny rozkaz Hitlera w końcu zdeponował w Norymberdze. Tam, obok włóczni św. Maurycego zrabowanej z Wiednia, tkwiła w podziemiach zamku, czekając na ustanie alianckich nalotów. Wcześniej jednak nadeszli sami alianci.

I tu zaczyna się kolejny rozdział dramatu: zabiegi Polaków o zwrot ołtarza, co wydawało się sprawą beznadziejną, gdyż Amerykanie traktowali zdobyte przez nich dzieła sztuki jako element należnych im odszkodowań wojennych. Nieoceniony – i oczywiście pomijany za czasów PRL – okazał się w maju 1945 r. kontakt tak światłych ludzi jak gen. Kazimierz Schally i Józef Czapski z PSZ oraz ppłk US Army Henry Ignatius Szymanski z kwatery gen. Eisenhowera. Od lipca 1945 r. restytucję polskich dzieł sztuki kontynuowali ludzie z kraju. Na szczęście znaleźli się wśród nich tacy jak Karol Estreicher, ale wiele przeszkód musieli jeszcze pokonać. W 1946 r. ołtarz wrócił do kraju, ale bynajmniej nie na swoje miejsce do kościoła Mariackiego. To nastąpiło dopiero po październiku 1956 r.! ©℗

Maciej Rosalak

AGATA WOLSKA
„ZAGRABIONY I ODZYSKANY. HISTORIA POWROTU OŁTARZA WITA STWOSZA DO KRAKOWA"
WYDAWNICTWO LITERACKIE

eprasa.pl feb53ef4b7

Polskie zadry w sercach Ukraińców

Czytelników historycznego kwartalnika „Karta" nie trzeba zachęcać specjalnie do jego nabywania. Teksty 101. numeru dotyczą głównie polityki, którą wobec mniejszości ukraińskiej prowadziły w okresie międzywojennym władze państwowe II Rzeczypospolitej.

Oto opublikowany w 1924 r. na łamach „Słowa Polskiego" fragment tekstu posła Związku Ludowo-Narodowego Stanisława Grabskiego: „Faktem […] jest istnienie ludności Rusińskiej, języka Rusińskiego, pisowni Rusińskiej. I realnym zagadnieniem polityki polskiej jest kwestia nie Ukrainy, lecz ludności Rusińskiej w granicach Rzeczpospolitej […]. Nie ma oczywiście odpowiedzialnego polityka polskiego, który by myślał o wytępieniu Rusinów czy odbieraniu im przemocą mowy albo gnębieniu ich rozwoju kulturalnego. Ale nie ma Polska żadnej racji kontynuować austriacko-niemiecką politykę wytwarzania z Rusinów odrębnego narodu ukraińskiego". Jak bardzo musiał być oderwany od realiów politycznych ów czołowy endecki polityk, głosząc takie opinie pięć lat po wojnie o Galicję Wschodnią z Zachodnioukraińską Republiką Ludową, a cztery lata po umowie Piłsudski-Petlura.

„KARTA" 101/2019
RED. NACZ. ZBIGNIEW GLUZA
OŚRODEK KARTA

Zainicjowana polityka osadnictwa wojskowego na Wołyniu także przyczyniała się do wzrostu napięć między Polakami a Ukraińcami. Ze szczególnym rozgoryczeniem patrzyli oni na akty nadawania polskim weteranom, którzy nigdy wcześniej na Wołyniu nie mieszkali, ziemi po rozparcelowanych majątkach rosyjskich. Konsekwencje przedstawiał w raporcie do Ministerstwa Spraw Wojskowych z 15 grudnia 1924 r. mjr Aleksander Deryn: „Melduję, iż dnia 3 grudnia zgłosił się do mnie osadnik z Jezioran Bielejewskich (powiat łucki) […]. Kajetan Sawicki, błagając o interwencję u Władz celem uzyskania naboi – bo chłopi zasileni przez bandę dywersyjną palą osady żołnierskie". 9 lutego 1927 r. poseł Klubu Ukraińskiego Stepan Makiwka mówił w Sejmie: „Osadnictwo wojskowe nie jest nawet w części rozwiązaniem kwestii rolnej. Osadnictwo wojskowe ma wyłącznie cel polityczny: ono jest narzędziem polonizacji ziem ukraińskich i białoruskich […]. Naród ukraiński nigdy nie zaprzestanie walki z osadnictwem i nigdy nie uzna za prawych posiadaczy parceli tych osadników, których rządy polskie z krzywdą dla włościaństwa ukraińskiego na ziemiach ukraińskich osiedliły i mają osiedlić".

Kolejnym punktem zapalnym w relacjach polsko-ukraińskich stała się tzw. pacyfikacja Galicji Wschodniej przeprowadzona w odpowiedzi na wzmożenie terrorystycznych działań OUN/UWO w 1930 r. Akcja była oparta na przymusowym kwaterunku wojskowym we wschodniogalicyjskich wsiach. Oddziały WP oraz policji przeprowadzały rewizje w instytucjach ukraińskich, dokonując podczas tych czynności niszczenia mienia. W trakcie działań represyjnych pobito też wiele osób. Sabotaże ustały, ale konsekwencje polityczne wynikające z operacji były poważne. Stanisław Łoś pisał w liście do dyplomaty Tadeusza Romera: „Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że osiągnęliśmy wprawdzie sukces doraźny w terenie, ale że okupiliśmy go może drożej, niż to było warte […] prócz mechanicznej siły, nie możemy się tam oprzeć na niczym […]". Rok później OUN/UWO w odwecie za pacyfikację dokonała zamachu na jednego z najbardziej proukraińsko nastawionych polskich polityków, dyrektora Wydziału Wschodniego w Departamencie Politycznym MSZ Tadeusza Hołówkę. Po tym zabójstwie konfrontacja polsko-ukraińska weszła w nową fazę i trwała z przerwą wynikającą z umowy normalizacyjnej do września 1939 r., kiedy to nabrała zdecydowanie bardziej radyklanego charakteru. ©℗

Arkadiusz Karbowiak

Urodzić się w Auschwitz

Wstrząsająca książka, która pokazuje koszmar niemieckiego obozu Auschwitz, piekła dla kobiet w ciąży, które rodziły w obozie, i dla niemowląt. Opowieści o fikcyjnej postaci młodej kobiety, zesłanej do Auschwitz, oraz o rzeczywistej osobie: położnej Stanisławy Leszczyńskiej – która jest bohaterką książki – uzupełnione są o relacje więźniarek.

Stanisława Leszczyńska odbierała porody w Auschwitz. Głęboko religijna, kategorycznie odmówiła osobistego mordowania nowo narodzonych. Były topione w wiadrach i beczkach przez niemieckie funkcyjne więźniarki. Utopionych zostało 1,5 tys. dzieci. Odmowa Leszczyńskiej zabicia dziecka, po odebranym przez nią pierwszym porodzie, naraziła ją na ciężkie pobicie. Leszczyńska się nie złamała.

W 1943 r. Niemcy zaprzestali zabijania noworodków (i kobiet w ciąży, nawet w ostatnich miesiącach), a także dokonywania aborcji. Nie dotyczyło to dzieci żydowskich. Polskie niemowlęta „rasowo dobre", były odbierane matkom i zabierane do sierocińców na zgermanizowanie.

Dzieci urodzone w Auschwitz miały znikome szanse na przeżycie. Po sali, w której kobiety rodziły, biegały szczury, brak było jakichkolwiek środków antyseptycznych i lekarstw, stan higieny był koszmarny. Umierały z głodu i chorób. Wycieńczone kobiety nie miały pokarmu dla niemowląt. Udokumentowano ok. 700 porodów, mniej niż co dziesiąte niemowlę przeżyło.

Bohaterska położna z Auschwitz jest kandydatką na ołtarze. Trwa jej proces beatyfikacyjny. ©℗

Tomasz Stańczyk

NINA MAJEWSKA-BROWN
„ANIOŁ ŻYCIA Z AUSCHWITZ"
BELLONA

eprasa.pl feb53ef4b7

Chińska marynarka wojenna ma ambicje globalnego działania FOT. GETTY IMAGES

Chiny / Ku kontroli wszystkich oceanów świata

Handel i flota idą w parze

Jacek Bartosiak

Najbardziej znaczącą transformacją strategiczną, która dzieje się na naszych oczach, jest przemiana Chin z potęgi stricte lądowej w potęgę morską. Chiny stały się największą potęgą handlową świata, a handel i flota idą w parze. Chińczycy prowadzą teraz interesy niemal w każdym zakątku globu i muszą mieć do nich kontrolowane przez siebie linie komunikacyjne w celu zapewnienia swobody własnym przepływom strategicznym. Mocarstwo handlowe, zwłaszcza zależne od surowców, w tym od ropy naftowej, nie byłoby w stanie przetrwać bez własnej floty oceanicznej. Problem polega na tym, że na razie hegemonem na oceanie światowym jest Ameryka wraz ze swoją flotą pilnującą przestrzegania reguł dotyczących przepływów strategicznych.

Wraz z otwarciem się na świat przywódcy w Pekinie zrozumieli, że potrzebują floty do projekcji siły na morzu w celu ochrony swojej komunikacji handlowej. Do roku 2000 flota chińska miała posiąść zdolność kontrolowania morza sięgającą pierwszego łańcucha wysp, czyli Wysp Kurylskich, Japonii i wysp Riukiu oraz Filipin i archipelagu Indonezji.

Do 2020 r. kontrola morza w razie wojny ma sięgać drugiego łańcuchu wysp, a więc Kuryli, Japonii, wysp Bonin i Marianów, aż do Palau i archipelagu indonezyjskiego. A w roku 2050 chińska flota miałaby działać globalnie i posiadać grupy bojowe lotniskowców w pełnym rozwinięciu bojowym na wszystkich oceanach świata.

Chiny były przez tysiące lat potęgą lądową. Cesarze koncentrowali swoją atencję militarną na stepach euroazjatyckich, stawiając czoło powtarzającym się najazdom i konfliktom zbrojnym z wro-

eprasa.pl feb53ef4b7

gami, od Mongołów aż do pierwszych wypraw wojsk rozszerzającego się na wschód Imperium Rosyjskiego. Dynastie cesarskie zajmowały się jedynie od czasu do czasu japońskimi piratami pojawiającymi się wzdłuż chińskich wybrzeży, względnie wyprawami karnymi do Azji Południowo-Wschodniej, wyprawami tybetańskimi i tureckimi oraz sporadycznymi podbojami plemion mongolskich. Jednak oprócz kilku dziesięcioleci na początku XV w. chińskie państwo i wojsko nigdy nie wyruszyło na morze na skalę, która miałaby jakieś większe znaczenie.

Operacje wojskowe Mao koncentrowały się na konsolidacji chińskich granic cesarskich oraz na wojnach ekspedycyjnych i interwencjach na peryferiach Chin, od podboju Tybetu w 1950 r. do przerwanej próby zdobycia Tajwanu przed wybuchem wojny koreańskiej.

Rywal Mao – Czang Kaj-szek – tak opisał geografię wojskową Chin: „Nie ma naturalnych granic na obszarach rzek Żółtej, Jangcy i Han, gdzie można przygotować silną linię obrony. Dlatego Formoza, Peskadory, Cztery Prowincje Północno-Wschodnie [Mandżuria], Mongolia Wewnętrzna i Zewnętrzna [Sinciang] oraz Tybet stanowią fortece niezbędne do obrony i bezpieczeństwa narodu. Oddzielenie jednego z tych regionów od reszty kraju oznacza zakłócenie naszej obrony narodowej".

Ta koncepcja chińskiej obrony i sześciu „fortec" otaczających środkową część kraju oznaczała również konieczność interwencji wojskowej w pierwszych dekadach ChRL w czterech kluczowych miejscach: Korei, Azji Południowo-Wschodniej, na Tajwanie i w Himalajach. Przez te strategiczne strefy buforowe przebiegały peryferyjne linie obrony, dlatego Pekin nie mógł pozwolić, aby były one zależne od innych mocarstw lub pozostawały pod ich kontrolą.

Wojna koreańska, wsparcie sił Ho Chi Minha, wojna graniczna między Chinami i Indiami w 1962 r. oraz niezdolność do zaakceptowania niepodległego Tajwanu były wynikiem interpretacji geografii wojskowej Chin i chęci dbania o podstawowe interesy strategiczne. Jednakże w tym czasie Chiny były lądowym, rolniczym, izolowanym i biednym krajem. Strach przed geopolitycznym okrążeniem, który nękał Mao i jego towarzyszy w początkowych dekadach ChRL, mógłby zostać przezwyciężony dzięki ekspansji chińskiej marynarki wojennej. Gdy Deng Xiaoping zbudował podwaliny pod rozwój chińskiego handlu, jego następcy Jiang Zemin i Hu Jintao podjęli się budowy floty.

W latach 90. pod kierownictwem Jiang Zemina ruszyły prace nad strategiami antydostępowymi A2AD, które miały uniemożliwić Amerykanom dostęp do Tajwanu. Ponieważ jednocześnie rozwój Chin był uzależniony od możliwości korzystania z morskich szlaków komunikacyjnych, Chińczycy zaczęli inwestować w budowę marynarki wojennej. Było to podyktowane dążeniem do tego, aby zyskać status pełnoprawnej potęgi morskiej. Zwłaszcza że w XXI w. Chiny stały się głównym partnerem handlowym wielu innych państw. Handel jest dobrodziejstwem dla wszystkich, ale historia każdej potęgi, od imperium brytyjskiego po Stany Zjednoczone, pokazuje także inną prawidłowość: otóż handel jest fundamentem, który poprzedza globalną projekcję siły. Przywódcy Chin dobrze to rozumieją.

Geografia wojskowa Chin rozszerzyła się niezmiernie względem tego, co przywódcy w Pekinie myśleli 100 lat temu; chińskie interesy gospodarcze rozciągają się teraz na całą Eurazję, Australię i Afrykę, sięgają Ameryki Południowej i Oceanii. Chinom potrzebna jest zatem flota, która mogłaby chronić te interesy, od Morza Południowochińskiego i Australii do Europy i Atlantyku.

Chińscy stratedzy ekonomiczni przedstawili potrójny plan połączenia głównych dróg wodnych Eurazji z powrotem do Chin przez Morze Południowochińskie. Przywódcy przewidują trzy „przejścia gospodarcze" obejmujące Ocean Indyjski, południowy Pacyfik i Ocean Arktyczny.

Przejście gospodarcze Chiny–Ocean Indyjski, do Afryki i na Morze Śródziemne otwiera drogę na zachód przez Morze Południowochińskie do Oceanu Indyjskiego.

Przejście Chiny–Oceania–południowy Pacyfik wskazuje drogę w kierunku południowym przez Morze Południowochińskie do Oceanu Spokojnego. Przewiduje się również inne przejście gospodarcze łączące Europę przez Ocean Arktyczny.

Morze Południowochińskie nie jest celem samym w sobie, ale jest sercem i centrum globalnej wizji morskiej Chin. Podobnie jak himalajska „forteca", która niegdyś strzegła chińskich centrów, tak bliskie morze jest odskocznią Chin do wielkich oceanów Indyjskiego i Pacyfiku. Jest punktem kulminacyjnym geopolityki tego stulecia i fundamentem Indo-Pacyfiku. Chińscy stratedzy uważają kontrolę nad tym morzem za niezbędną, podobnie jak było z kontrolą Tybetu dla wcześniejszych pokoleń zajętych konsolidacją lądową.

Chińscy stratedzy przewidują, że ich dominacja musi się rozciągać na „strefę strategiczną w kształcie łuku obejmującą zachodni Ocean Spokojny i północny Ocean Indyjski". Łańcuchy wysp mają ogromne znaczenie dla kanalizacji ruchu i funkcjonowania baz wypadowych. Zajęcie Tajwanu ma znaczenie nie tylko jako realizacja ideologicznego celu „zjednoczenia", ale także ze względu na możliwość rozbicia zdolności morskich innych państw Pacyfiku poprzez potencjał blokady, która stanowiłaby dla Pekinu instrument nacisku na nie.

Gdyby tylko Tajwan został ponownie zjednoczony z Chinami kontynentalnymi, japońskie linie komunikacyjne na morzu, łączące Japonię z centrami zasobowymi na Bliskim Wschodzie i w Ameryce, znalazłyby się w zasięgu chińskich myśliwców wielozadaniowych i bombowców. Dzięki temu udałoby się zmniejszyć japoński import surowców o 20 proc., co stanowiłoby poważny cios dla japońskiej gospodarki. Po zmniejszeniu importu o 30 proc. aktywność gospodarcza i potencjał wojenny Japonii zostałyby właściwie zniszczone. Po zmniejszeniu importu o 50 proc. gospodarka narodowa Japonii i potencjał wojenny tego kraju upadłyby całkowicie. Blokada morska jest potężnym narzędziem wojny: może spowodować ograniczenie komunikacji morskiej i w rezultacie głód.

Wraz ze wzrostem skomunikowania Chin ze światem i ich znaczenia dla gospodarki światowej chińskie bezpieczeństwo narodowe jest coraz bardziej podatne na zawirowania międzynarodowe, terroryzm, piractwo, na szwank wystawione jest także bezpieczeństwo chińskich interesów zamorskich w zakresie energii i zasobów. Innymi słowy – strategiczne linie komunikacji morskiej, a także chińskie instytucje, personel, inwestycje i aktywa za granicą stają się bezpośrednim problemem Pekinu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl feb53ef4b7

Rafał A. Ziemkiewicz

/ Felieton

Z dziejów praworządności w Polsce

Słowo, które za sprawą krzątaniny unijnych urzędników robi dziś paneuropejską karierę, niekoniecznie znaczy u nas to samo co w kręgach, które chcą nas hasłem „praworządności" dyscyplinować. Holender czy Niemiec może tego nie rozumieć, ale tutejsza opozycja, która ochoczo podchwyciła podaną im przez eurokratów narrację, powinna. A jeśli nie zdaje sobie sprawy, że jej główne polityczne hasło nie brzmi wcale atrakcyjnie, to tym gorzej dla niej.

Praworządność to piękna rzecz dla narodów, które były wolne i prawa ustanawiały sobie same. Dla tych, które znalazły się pod zaborem, okupacją, były czyjąś kolonią – nie za bardzo. Źródeł polskiej praworządności szukać zaś trzeba w wieku XVIII albo w „pakcie trzech czarnych orłów", albo w „prawach kardynalnych", pierwszej de facto polskiej konstytucji, której nie nazywamy tak jedynie dlatego, że przyjęta została za sprawą Moskwy, na „Sejmie Repninowskim". To właśnie do niej odwołała się konfederacja targowicka, występując do carycy, formalnej gwarantki zabójczej dla Rzeczypospolitej złotej wolności, o interwencję. I nie ma dwóch zdań – to była praworządność. Naruszeniem praworządności była natomiast Konstytucja 3 maja, przeforsowana podstępem, dzięki temu, że jej zwolennicy skrzyknęli się przed wyznaczonym terminem wznowienia obrad i przegłosowali swoje pod nieobecność mających w Sejmie Wielkim większość obrońców starego porządku.

To ogólna prawidłowość – wszystko, z czego jesteśmy w naszych dziejach dumni, było odejściem od rządów prawa. Wszystko, co uważamy dziś za hańbę, zdradę i obcą opresję – ich przywracaniem. Praworządność, naruszoną ustawą 3 maja, przywracała, jako się już rzekło, targowica, w oparciu o obowiązujące traktaty, przywracał je też Sejm grodzieński, który zatwierdził rozbiory – dlatego one też realizowały praworządność. Natomiast oczywistym naruszeniem praworządności była wzniecona przeciwko jego postanowieniom insurekcja. Praworządne były: decyzje kongresu wiedeńskiego, utworzenie Królestwa Polskiego, powierzenie władzy w nim carowi Rosji, któremu swoje prawa do korony polskiej przekazała dynastia Wettynów. Natomiast powstanie zwane listopadowym i decyzje powstańczego Sejmu, na czele z bezprawną detronizacją Romanowów, nie miały z prawem ani konstytucją Królestwa nic wspólnego, i choćbyśmy nie wiem jak się zżymali na ówczesne papiestwo, gromiąc w sławnej bulli polskich „miatieżnikow", Kościół naprowadzał nas na ścieżkę rządów prawa. Nad tym, jak się do prawa – obojętne, obowiązującego wówczas na ziemiach polskich czy międzynarodowego – miała działalność „bandyty z Bezdan", czyli, w świetle jurystycznym, zwykłego terrorysty Piłsudskiego, nawet nie warto się rozwodzić.

> / Wszystko, z czego jesteśmy w naszych dziejach dumni, było odejściem od rządów prawa. **Wszystko, co uważamy dziś za hańbę, zdradę i obcą opresję – ich przywracaniem**

Tak się polskie dzieje ułożyły, że przywracanie praworządności było w nich niemal zawsze narzędziem, za pomocą którego obce, wrogie nam siły chciały nas, czy to jak w ustawach XVIII w., utrzymać w stanie „imposybilizmu", czy wprost uzasadnić odebranie nam suwerenności.

Nie każdy Polak oczywiście dzieje ojczyste zna wystarczająco dobrze, żeby sobie taki wniosek expressis verbis sformułować, ale prawie każdy czuje podświadomie, że z tą praworządnością to jakaś ściema. A w każdym razie, że nie ona jest najważniejsza. Dlatego słabo widzę przyszłość polityków, którzy chcą na tym haśle zbudować sobie wyborcze poparcie. ©℗

eprasa.pl feb53ef4b7

Piotr Semka

/ Felieton

„Lublu Tiebia Pietra twarienje”

Tak zaczyna się poemat Puszkina o Petersburgu „Jeździec miedziany”. Musiałem uczyć się go na pamięć w moim gdańskim liceum. Gdańsk był w epoce PRL miastem partnerskim Leningradu. Nazwę grodu nad Newą otrzymało najbardziej prestiżowe gdańskie kino, a w mojej dzielnicy Wrzeszcz działała rosyjska restauracja Newska. Nic więc dziwnego, że w szkole nauczyciel rosyjskiego poświęcał „kolebce rewolucji” sporo uwagi. Dla moich kolegów uczenie się na pamięć wiersza w „okupacyjnym języku” było torturą, ale mnie wpadł w ucho łatwo. Urody języka rosyjskiego nauczyła mnie babcia wychowana jeszcze za cara w wileńskiej szkole i znająca wiele wierszy Puszkina na pamięć. Pod jej wpływem, gdy w 1997 r. odwiedziłem Petersburg, chłonąłem to miasto, mając w pamięci „Miedzianego jeźdźca”. „Kocham cię, grodzie mój Piotrowy: / Twych zwartych kształtów kocham ład, / Prąd Newy władny i surowy, / Nadbrzeżny granit” – tak rosyjskiego poetę tłumaczył Julian Tuwim. Po rosyjsku brzmi to inaczej i nieporównanie lepiej:

Люблю тебя, Петра творенье,
Люблю твой строгий, стройный вид,
Невы державное теченье,
Береговой её гранит.

Porównajmy. „Pietra tworenje” to „twór Piotra”, a nie „Gród piotrowy”. A „strogij, strojnyj wid” to „surowy, zgrabny (harmojnijny) widok”, a nie „zwartych kształtów ład”. Puszkin pisze o „Newie, której brzegi wytycza granit". U Tuwima jest „Newa władna i surowa”. Znów zamiana znaczeń. Puszkin opowiada czytelnikowi, że władne i surowe jest miasto, a nie rzeka.

Teraz po raz pierwszy obejrzałem Petersburg pod władzą Putina, zresztą tutaj urodzonego. Czym metropolia nad Newą z epoki Władimira Władimirowicza różni się dziś od rozedrganej epoki Jelcyna?

Pierwsze wrażenie to wystrój stacji metra Admirałtiejskaja, której za czasu mojej poprzedniej wizyty jeszcze nie było. Otwarta w 2006 r., wita pasażerów wielkimi mozaikami Aleksandra Bystrowa sławiącymi imperialne znaczenie rosyjskiej floty. Na jednej z nich car Piotr I z planem budowy portu w ręce wodzi hardym wzrokiem po przechodzących obok „Pitercach”. Widać podkreślenie znaczenia jednostki i prymatu racji stanu państwa nad zachciankami poddanych. W imię tej racji stanu niewielu pamięta o kościach fińskich chłopów, na których, jak to zjadliwie zauważył nasz Mickiewicz, zbudowano stolicę nad Newą.

Niewielu pamięta o kościach fińskich chłopów, na których, jak to zjadliwie zauważył nasz Mickiewicz, zbudowano stolicę nad Newą

Kolejna zmiana tonu uderzyła mnie, gdy na straganie prasowym wziąłem do ręki miejscowy magazyn historyczny o powstaniu dekabrystów z 1825 r. Już sam tytuł zdradzał nowe spojrzenie na wolnomyślicieli w mundurach: „Ostatni bunt w gwardii”. A więc „matież”, a nie szlachetny poryw serca.

I wreszcie jeszcze jedno odkrycie. Niepozorne wejście na prospekcie Admiralicji 6b zachęca do wizyty w muzeum historii policji politycznej w Rosji w XIX i XX w. Adres jest nieprzypadkowy. To tu w 1918 r. była pierwsza siedziba Czeka z Feliksem Dzierżyńskim jako szefem. Dzisiaj ekspozycja nosi nazwę „od błękitnych uniformów żandarmerii do dzisiejszych czarnych masek oddziałów specjalnych”.

Placówka opowiada o carskiej ochranie, sowieckich mutacjach bezpieki od Czeka przez KGB do dzisiejszej Federalnej Służby Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej jako ciągu działania organów niezbędnych do istnienia państwa. Pieczołowicie odtworzono findesieclowy gabinet szefa ochrany z portretem cara Aleksandra III. Oczywiście, są w ekspozycji elementy narracji o czasach wielkich czystek, ale ogólne wrażenie ciągłości instytucji jest dla twórców wystawy czymś normalnym.

Kolejny punkt petersburskich spacerów to okazały sobór św. Izaaka. Gdy go odwiedziłem w 1997 r., jeszcze wracał do dawnej świetności po wielu latach bycia sowieckim muzeum ateizmu. Mówiono wówczas o rychłym oddaniu budowli Cerkwi prawosławnej. Dzisiaj, jak się okazuje, to nadal muzeum państwowe, tyle że artystyczne. Owszem, w największe święta pozwala się kapłanom prawosławnym odprawić nabożeństwa, ale na co dzień jest to muzeum. Można oczywiście zapytać, czy cerkiew byłoby stać na konserwację kapiących od złota dekoracji świątyni, ale muzeum wyraża dyskretny klimat przewagi państwa nad Cerkwią.

Gdy odwiedzam Maneż, czyli petersburski odpowiednik naszej Zachęty, widzę plakat zapowiadający wystawę „Liche lata 90. – wolność bez granic”. Czy to ironia, czy lekceważenie epoki Jelcyna? Już się nie dowiem – muszę spieszyć się na dworzec. Czas ruszyć w powrotną drogę do Warszawy. Jednodniowa dawka „surowego, ale harmonijnego” ładu wystarczy. ©℗

eprasa.pl feb53ef4b7

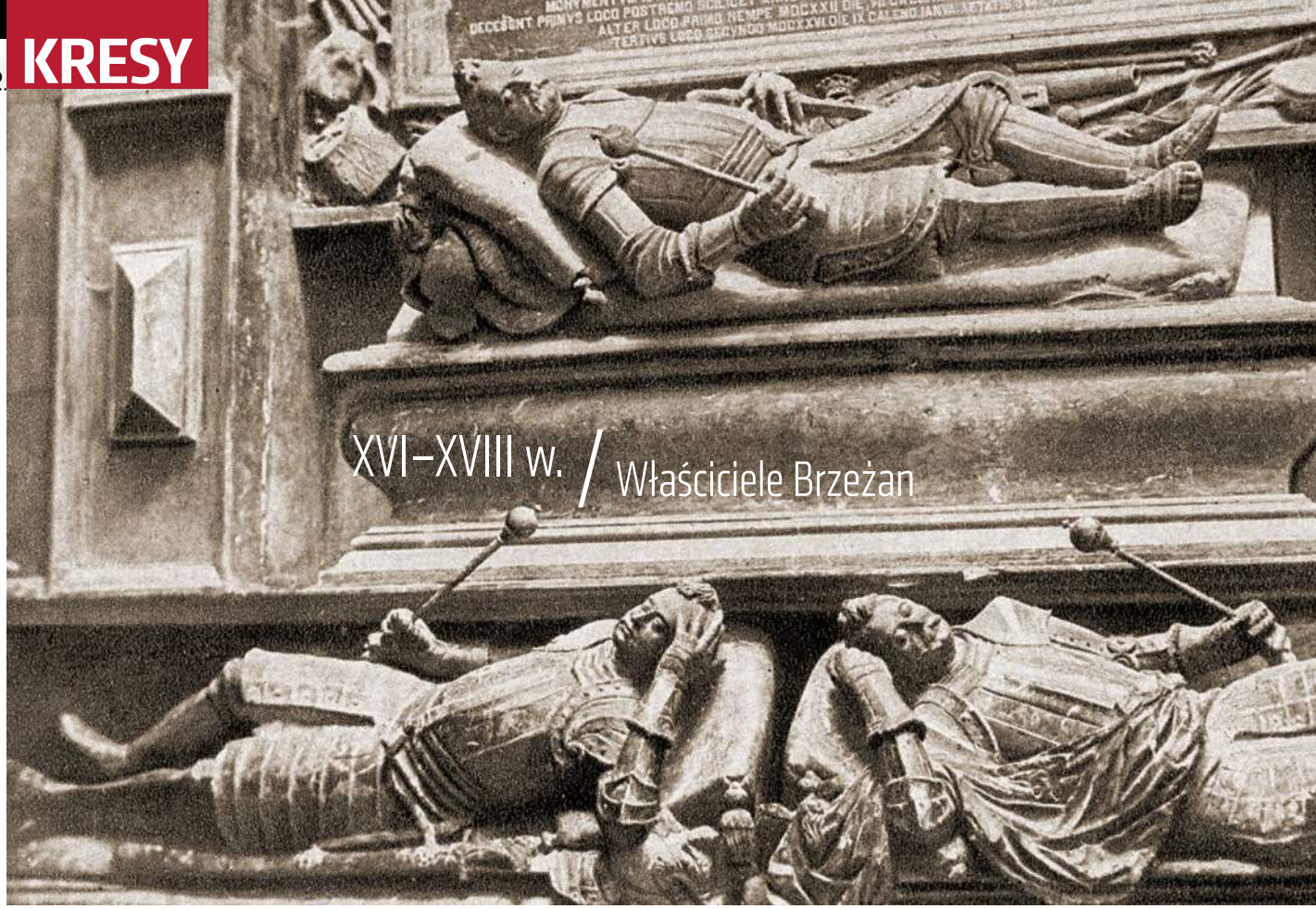

XVI–XVIII w. / Właściciele Brzeżan

Hetmański ród Sieniawskich

Tomasz Stańczyk

W obronie Kresów walczyli z Tatarami, Turkami i Kozakami. Sieniawscy mogli poszczycić się czterema buławami

Przybyli na Ruś w XV w. Nazywali się wówczas Granowskimi, pochodzili bowiem z Granowa w Wielkopolsce, ale od wsi Sieniawa na Podolu, którą wniosła w posagu żona Rafała, przyjęli nazwisko Sieniawskich. „Przez półtrzeciasta lat i w honory, i w zasługi kwitnęło" – stwierdzał Kasper Niesiecki, genealog i heraldyk. Żadnego z Sieniawskich nie można zaliczyć ani do warchołów, ani rokoszan, ani do utracjuszy. Przede wszystkim byli obrońcami kresów Rzeczypospolitej.

XVII-wieczny historyk i publicysta polityczny, Szymon Starowolski, pisał w „Wojownikach sarmackich": „Ci, którzy lubią wzniośle mówić o wygasłych cnotach, zaliczają do dawnych bohaterów także książąt Sieniawskich, słynących na Rusi z pamięci ich pradziadów. Tak wojowali na Podolu, że dzięki ich działalności Ruś nękana, co roku prawie pustoszona przez wroga, nie tylko odzyskała pokój, ale zaludniła swoje pustkowia nowymi osadnikami".

Synowie Rafała – pierwszego Sieniawskiego – bracia Mikołaj, Aleksander i Prokop Sieniawscy, walczyli w słynnej bitwie pod Obertynem w 1531 r., służąc pod rozkazami hetmana Jana Tarnow-

eprasa.pl feb53ef4b7

Mikołaj Hieronim Sieniawski. Obok: nagrobki Sieniawskich w kaplicy zamkowej w Brzeżanach

FOT. WIKIPEDIA I DOMENA PUBLICZNA

skiego, który pokonał wówczas armię mołdawską.

Prokop Sieniawski podczas wyprawy na Wołoszczyznę został osaczony przez nieprzyjaciela. „Bronił się do ostatnich sił Prokop, ale i gdy konia pod nim zabito, i zgraja na jednego tylko nacierała, on widząc się w takim razie, Matki Boskiej Częstochowskiej na pomoc wezwał i nie oszukał się w nadziei, bo z nagła jakby przestraszeni wszyscy się rozpierzchnęli, on bez szwanku wolny z oczywistego niebezpieczeństwa wyszedł" – tak opisywał Kasper Niesiecki dramatyczną przygodę Sieniawskiego. Jego syn, także Prokop, marszałek wielki koronny, zasłynął z ogromnej siły. Przecinał jednym cięciem miecza konia i woła, zatrzymywał w pełnym ruchu karetę zaprzężoną w sześć koni, łapiąc za koło. Pewnego razu nadwerężył się jednak podczas takiej właśnie próby siłowej, zachorował i wkrótce umarł.

Dwaj hetmani

Mikołaj uwieńczył swoją karierę urzędem hetmana wielkiego koronnego i – jak stwierdzał Niesiecki – „swoim kosztem strzegąc granicy polskiej i puste krainy osadzając, zasłużył sobie męstwem i odwagą, że za jego buławy żaden powiat, żadna ziemia uszczerbku nie zaznała […]. Krwi swojej i życia dla ojczyzny nie żałował, i owszem i wodza, i dobrego żołnierza urząd na sobie wypełniając, sam się z nieprzyjacielem wręcz ścinał". Jednak w początkach kariery wojskowej Mikołaj i jego żołnierze zostali otoczeni pod Oczakowem przez Tatarów, którzy rozbili oddział. Sieniawski, wykupiony z niewoli, powrócił z tej nieudanej wyprawy „jeszcze groźny, ale od tej pory unikał zbytniej zuchwałości i pośpiechu" – jak stwierdzał Starowolski. Bilans życia wojennego hetmana Mikołaja Sieniawskiego był jednak zdecydowanie dodatni: wygrał 20 bitew, przegrał tylko dwie.

Sieniawski korzystał z królewskich nadań ziemi, ale też sam utrzymywał wojsko z dochodu ze swoich majątków, na obronę kresów Rzeczypospolitej. W związku z tzw. egzekucją dóbr nieprawnie nadanych utracił część ziemi. „Odbieranie nadań tak bardzo dotknęło Sieniawskiego, że z płaczem powoływał się na swe zasługi w bitwach i odniesione rany. Jego wyrzekania i płacze dość sarkastycznie przerwał Zygmunt August" – pisał Marek Plewczyński w książce „Hetmani Rzeczypospolitej Obojga Narodów", uważając Mikołaja Sieniawskiego za niedocenianego obrońcę kresowych stanic. Historyk chwalił hetmana za dobre zorganizowanie wojska, położenie nacisku na dobre kwalifikacje wojskowe oraz wpojenie żołnierzom woli zwycięstwa, poczucia własnej wartości i solidarności. „Przyjmował Sieniawski do służby właściwy element ludzki i potrafił go zatrzymać".

Hetman zmarł w 1569 r. w Lublinie, w czasie gdy pertraktowano tam w sprawie zawarcia unii polsko-litewskiej. Król Zygmunt August, doceniając zasługi hetmana, wziął udział w eksportacji jego ciała do rodowych Brzeżan.

Syn Mikołaja, również Mikołaj, został hetmanem polnym koronnym. „Przepolerowawszy naukami" młode lata, zabrał się do wojaczki, przeznaczenie Sieniawskich. Brał udział w walkach z Moskwą, w tym w bitwie pod Newelą, gdzie – jak twierdził Starowolski – 1,5 tys. Polaków „cudownie pobiło" aż 40 tys. nieprzyjaciół. Mikołaj miał walnie przyczynić się do tego zwycięstwa. Brał udział w „awanturach mołdawskich", usiłując przywrócić władzę w hospodarstwie Bogdanowi IV. Innego hospodara, Kozaka Iwana Podkowę, który rządził jako Jan IV i musiał uciekać do Polski, odesłał Stefanowi Batoremu, który kazał go ściąć. Kilka lat później Sieniawski z polecenia króla ściął kolejnego hospodara, Jana V Sasa. Hetman wziął udział w wojnie z Moskwą prowadzoną przez Stefana Batorego, dowodząc wojskami ruskimi. Zdaniem Starowolskiego przewyższał ojca chwałą swych czynów.

Adam Hieronim, podczaszy koronny, po mianowaniu na ten urząd miał złożyć przepisaną przysięgę królowi Zygmuntowi III, ten jednak powiedział: „Nie trzeba, wiadoma nam dobrze Sieniawskich ku panom swoim wierność". Sieniawski stanął wiernie przy królu podczas rokoszu zebrzydowskiego w 1606 r. Przyczynił się do uwolnienia z Turcji księcia Samuela Koreckiego, posyłając swego zaufanego Greka, który Koreckiego z Carogrodu „przemyślnym fortelem, lubo przy wielkiej ostrożności, na wolność wyprowadził".

Synowie Adama Hieronima – Mikołaj i Prokop – walczyli pod Chocimiem w 1621 r. „Dogania go wtenczas jeden ze znaczniejszych Turków – opisywał

eprasa.pl feb53ef4b7

Niesiecki groźną dla Prokopa sytuację – chcąc go pokonać i z konia zwalić, co postrzegłszy nieustraszony podczaszy, w oczach obojga wojska, potkał się z doganiającym go adwersarzem, którego jak ptaka na rożen, na koncerz wziąwszy, z konia zrzucił i trupem na placu położył".

Hieronim Adam, pisarz polny koronny, walczył w 1644 r. pod Ochmatowem, gdzie Stanisław Koniecpolski pokonał Tatarów Tuhaj-beja. Kilka lat później pod Korsuniem dostał się Sieniawski, wraz z hetmanami Kalinowskim i Potockim, do niewoli. Tuhaj-bej wypuścił go za obietnicę okupu, ale obawiając się gniewu chana, rozgłosił, że zrobił to bezinteresownie, niejako w rewanżu, bo ojciec Hieronima Adama zwolnił go kiedyś z niewoli. Najpewniej jednak to jeden z Tatarów, zawdzięczający życie ojcu Sieniawskiego, wstawił się za nim u Tuhaj-beja, a ten puścił Polaka wolno, jednak zobowiązawszy go do zapłacenia okupu.

Kronikarze pisali, że gdy dowództwo wojska koronnego i rycerstwo uciekło haniebnie spod Piławiec, Hieronim Adam, złorzecząc na nich, schodził jako jeden z ostatnich z placu boju. Był razem z Jeremim Wiśniowieckim członkiem rady wojennej i – jak Jarema – duszą obrony Zbaraża, do którego wprowadził ponad 500-osobowy oddział jazdy i piechoty, utrzymywany z własnych funduszy.

Przyjaciel Jana III

Mikołaj Hieronim hetman polny koronny, syn Hieronima Adama, dochował wierności Janowi Kazimierzowi w latach szwedzkiego potopu, brał też udział w starciu z rokoszanami Lubomirskiego pod Mątwami w 1666 r. Walczył z Tatarami i Kozakami, odnosząc tak wielkie sukcesy, że – jak utrzymywał Niesiecki – „nieprzyjaciel sam, o pokój prosząc, kłaniał się".

Po Janie Sobieskim, z którym się przyjaźnił i którego był wiernym stronnikiem, został chorążym koronnym. Jak pisał Marek Wagner w książce „Hetmani Rzeczypospolitej Obojga Narodów", Mikołaj Hieronim oddał Sobieskiemu „niewymierne usługi" podczas kampanii 1671 r., walcząc pod Bracławiem, pilnując „czarnego szlaku" i dowodząc prawym skrzydłem wojsk hetmańskich pod Mohylowem. Brał udział w bitwie pod Chocimiem i w obronie polskiego obozu pod Żórawnem w 1676 r. Jan III doceniał swego współpracownika, czyniąc go marszałkiem izby poselskiej i marszałkiem nadwornym koronnym.

W roku odsieczy wiedeńskiej Mikołaj Hieronim został hetmanem polnym koronnym. Król, widząc jego nie najlepszy stan zdrowia, doradzał wypoczynek i kurację, na co Sieniawski odpowiedział: „Mniejsza o to, jutro niech umieram, bylebym dziś miał buławę z łaski królewskiej". Mimo choroby hetman Sieniawski wziął udział w bitwie pod Wiedniem, gdyż – jak pisał Jan Chryzostom Pasek – nie chciał opuścić „tak świątobliwej wojny". „Początek starcia był dla hetmana niepomyślny – oceniał Marek Wagner – zarówno próbna szarża dwóch chorągwi Potockich, jak i uderzenie 2 tys. jazdy pod dowództwem Marka Matczyńskiego natrafiły na silny ogień artylerii nieprzyjaciela i kontratak jazdy tureckiej. Jednak tylko na krótko, bo ponowny atak Polaków zatrzymał Turków pod Gersthof. Zaraz też nastąpiło decydujące uderzenie. Ponad 20 tys. jazdy sprzymierzonych ostatecznie przełamało obronę nieprzyjaciela".

Mikołaj Hieronim zmarł w Lubowli, wracając z wyprawy wiedeńskiej, z powodu epidemii, prawdopodobnie czerwonki. W testamencie nakazywał odprawianie mszy, „ażeby potomkowie moi nie wyrodzili się od moich i swoich przodków w gorliwości o zachowanie i obronę ojczyzny, wolności i majestatu królewskiego".

Adam Mikołaj Sieniawski, syn hetmana Mikołaja Hieronima, był pierwszym z rodu, który nie był zaabsorbowany głównie walkami z Tatarami, Turkami i Kozakami w obronie kresów Rzeczypospolitej. Uczestniczył natomiast w wewnętrznych rozgrywkach, w coraz słabszej i coraz bardziej uzależnionej od obcych potęg Rzeczypospolitej. Został hetmanem polnym z nominacji Augusta II. Wziął wkrótce po tym udział w bitwie pod Kliszowem, w 1702 r. przeciwko Szwedom, zakończonej porażką wojsk polsko-saskich. Cztery lata później otrzymał buławę wielką.

„Nie ulega wątpliwości, że dowódcą był miernym – oceniał Marek Wagner – i nie wykazywał ani zdolności taktycznych, ani operacyjnych. Nie posiadał wykształcenia wojskowego, a jego doświadczenie zdobyte w toku walk z Turkami i Tatarami w latach 1683–1699 było znikome". Do wad hetmana – jak stwierdzał historyk – należały głównie opieszałość i wahanie się, ale Adam Mikołaj uważał, że dobrze postępuje. „Trzeba tedy ostrożnie robić wszystko, ja chwała Bogu, że się w nic nie wdaję". Rzeczywiście, nie miał kwalifikacji na energicznego, pewnego siebie dowódcę.

To niezdecydowanie wykazał także w rozgrywkach politycznych, gdy szlachta buntowała się przeciw ogromnie uciążliwej obecności wojsk saskich na ziemiach Rzeczypospolitej. Z jednej strony podsycał nastroje, z drugiej – nie chciał jawnie przyłączyć się do protestu. Po rezygnacji Augusta II z praw do korony Adam Mikołaj Sieniawski namawiany był przez Rosjan do kandydowania na króla. Nie zgodził się. Dawniejsi historycy przypisywali mu niemal służalczość wobec Rosji, jednak obecnie ocena hetmana jest bardziej obiektywna.

Adam Mikołaj był ostatnim męskim potomkiem rodu Sieniawskich, który wygasł z jego śmiercią, w 1726 r.

Rodowe Brzeżany

Tak jak Nieśwież łączy się zawsze z Radziwiłłami, a Łańcut z Potockimi, tak Brzeżany nieodmiennie kojarzą się z Sieniawskimi. W roku 1530 król Zygmunt Stary, „bacząc na wierne usługi urodzonego i szlachetnego Mikołaja z Sienawy,

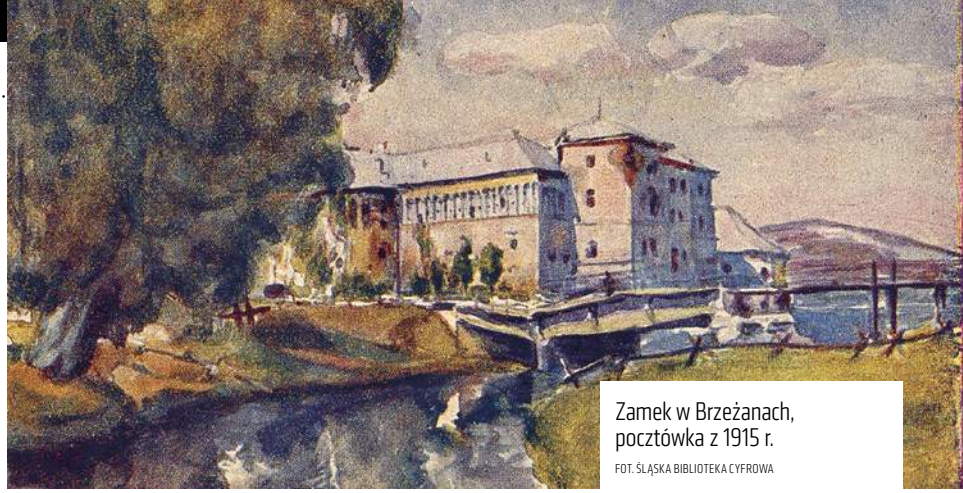

Zamek w Brzeżanach, pocztówka z 1915 r.
FOT. ŚLĄSKA BIBLIOTEKA CYFROWA

eprasa.pl feb53ef4b7

Urodzony w hetmańskich Brzeżanach Edward Śmigły-Rydz dostał buławę wraz ze stopniem marszałka FOT. NAC

chorążyca, naszego dworzanina wiernie nam miłego, którymi się nam i naszej Rzeczypospolitej jak najlepiej polecił i chcąc go zatem wynagrodzić i dla dalszych usług dla nas i Rzeczypospolitej zachęcić", pozwolił Mikołajowi Sieniawskiemu założyć miasto we wsi Brzeżany, w ziemi lwowskiej.

Sieniawski rozpoczął budowę zamku „na chwałę Boga i na obronę wiernych chrześcijan", ukończoną w 1554 r. Była to właściwie forteca, z bastionami i wałami, chroniona przez wody Złotej Lipy, a zarazem wspaniała rezydencja magnacka, porównywana nawet – choć jednak z pewną przesadą – do Wawelu. Juliusz Słowacki pisał w poemacie „Jan Bielecki" o zamku:

W komnatach żadnej nie ujrzysz różnicy
Od złotych komnat, gdzie mieszkała Bona.
Pan Brzeżan lubi żyć w królewskim dworze,
Co ma król polski i szlachcic mieć może.
Posadzki wzorem włoskim marmurowe,
Na ścianach srebrem tkane adamaszki;
Gęsto się lampy lśnią alabastrowe.

Poemat opowiadał o szlachcicu Bieleckim, któremu „Pan Brzeżan" zajął dobra. Bielecki z zemsty spowodował najście Tatarów na siedzibę Sieniawskiego i zabił go. To jednak tylko legenda. Zamek obronił się podczas wojen kozackich i przed atakiem Kozaków i Tatarów w 1667 r. W XVIII w. na sufitach sal zamkowych pojawiły się malowidła przedstawiające bitwy pod Chocimiem, Żórawnem i pod Wiedniem, w których brali udział Sieniawscy. Był więc zamek brzeżański rodzajem panteonu chwały rodu.

Prawdziwe arcydzieło sztuki stanowił kościół zamkowy, zwany też kaplicą, pod wezwaniem Świętej Trójcy – mauzoleum rodu Sieniawskich, przebudowany w 1626 r., ze wspaniałymi alabastrowo-marmurowymi nagrobkami i cynowymi sarkofagami. Wyróżniał się podwójny nagrobek hetmana Mikołaja i jego syna Hieronima, wojewody ruskiego, z ich pomnikami. „Na lewych rękach oparli głowy, w prawicach dzierżą piękne brązowe buławy, znak ich hetmańskiej godności, hełmy złożyli u stóp, miecze po boku, a pokładli się w zbrojach" – tak opisywał nagrobek Maurycy Maciszewski, autor monografii Brzeżan.

W kaplicy był także robiący jeszcze większe wrażenie wrażenie potrójny pomnik-nagrobek synów Adama Hieronima. Ich cynowe sarkofagi – oraz ojca – miały kształt trumien, na których spoczywały postacie rycerzy w zbrojach.

Właściciel Brzeżan w pierwszej połowie XIX w. Aleksander Potocki nie dbał o historyczne pamiątki. Część zamku wynajął na koszary, a kaplicę – na skład wódek, co wywołało ogromne oburzenie. Część wyposażenia zamku wywiózł, część sprzedał, reszta została rozgrabiona przez żołnierzy austriackich, którzy byli też jednymi z dewastatorów kaplicy. Jak pisał Maciszewski, niektóre obrazy z kolekcji Sieniawskich znalazły się w lamusach i tam butwiały. Z płócien niektórych malowideł miano robić worki, a posągom Sieniawskich w kaplicy zamkowej utrącono nosy i ręce. Dopiero w 1878 r. Stanisław Potocki, syn Aleksandra, zlecił odnowienie kaplicy zamkowej. Niestety, również później była dewastowana, tak jak zamek, który ucierpiał podczas pierwszej wojny światowej od rosyjskiego ostrzału.

Przed zagładą uratowano cynowe sarkofagi, które przewiezione zostały do Krakowa podczas wojny z bolszewicką Rosją. W 1934 r. Jakub Potocki podarował zamek państwu, lecz przed wybuchem wojny nie zdołano podjąć prac nad odnowieniem zabytku. Dzisiaj zamek nadal jest ruiną, lecz przy kościele zamkowym trwają od kilku lat prace ratunkowe i konserwatorskie.

Ostatnia buława

Z Brzeżanami był związany jeszcze jeden posiadacz buławy. W mieście nad Złotą Lipą urodził się Edward Rydz, który przybrał pseudonim Śmigły. Wychowywał się w cieniu zamku Sieniawskich i z pewnością znał rycerskie tradycje tego rodu. Zapewne to także wpłynęło na wstąpienie Rydza do Związku Walki Czynnej – był zastępcą komendanta tej organizacji w Brzeżanach – oraz do Związku Strzeleckiego. Służba w Legionach była początkiem jego kariery wojskowej, uwieńczonej w 1936 r. stopniem marszałka i wręczeniem mu przez prezydenta Mościckiego buławy.

Śmigły-Rydz nie zapomniał o mieście swego urodzenia, odwiedzał je w latach międzywojennych, spotykając się z kolegami z lat szkolnych i zapraszając uczniów brzeżańskiego gimnazjum do Warszawy. Nie zapomnieli o nim dzisiejsi mieszkańcy Brzeżan. W muzeum znajdującym się w gmachu ratusza – mieściło się tam kiedyś gimnazjum, do którego chodził Rydz – znajduje się gablota, w której zgromadzono zdjęcia, dokumenty i książki dotyczące „Śmigłego". Nie powinno to dziwić. Nie tylko dlatego, że był jednym z wybitniejszych ludzi urodzonych w Brzeżanach. Edward Rydz wywodził się z ubogiej rodziny, nie zaś z „polskich panów". A poza tym jego matka była, jak wówczas mówiono, Rusinką i należała do Kościoła greckokatolickiego, narodowego wyznania Ukraińców z Galicji.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl feb53ef4b7

„Książę Jeremi Wiśniowiecki na mogile" (znany też jako wymarsz Jaremy z Łubniów w 1648 r.), ilustracja Juliusza Kossaka do „Ogniem i mieczem" FOT. MNW

1612–1651 / Mistrzowie staropolskiej sztuki wojennej – Jeremi Wiśniowiecki herbu Korybut

Syn Dzikich Pól

Maciej Rosalak

Polską legendę o Jaremie stworzyła tęsknota za wodzem zwycięskim w czasie ponurych klęsk. A prawda dorównywała kroku legendzie

W ciągu 39-letniego życia – krótkiego nawet jak na owe czasy – wiele dokazał. Zaludnił Zadnieprze i stworzył tam ogromne latyfundium, pomnożył majątki na ukrainnym Prawobrzeżu, sformował kilkutysięczne, szalenie skuteczne w boju prywatne wojsko, gromił tatarskich najeźdźców i kozackich buntowników, okrutnie karząc sprawców straszliwych rzezi ocalił życie tysięcy niewinnych ludzi, stał się opoką obrony i nadzieją na ocalenie południowo-wschodnich obszarów Rzeczypospolitej. Takiego Jeremiego Wiśniowieckiego znajdujemy zarówno w świadectwach z jego epoki, jak i w literaturze późniejszej, również historycznej.

Jako postać świetlaną utrwalił go – niezwykle sugestywnie – Henryk Sienkiewicz w „Ogniem i mieczem". Jednocześnie w XIX w. wezbrał nurt przeciwny – pomniejszania zasług i wyolbrzymiania potknięć, a zwłaszcza przypisywania mu nienawiści do narodu ukraińskiego i torpedowania prób zawarcia pokoju z Bogdanem Chmielnickim. W PRL-owskim ujęciu postać Jaremy albo przemilczano, albo przedstawiano w najgorszy sposób, do wcześniejszych zarzutów dodając jeszcze „obszarnika-krwiopijcę".

Z krwi Ruryka

Spór o Jaremę dotyczył również jego pochodzenia. O ile wcześniej dominowała tradycja wywodzenia rodu Wiśniowieckich od litewskiego księcia Gedymina, o tyle obecnie dominuje pogląd o pochodzeniu książąt Nieświckich – z których początek biorą zarówno Wiśniowieccy, jak i np. Woronieccy – od samego Ruryka, wikińskiego założyciela Rusi. Otóż wyniki badań genetycznych wykazały, że układ markerów zawartych w chromosomie Y Woronieckich okazał się identyczny z układem żyjących współcześnie przedstawicieli innych rodów wywodzących się niewątpliwie od Ruryka: Puzynów, Massalskich, Gagarinów, Kropotkinów, Putiatynów.

Kwestia ta dowodzi, jak ciekawa i złożona sytuacja rodziła się podczas dynamicznego, politycznego przejmowania obszarów dzisiejszej Białorusi i Ukrainy przez władców litewskich w XIII i XIV w., a jednocześnie – w drugą stronę – obejmowania Litwy wpływem kultury ruskiej, z językiem i wiarą prawosławną włącznie. Jeszcze ciekawiej stało się oczywiście po zawarciu unii polsko-litewskiej, chrystianizacji Litwy w obrządku łacińskim i przyjmowaniu tamtejszego rycerstwa do polskich herbów. A już wyjątkowo ciekawe są

eprasa.pl feb53ef4b7

wybory dokonywane przez dawnych bojarów ruskich, którzy najpierw stali się możnowładcami w państwie Gedymina, Olgierda i Kiejstuta, a po upływie dwóch wieków w Rzeczypospolitej z rzymskokatolickim królem i dominującą kulturą zachodnią w polskim wydaniu. Szczególne znaczenie miało to na ziemiach ukrainnych, gdy po zawarciu unii lubelskiej weszły one w skład Korony.

Jak pisał prof. Mirosław Nagielski („Księga Kresów Wschodnich", cykl dodatków do „Rzeczpospolitej" nr 16 z 2010 r.): „Zauważalna ekspansja Koroniarzy na ziemie ukrainne oraz wejście do senatu Rzeczypospolitej szybko polonizującej się i przyjmującej katolicyzm elity ruskiej doprowadziły do zmiany struktury elit politycznych Ukrainy w I połowie XVII wieku. Ostrogscy, Zasławscy, Zbarascy, Sanguszkowie, Czartoryscy czy Wiśniowieccy aktywnie włączyli się w życie polityczne Rzeczypospolitej. Natomiast pozostawiona samej sobie szlachta ruska w znikomym stopniu mogła wpływać na decyzje dotyczące ich województw i ziem, coraz częściej pomijana także w promocji na urzędy ziemskie. Nie pozostało to bez wpływu na zjawisko przyłączania się drobnej szlachty ruskiej do kolejnych powstań kozackich i popierania z racji wspólnej religii wielu postulatów wojska zaporoskiego będącego w służbie Rzeczypospolitej".

Progenitura naszego bohatera – Jeremiego Michała Korybuta Wiśniowieckiego (1612–1651) – stanowi dobrą ilustrację tego procesu dziejowego. Protoplastą rodu był syn kniazia Wasyla Zbaraskiego, Michał Zbaraski Wiśniowiecki (zm. w 1517 lub 1518 r.), który nazwisko przejął od odziedziczonego Wiśniowca. Podczas niewoli moskiewskiej hetmana Konstantego Ostrogskiego sprawował w zastępstwie urząd namiestnika bracławskiego, a gdy ten po powrocie do ojczyzny gromił Tatarów pod Wiśniowcem, Michał Zbaraski Wiśniowiecki z synami Aleksandrem i Iwanem brali udział w walce. Od Aleksandra wiedzie się starsza, tzw. królewska, linia Wiśniowieckich, a od Iwana – młodsza.

Synem Iwana był kniaź Dymitr Wiśniowiecki (ur. przed 1535 r., zm. w 1563 r.) nazwany przez Kozaków Bajdą. To on założył Sicz Zaporoską na dnieprowej wyspie Chortycy i przewodził kozackim wyprawom łupieskim na

Książę Jeremi Wiśniowiecki – portret nieznanego malarza z lat 40. XVII w. FOT. WIKIPEDIA

Tatarów (nawet na Krym) i Turków. Od Zygmunta Augusta otrzymał nadania czterech starostw, ale krótki czas (dopóki się znów nie ukorzył przed Jagiellonem) wojował przeciw muzułmanom w imieniu cara Iwana IV Groźnego. Zdradziecko pojmany przez hospodara wołoskiego, trzy dni umierał powieszony na haku przez sułtana Sulejmana Wspaniałego.

Młodszym bratem Bajdy był książę Konstanty (unia lubelska potwierdziła książęcy tytuł Wiśniowieckich), dworzanin królewski, starosta żytomierski, który zmarł w 1574 r., a został pochowany w kijowskiej Ławrze Peczerskiej, świętym miejscu prawosławia. Jego synem był Konstanty (1564–1641), już katolik, wojewoda bełski, krewny z młodszej linii rodu i opiekun Jaremy po utracie przezeń rodziców.

Z kolei synem Aleksandra był dziadek Jaremy – Michał, kasztelan kijowski, fundator trzech cerkwi, który – zanim spoczął w Ławrze Peczerskiej – swe imię przekazał jednemu z synów. Ów kolejny Michał Wiśniowiecki, ojciec Jaremy, starosta owrucki, uwikłał się niefortunnie w wojny o tron mołdawski i zamordował go prawosławny pop, podając mu zatrutą komunię (1616). Matka Raina Mohylanka (córka hospodara mołdawskiego) na łożu śmierci zaklinała siedmioletniego syna Jaremę, aby nie dokonywał konwersji na katolicyzm. Ten jednak, po ukończeniu kolegium jezuickiego, do którego skierował go opiekun, katolicyzm przyjął.

Potem jednak wspierał w swych dobrach i kościoły, i cerkwie prawosławne, a wyznanie swych ojców zawsze szanował. Jak sam pisał do Chmielnickiego: „Kozakom był z przodków życzliwy", mając na myśli swój rodowód spadkobiercy ruskich prawosławnych kniaziów, w którego żyłach płynęła krew wareskich zdobywców Rusi oraz bitnych bojarów i atamanów kozackich spoza dnieprowych porohów, z lesistych ostępów zadniestrzańskich, ze stepowych pustaci Dzikich Pól. Cechowały ich: osobiste męstwo, wodzowskie przymioty i straszliwe okrucieństwo wobec wrogów. Wszystkie te cechy odziedziczył nasz bohater.

Z Maastricht do Ochmatowa

Zwielokrotniona fortuna (w jego dobrach pracowało 230 tys. chłopów) pozwalała mu utrzymywać prywatną armię, której liczebność sięgała nawet 6 tys. Używał jej przede wszystkim do ochrony swych włości – których granice były zarazem granicami „Rzeczypospolitej"! – przed tatarskimi najazdami i buntami kozackimi. Zgodnie z potrzebami pól walki i charakterem przeciwników składała się ona przede wszystkim z chorągwi jazdy: husarii, pancernych (kozackich), tatarskich i wołoskich, znacznie mniej licznych regimentów piechoty formowanej z chłopów oraz dragonów, łączących cechy zarówno piechoty, jak i kawalerii. To typowy skład ówczesnego wojska polsko-litewskiego z innowacjami wprowadzonymi przez Władysława IV podczas wyprawy smoleńskiej (patrz: poprzedni numer „HDR").

Pyszny opis wiśniowiecczyków znajduje się w opisie ich marszu na elekcję 1648 r. do Warszawy. Sienkiewicz pisze: „Z ciekawością patrzono na chorągwie książęce, na owych »Rusinów«, jak ich nazywano. Nie byli już oni tak obdarci i wynędzniali jak po konstantynowskiej bitwie, bo książę w Zamościu dał nową barwę chorągwiom, ale zawsze poglądano na nich jak na cuda zamorskie, gdyż w mniemaniu mieszkańców bliskich okolic stolicy przychodzili z końca świata. Więc też i dziwy opowiadano o owych stepach tajemniczych i borach, w których się rodzi takie rycerstwo, podziwiano ich płeć ogorzałą, spaloną wichrami z Czarnego Morza, ich hardość spojrzenia i pewną dzikość postawy, od dzikich sąsiadów przejętą („Ogniem i mieczem", t. II, rozdz. X)".

eprasa.pl feb53ef4b7

Podczas wojny z Moskwą 22-letni Jarema dowodził już własnym wojskiem podczas wyprawy w głąb państwa carów. U boku hetmana Mikołaja Potockiego 26-letni Wiśniowiecki tłumił powstanie Ostranicy i oblegał tabor kozacki pod Żołninem. Wcześniej, bo w 1632 r., obserwował oblężenie Maastricht w Niderlandach. „Do cudzych krajów wyprawiony, najwięcej tam na polerze w wojennych dziełach czasu strawił, lustrując arsenały niderlandzkie, fortyfikacjom się przypatrując, szyki wojsk cudzoziemskich uważając, jakby przeczuwał, że na ratunek miłej ojczyzny swojej ta mu się nauka najwięcej przydać miała" – trafnie zauważał heraldyk z przełomu wieków XVII i XVIII, Kasper Niesiecki (podobnie król Władysław IV wykorzystywał swe doświadczenia z oblężenia Bredy w 1625 r.).

W pierwszej połowie lat 40. walczył z Tatarami. W 1643 r. pokonał Omara agę nad Sułą, a następnego roku wsparł hetmana Stanisława Koniecpolskiego w słynnym zwycięstwie pod Ochmatowem odniesionym nad 20-tysięczną ordą krymską prowadzoną przez Tuhaj-beja. Poza wojskami koronnymi stanęły również prywatne wojska magnatów kresowych, przy czym Wiśniowiecki przyprowadził ich najwięcej (3 tys.). Włącznie z Kozakami rejestrowymi (4 tys.) było tego niemal 18 tys. zbrojnych. Trzy dywizje: Jeremiego Wiśniowieckiego, strażnika koronnego Jana Odrzywolskiego i samego Stanisława Koniecpolskiego, rozrzucone w drugim rzucie daleko ze wschodu na zachód, stały 100 km za pierwszym rzutem chorągwi lekkich.

Koncentracja wojsk w odpowiednim czasie i miejscu zadecydowała o zwycięstwie. Ustawione w obronny czworobok oddziały Koniecpolskiego doczekały nadciągnięcia dywizji Wiśniowieckiego, a chorągwie Odrzywolskiego przepędziły 6 tys. Tatarów, którzy groblą przedostali się przez rzeczkę Hirśkyj Tikycz. Potem hetman natarł przez groblę, a Wiśniowiecki szarżował z lewego skrzydła po lodzie. Tuhaj-bej dał rozkaz do odwrotu, który osłaniać miała 4-tysięczna ariergarda. Tę jednak położyła pokotem szarża husarii i tatarski odwrót zamienił się w ucieczkę. Pościg doszczętnie rozbił Tuhaj-beja podczas przeprawy przez rzekę Siniuchę.

Dwa lata później Jeremi Wiśniowiecki został wojewodą kijowskim.

Towarzysz z chorągwi husarskiej na murach Zbaraża, w kirysie (półpancerzu), uzbrojony w szablę i pistolet kołowy

RYS. MAREK SZYSZKO

Ukraina w ogniu

Wiadomość o klęskach nad Żółtymi Wodami (kwiecień/maj 1648 r.) i pod Korsuniem (koniec maja) dotarła do Jaremy na Zadnieprzu. Ponieważ przeprawa na zachodni brzeg Dniepru pod Perejasławem okazała się niemożliwa, ruszył ku Czernichowowi z 6-tysieczną armią i tłumem rodzin szlacheckich oraz żydowskich. Kronikarz i kabalista Natan Hannower zapisał: „On [Wiśniowiecki] wyruszył ze swoim ludem ku Litwie, a z nim około 500 obywateli [Żydów], a każdy z żoną i dziećmi. I niósł ich jakby na skrzydłach orlich, aż ich przyprowadził, dokąd chcieli. Gdy im groziło niebezpieczeństwo z tyłu, kazał im iść przed sobą, a gdy groziło z przodu, wówczas on maszerował przed nimi, a oni za nim kładli się obozem".

Półtora miesiąca trwał ów marsz, ale po przeprawie w górze Dniepru Wiśniowiecki spadł na ogarniętą buntem i rzeziami Lachów, księży i Żydów Ukrainę, każąc zwykle sprawców rzezi wbijaniem na pal. Pod Konstantynowem pobił w końcu lipca 1648 r. 60-tysięczną armię Krzywonosa (w tym 40 tys. tzw. czerni chłopskiej), mając – po przyłączeniu oddziałów koronnych – 8 tys. zbrojnych. Efektem mistrzowskiego operowania artylerią i taborem, stosowania na przemian obrony i ataku, a wreszcie impetu ponawianych szarży niezrównanej jazdy były straty, które po kozackiej stronie wyniosły od 10 do 15 tys., a po polskiej 200–300 ludzi… Od tej bitwy – taktycznie nierozstrzygniętej, ale wygranej moralnie – oczy przerażonych ludzi z nadzieją zwróciły się w stronę Jaremy…

Pod Piławcami – jak oceniał prof. Nagielski – „Wiśniowiecki był daleko lepszym dowódcą niż regimentarze koronni. W radzie wojennej proponował uderzenie na tabor kozacki, zanim przybędą Chmielnickiemu posiłki. W przeddzień nieszczęśliwej rejterady spod Piławiec chorągwie księcia biły się dobrze, w odróżnieniu od innych, które pozostawały na swych stanowiskach. Przestraszona szlachta spod chorągwi powiatowych i pańskich rzuciła się do ucieczki na sam widok nadciągającej ordy".

Po wznowieniu wojny w 1649 r. jedynym punktem oporu na Rusi stał się Zbaraż. Jego heroiczna obrona, prowa-

eprasa.pl feb53ef4b7

dzona pod kierunkiem księcia Jeremiego, w ciągu sześciu tygodni na przełomie lipca i sierpnia jest – dzięki Sienkiewiczowi – doskonale znana. Podobnie jak walny udział wojsk Wiśniowieckiego w zwycięstwie pod Beresteczkiem (początek lata 1651 r.).

Potwierdza to prof. Nagielski: „[…] Wiśniowiecki odegrał szczególną rolę. W pierwszym dniu bitwy na czele sześciu chorągwi pancernych wspomógł pułki Aleksandra Koniecpolskiego i Jerzego Lubomirskiego, które zostały ogarnięte przez Tatarów. W drugim sprawował faktyczną komendę lewego skrzydła i wziął udział w walce kawaleryjskiej z jazdą kozacko-tatarską. Pułk Jaremy umożliwił wydostanie się okrążonych oddziałów jazdy koronnej. Szczególnie odznaczył się w trzecim dniu bitwy, gdy rozpoczął natarcie lewego skrzydła na siły kozackie, a następnie wziął udział w pogoni za opuszczającymi pole bitwy Tatarami. Obóz kozacki został zdobyty… Wycięto w sumie ponad 10 tys. Kozaków”.

Niestety, nie oznaczało to końca bratobójczej wojny. Gdy po bitwie beresteckiej ruszono w pościg za niedobitym Chmielnickim, Polska poniosła największą stratę, jaką ponieść w tej chwili mogła: w obozie pod Pawołoczą umarł po tygodniowej malignie (malaria? otrucie?) najwybitniejszy w owej chwili wódz. Wojsko urządziło swojemu bohaterowi wspaniały pogrzeb. Przywódca zaporoskiego buntu na wieść o śmierci księcia Jaremy miał zawołać: „Oto niebo wysłuchało naszych próśb!”. A kanclerz litewski Albrecht Radziwiłł napisał o nim: „Staturą mały, ale cnotą, odwagą i powagą najwyższym równy…”.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

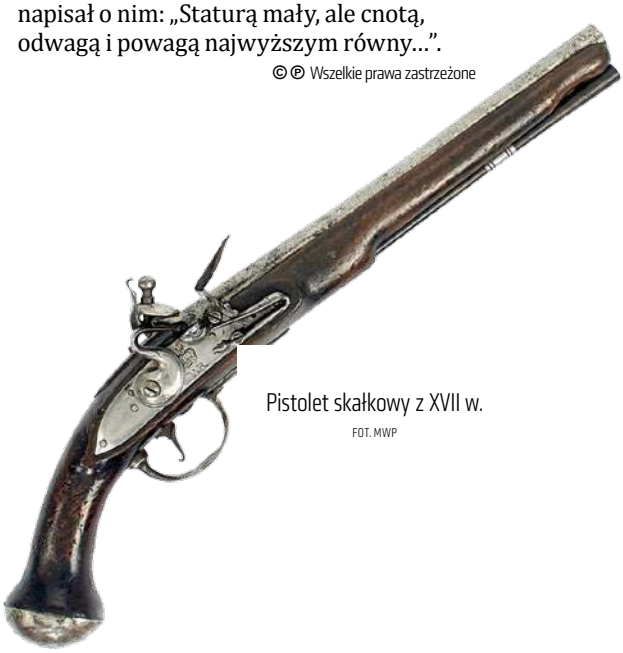

Pistolet skałkowy z XVII w.

FOT. MWP

Tricolor znów obok biało-czerwonej

Maciej Rosalak

Zaproszenie prezydenta Francji na obchody 100-lecia Bitwy Warszawskiej znajduje pełne uzasadnienie historyczne. W polskim ocaleniu ojczyzny lat 1918–1920 udział Francuzów był znaczący. To oni uznali Komitet Narodowy Polski Dmowskiego i Paderewskiego za przedstawicielstwo odradzającego się – a nie istniejącego przecież od wieku na mapach – państwa polskiego i w styczniu 1919 r. zaprosili do udziału w paryskiej konferencji pokojowej. To dzięki nim poznaniacy zdołali ocalić swe wiekopomne zwycięstwo w powstaniu wielkopolskim, gdy Ferdinand Foch zapobiegł w lutym 1919 r. w Trewirze kontrofensywie potężnych jeszcze Deutsches Heer na wschodzie. Foch – to nazwisko powinno być pisane złotymi zgłoskami w bieżącym roku. To on wytyczył zgodną z kryteriami etnicznymi linię rozgraniczenia z Litwą, pozostawiając Wilno i Suwałki po polskiej stronie. Dzięki niemu Błękitna Armia gen. Hallera – z alianckimi oficerami w każdym pociągu – mogła przejechać przez Niemcy i wiosną 1919 r. zadecydować o polskim zwycięstwie nad hajdamacką armią i wyparciu jej resztek za Zbrucz.

Za Błękitną Armią sunęły zaplombowane wagony, a w nich było: ok. 700 tys. karabinów, głównie francuskich Lebel 8 mm wz. 1885/93; kilka tysięcy karabinów maszynowych – ręcznych Chauchat wz. 1915 oraz ciężkich Hotchkiss wz. 1914 – 4 tys. dział i moździerzy, m.in. doskonałe armaty polowe 75 mm wz. 1897 Schneider oraz haubice 155 mm wz. 1917. Przyjechało też 120 nowoczesnych na owe czasy czołgów Renault Ft 17 oraz siedem eskadr lotniczych wyposażonych w 98 samolotów, w tym rozpoznawczo-bombowe Salmson 2 i Breguet 14 oraz myśliwskie SPAD VII. Przybyło także kilka w pełni wyposażonych szpitali polowych. Dzięki temu 600-tysięczna armia polska na przełomie lat 1919 i 1920 była w pełni uzbrojona, miała przygniatającą przewagę nad bolszewikami w powietrzu (w stosunku 5:1) i stosowała (z powodzeniem!) uderzenia pancerne. Cóż, 5 lutego 1921 r. w szkole wojskowej w Saint-Cyr polski wódz z 1920 r. marsz. Piłsudski odpiął ze swego munduru Virtuti Militari i udekorował nim marszałka Focha, a 3 maja 1923 r. towarzyszył mu – jako marszałkowi Francji, świeżo wyróżnionemu również polską buławą marszałkowską – przy odsłonięciu pomnika Józefa Poniatowskiego na placu Saskim.

Prezydenta Francji gen. Charles'a de Gaulle'a z entuzjazmem witały tłumy Polaków. A był rok 1967, środek PRL, i mało kto wiedział, że w 1920 r. niespełna 30-letni wtedy oficer francuski jako major Wojska Polskiego brał udział w zwycięskim uderzeniu znad Wieprza. Przypomniała mi te lata, 1920 i 1967, niedawna wizyta prezydenta Francji, znów tricolor obok biało-czerwonej, „Marsylianka” i „Mazurek Dąbrowskiego”; obydwa hymny z tej samej epoki, a nawet – jak byśmy dziś powiedzieli – z tej samej bajki. ©℗

eprasa.pl feb53ef4b7

Husarze malowani

Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Kircholm według wizji flamandzkiego mistrza

27 września 1605 r. w leżącym nieopodal Rygi Kircholmie stanęły naprzeciwko siebie armie szwedzka i litewska. Ta pierwsza, mająca trzykrotną przewagę liczebną i dysponująca miażdżącą – zdawałoby się – siłą ognia, powinna zetrzeć na proch chorągwie hetmana wielkiego litewskiego Jana Karola Chodkiewicza. Stało się jednak inaczej. Wojsko Karola IX, zorganizowane według najnowszych holenderskich wzorców, zostało przez Litwinów niemal unicestwione. Kircholm stał się grobem dla 9 tys. Szwedów. Ocaleli nieliczni.

Kulminacyjny moment owej batalii uwiecznił Pieter Snayers na obrazie namalowanym na zlecenie króla Zygmunta III Wazy ok. 1620 r. Został on wywieziony z Polski najpewniej przez jego syna i następcę, Jana II Kazimierza, po niesławnej abdykacji w 1668 r. Obecnie znajduje się we francuskim zamku Sassenage i jest własnością Fondation de France. Dzięki zorganizowanej niedawno na Zamku Królewskim w Warszawie znakomitej wystawie pt. „Świat polskich Wazów" obraz mogliśmy oglądać w Polsce po raz pierwszy od XVII w. Na bitwę toczoną nad brzegami Dźwiny spoglądamy z szerokiej, ptasiej perspektywy obejmującej całość zmagań. Po lewej siły litewskie, po prawej Szwedzi. W mig można zrozumieć przyczynę ich klęski. Uformowane w dwie linie wojska Karola walczą oddzielnie, nie ma mowy o ścisłym współdziałaniu.

To efekt fortelu zastosowanego przez Chodkiewicza, dodajmy – iście tatarskiego. Hetman, wobec szczupłości sił, nie mógł się kusić o czołowy atak na zwarte czworoboki piechoty muszkietersko-pikinierskiej osłanianej na skrzydłach przez zakutych w stal kirasjerów. Działaniem harcowników i wydzielonych chorągwi zamarkował ucieczkę, czym sprowokował Szwedów do działania. Ich pierwsza linia ruszyła spiesznie w kierunku przeciwnika, łamiąc tym samym szyk armii. Chodkiewicz tylko na to czekał. Najpierw Szwedów przywitał rzęsisty ogień stojącej w centrum chorągwi piechoty, potem na skrzydła nacierających kontratakowała husaria wspierana lżejszymi znakami. Przełamała kirasjerów, po czym runęła na bezradną piechotę. Manewr ten powtórzono następnie z drugą linią.

Na obrazie, pośrodku litewskiego szyku, widzimy roty uzbrojonych w krótkie arkebuzy hajduków toczących zacięty pojedynek ogniowy ze Szwedami strzelającymi z ciężkich, podpieranych forkietami muszkietów. Na pierwszym planie, czyli litewskim prawym skrzydle, część husarzy otoczyła pieszy regiment i roznosi go kopiami (zdjęcie). Inni ścigają i „dorzynają" pierzchających kirasjerów i lżejszych rajtarów, zbliżając się do drugiej linii armii Karola. Także ona zostanie za moment dopadnięta i rozniesiona na strzępy. Mrowie Szwedów z unicestwianych jednostek pierwszej linii ucieka w panice, wywołując chaos i dezorganizację drugorzutowych regimentów, rzuconych do walki w nadziei odwrócenia losów bitwy.

Obraz jest pełen dramaturgii, ale i dynamiki. Czujemy, że przewaga wojsk Rzeczypospolitej polega na zdecydowaniu i szybkości działania. Wyszukiwanie słabych punktów i bicie przeciwnika częściami są kluczowe. Detale wyobrażono z niesłychaną dbałością o realia. Widzimy m.in. szczegóły rynsztunku husarzy: szyszaki, kirysy, szable, nadziaki i przede wszystkim kopie. Dostrzegamy też różne formacje – poza husarzami walczą piechurzy, kozacy, kurlandzcy kirasjerzy i petyhorcy – uzbrojeni w krótsze i lżejsze od husarskich kopii rohatyny. Obraz Snayersa jest nieocenionym dokumentem epoki potęgi Rzeczypospolitej. ©℗

eprasa.pl feb53ef4b7

Powstańcze trofea

W MWP w Warszawie znajdują się pamiątki po Robercie Figurze, uczestniku trzech powstań śląskich. Są wśród nich dwa trofea. Pierwsze to mosiężna odznaka w postaci dwóch złączonych ze sobą krzyży. Na awersie dolnego krzyża wyobrażono cesarza Fryderyka III (panował tylko kilka miesięcy w 1888 r.). Górny, wykonany niestarannie, ma przylutowany pocisk karabinowy. „Dwa razem związane krzyże niemieckie – napisał Figura – nabyłem przy zdobyciu miasta Tarnowskie Góry. Kiedy po zdobyciu miasta dostawaliśmy z ukrytego miejsca celne strzały, przyczem poległ tam kolega powst. Paweł Opałka z Kamionki spod Mikołowa trafiony w czoło […] po dłuższej obserwacji strzałów zauważyliśmy, że strzela ktoś z balkonu oddalonego o 700–800 m, podeszliśmy niepostrzeżenie pod balkonik i rzutem granaty ręcznej ugodzony został wampir szwabski, kiedy wtargnęliśmy do mieszkania, zauważyliśmy konającego starego mężczyznę około 60 lat, który miał czapkę landwerzysty pruskiego, a na marynarce nawieszane oznaki, wziąłem właśnie te dwa krzyże, resztę zabrali koledzy”.

Odznaka jest nieregulaminowa, wykonana ręcznie. Zabity Niemiec był zapewne weteranem wojny z Francją 1871 r. Drugim trofeum jest emblemat z pruskiej regulaminowej trąbki sygnalizacyjnej. Na mosiężnej plakiecie znajdują się tłoczony pruski orzeł i monogram FR (Friedrich Rex). Według zdobywcy emblemat pochodzi z walk wokół Zębowic: „Emblemat oderwałem z trąbki […] chciałem mieć pamiątkę, ponieważ orzeł niemiecki na piersiach ma litery R.F., co oznacza moje imię i nazwisko”. ©℗

Sztyk do Mosina

W Armii Czerwonej, pomimo prowadzonych przed wojną zaawansowanych prac nad karabinem samopowtarzalnym, przewidywanym jako standardowe uzbrojenie piechura (SWT-40) i wyposażonym w nowoczesny bagnet nożowy, zasadniczą bronią strzelecką w latach 1939–1945 pozostał powtarzalny Mosin. W latach 30. karabin oraz bagnet poddano drobnym modyfikacjom, które w przypadku tego ostatniego objęły ostatecznie jedynie urządzenie do blokowania na lufie. Obrotowy pierścień opierający się o podstawę muszki, wywodzący się w prostej linii od francuskiego wynalazku z XVIII w., zastąpiony został znacznie praktyczniejszym sprężynowym zatrzaskiem. Sam bagnet był jakby żywcem wyjęty z czasów napoleońskich, posiadał tuleję do osadzenia na lufie i czworgranną głownię sposobną tylko do kłucia – poza zatrzaskiem nie odróżniał się od wzoru z 1891 r. Do bagnetów wz. 1891/30 zasadniczo nie stosowano pochew, przenosząc broń założoną na karabinie. Długość całkowita 505 mm, długość głowni – 430 mm. ©℗

AK-74

Karabin oparty jest konstrukcyjnie na swoim poprzedniku – AK-47, ale zawiera kilka istotnych zmian. Dotyczą one przede wszystkim kalibru; nabój 7,62 x 39 mm zastąpiony został amunicją 5,45 x 39 mm. Lżejszy pocisk odznacza się lepszymi parametrami balistycznymi; opuszcza lufę ze znacznie większą prędkością początkową i umożliwia prowadzenie efektywnego ognia na dalszym dystansie. Mniejszy kaliber oznacza także większy komfort podczas strzelania serią; dodatkowo na wylocie lufy zastosowano nowy i większy kompensator odrzutu i podrzutu – to jedna z najbardziej widocznych cech odróżniających tę broń od poprzednika. Stalowe magazynki zastąpiono nowymi – wykonanymi z tworzywa sztucznego; ich pojemność nie uległa zmianie (30 nabojów). W wersji AKS-74 zastosowano zawiasową kolbę ramową, którą składa się na bok wzdłuż komory zamkowej. Z czasem w składaną kolbę z tworzywa sztucznego wyposażono zmodernizowaną wersję AK-74 (AK-74M). Do karabinków AK-74 używa się tłumików dźwięku, celowników optycznych i podwieszanych granatników. Skrócona wersja nosi oznaczenie AKS-74U. AK-74 debiutował w Afganistanie. Broń pozostaje na uzbrojeniu Federacji Rosyjskiej do dziś. ©℗

eprasa.pl feb53ef4b7

Rysunek Leonarda da Vinci – idea latającej machiny – i walkman, odtwarzacz kaset audio FOT. DOMENA PUBLICZNA

Wyznaczniki postępu / Halabarda i bagnet, walkman i smartfon

Lamus wynalazków

Tymoteusz Pawłowski

O ile w wiekach dawnych postęp naukowy najłatwiej zauważyć, obserwując technikę zbrojeniową, o tyle dzisiaj widać go w rozwoju mass mediów

Lamus to budynek gospodarczy służący do przechowywania cennych przedmiotów. Dzisiaj słowo to zmieniło znaczenie i oznacza... rupieciarnię, a „odejść do lamusa" to po prostu „wyjść z użytku". Niektóre wynalazki robią to z wdziękiem, inne znikają bez śladu, jeszcze inne – wcale nie chcą tego robić.

Leonardo da Vinci uchodzi za wielkiego wizjonera i wynalazcę, który wyprzedził swój czas. Dopiero po wielu latach, w XX w., historycy sztuki zwrócili uwagę na techniczne zdolności mistrza Leonarda. Jednak w czasach Leonarda, w XVI w., jego wynalazki nie miały szans na zastosowanie praktyczne. Przede wszystkim dlatego, że nie były do tego przeznaczone. Tak naprawdę – o czym dziś się zapomina – nie był wynalazcą, tylko malarzem i scenografem, a niemal wszystkie jego „wynalazki" były gadżetami przeznaczonymi dla upiększenia sztuk teatralnych.

Dokonanie wynalazku jest kwestią przypadku, a właściwie: serii przypadków. Z reguły najpierw rodzi się pomysł. Później – czasem po latach, czasem po setkach lat – pojawiają się możliwości techniczne: odpowiednie materiały, narzędzia. Najważniejsze jest jednak zapotrzebowanie: wynalazek musi trafić w swój czas, inaczej może zostać zapomniany. Wreszcie ostatnim etapem jest

eprasa.pl feb53ef4b7

produkcja i sprzedaż: dopiero wówczas wynalazek nabiera życia. Ile ono trwa, zależy od różnych okoliczności.

Niektóre odkrycia były rewolucyjne i zdawało się, że będą trwały wiecznie. Czasy jednak zmieniały się, pojawiały się nowe przedmioty albo ludzie tracili zainteresowanie i wynalazek trafiał do lamusa. Inne odkrycia zdawały się być z góry skazane na niepowodzenie, a jednak trwały przez wieki, choć czasem w zupełnie innej roli niż na początku.

Niegdyś...

Trwanie wynalazków może być zadziwiająco długie, nawet gdy tracą one jakiekolwiek znaczenie praktyczne. W XIII w. na polu walki i w polityce dominowali rycerze: pancerz sprawiał, że byli praktycznie niezniszczalni, a koń i długi miecz pozwalał im bez większego ryzyka atakować żołnierzy pieszych. Wówczas pojawiła się halabarda, pierwsza broń biała, która umożliwiła pokonanie rycerza. Na długim drzewcu umieszczono głownię łączącą elementy włóczni, haka i topora. Grot pozwalał osłonić się przed bezpośrednim atakiem, hak umożliwiał ściągniecie rycerza z konia, a ostrze topora... Cóż, ostrzem topora kończono cierpienia leżącego na plecach rycerza...

I chociaż halabarda była najlepszą bronią białą, to szybko straciła na znaczeniu. Wciąż jednak trwa: najpierw, przez kilkaset lat jako broń gwardii pałacowych, a obecnie jako symbol średniowiecza. Jest stosowana jako popularny rekwizyt teatralny, łatwy w wykonaniu i o znaczeniu zrozumiałym dla wszystkich.

Są również wynalazki, które regularnie powracają co jakiś czas. Jednym z nich jest pancerz. Wynaleziony w starożytności, swoje triumfy święcił w średniowieczu. Jego znaczenie zaczęło maleć wraz z rozwojem broni palnej i zastosowaniem bagnetu. Ostateczny upadek nastąpił w 1809 r., po bitwie pod Wagram, gdy Dominique Larrey – chirurg Wielkiej Armii – użył kirysów ciężkiej jazdy jako garnków. Ugotowanym w nich rosołem – oczywiście z koniny – nakarmił rannych i został nagrodzony tytułem barona cesarstwa.

Kolejne lata przyniosły rozwój metalurgii i pancerze pojawiły się na krótko w czasie pierwszej wojny światowej. Szybko jednak straciły na znaczeniu. Trzeba było czekać do wieku XXI, żeby znów spotkać je na polach bitew. Zawdzięczamy to nie tyle rozwojowi metalurgii, ile nowym, syntetycznym materiałom, odpornym na przebicie.

Wspomniany bagnet też jest wart uwagi. Stanowi przykład wynalazku od zarania uznanego za prowizoryczny i przestarzały, ale... wciąż jest stosowany. Bagnety pojawiły się w połowie XVII w., gdy groty połamanych pik włożono w lufy karabinów. W kolejnych latach stosowano je równie powszechnie, co niechętnie: bitwy starano się rozstrzygać ogniem, bowiem atak na bagnety powodował zbyt duże straty. Jedynie Rosjanie z uporem krwawego maniaka twierdzili: kula durna, bagnet zuch! Od dawna trwa spór, czy żołnierzy warto wyposażać w bagnety i szkolić w ich użyciu. Odpowiedź musi być pozytywna: nawet w XXI w. zdarzają się bitwy, o których wyniku decyduje atak na bagnety. Wbrew pozorom, zwycięstwa w nich osiągają nie Talibowie czy Mahdyści, ale żołnierze zachodnich armii...

... i dziś

O ile w wiekach dawnych postęp naukowy najłatwiej zauważyć, obserwując technikę zbrojeniową, o tyle dzisiaj widać go w rozwoju mass mediów. W rozwoju błyskawicznym. W czasie – dość krótkiego przecież – życia autora tego tekstu świat z analogowego stał się cyfrowy. Pojawiły się pierwsze komputery osobiste, laptopy, Internet, później smartfony i inne rzeczy „smart". Jednocześnie w niebyt odeszło całe mnóstwo rzeczy, którymi posługiwał się świat. Były również przedmioty, które przemknęły przez horyzont zdarzeń niczym kometa.

Doskonałym przykładem jest walkman, czyli – tłumaczenie przyda się tym, którzy go nie zauważyli – przenośny odtwarzacz kasetowy bez głośników, ale ze słuchawkami. Pojawił się w 1979 r., w kolejnym dziesięcioleciu zawojował cały świat i... zniknął przed końcem stulecia. Stało się to tak szybko, że językoznawcy nie zdołali nawet zdecydować, czy jego nazwę pisać w oryginale, czy spolszczać jako „łolkmen".

Walkman trafił do lamusa wraz z innymi urządzeniami korzystającymi z kaset. Kasety zostały zastąpione najpierw przez dyski, a później przez pamięć magnetyczną. Jednocześnie zmienił się sposób zapisu informacji z analogowej na cyfrową.

Przy okazji – i zupełnie niepostrzeżenie – zniknęła również telewizja. To, co dzisiaj tak nazywamy, nie ma z tą prawdziwą nic wspólnego. Telewizja to sposób przekazywania obrazu na odległość falami elektromagnetycznymi. Nagrywanie i odtwarzanie odbywało się za pomocą lamp elektronowych. Miała olbrzymie znaczenie dla zmiany trybu życia całego świata: stałe punkty programu zmuszały do takiej organizacji czasu, żeby przed telewizorem gromadziły się całe rodziny.

Współczesna telewizja nagrywa – i odtwarza – obraz zupełnie innymi metodami, a przesyła go w formie kodu zero-jedynkowego, którego nie da rady odebrać bez komputera. Pory emisji ulubionych programów przestają mieć znaczenie – możemy dość swobodnie wybierać, kiedy i co chcemy oglądać. Czy to jest jeszcze telewizja?

Być może telewizja jeszcze zdoła się odrodzić. Tak, jak odrodziły się płyty gramofonowe. Niegdyś były podstawowym środkiem przekazu muzycznego, później musiały konkurować z taśmą i kasetą magnetofonową, a ostatecznie zostały wyparte przez technologię cyfrową. Zdołały jednak powrócić, choć już nie do szerokiego odbiorcy, a do audiofili.

Podobnie były losy zegarków mechanicznych. Zniknęły w czasie „rewolucji kwarcowej" lat 70. Gdy stały się znów modne pod koniec wieku XX – przede wszystkim jako biżuteria, a nie maszyna do odmierzania czasu – pojawił się ich kolejny wróg: telefon komórkowy, który pokazywał czas zawsze i wszędzie. Jednak czasomierze zdołały przetrwać i ten kryzys.

W zakończeniu zamierzałem przywołać znany cytat o przemijaniu z poezji ks. Jana Twardowskiego albo – równie znany – z prozy Philipa K. Dicka. Jednak wówczas tekst ten byłby przepełniony melancholią. A w gruncie rzeczy nie byłaby ona na miejscu. Powinniśmy się cieszyć, że żyjemy w ciekawych czasach i możemy obserwować wszystkie te przemiany.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl feb53ef4b7

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

NIEMIECKI „WILHELM GUSTLOFF" ZOSTAŁ ZWODOWANY 5 MAJA 1937 ROKU I POCZĄTKOWO FUNKCJONOWAŁ JAKO STATEK PASAŻERSKI. JEDNAK W CZASIE II WOJNY ŚWIATOWEJ POSTANOWIONO ZMIENIĆ JEGO PRZEZNACZENIE, PRZEKSZTAŁCAJĄC W STATEK SZPITALNY ORAZ PŁYWAJĄCE KOSZARY.

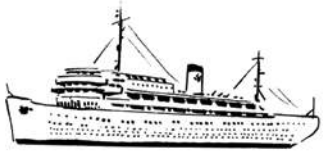

W STYCZNIU 1945 ROKU DO GDAŃSKA I GDYNI PRZYBYWAŁY TYSIĄCE NIEMCÓW UCIEKAJĄCYCH PRZED ZBLIŻAJĄCĄ SIĘ ARMIĄ CZERWONĄ. LICZYLI NA EWAKUACJĘ NA POKŁADACH CUMUJĄCYCH TAM STATKÓW, WŚRÓD NICH WŁAŚNIE TEŻ „WILHELMA GUSTLOFFA". JEDNAK NIE WSZYSCY MOGLI SIĘ NA NIE DOSTAĆ. KWITE NIELEGALNY HANDEL KARTAMI OKRĘTOWYMI I ZAŚWIADCZENIAMI EWAKUACYJNYMI.

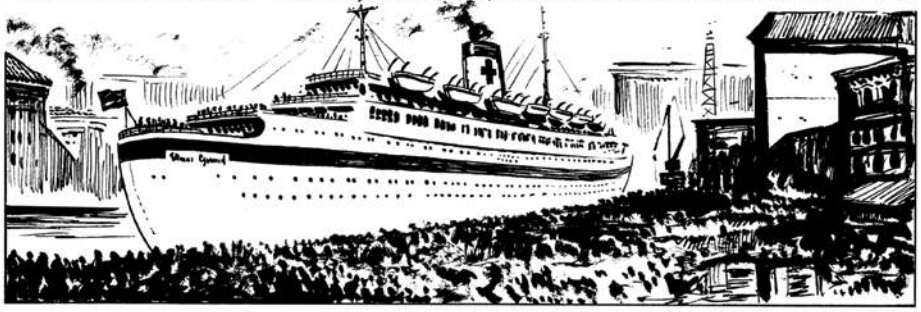

PRZED WOJNĄ „WILHELM GUSTLOFF" ZABIERAŁ NA POKŁAD 1465 PASAŻERÓW I OKOŁO 500 OSÓB ZAŁOGI. JEDNAK W STYCZNIU 1945 ROKU NA STATKU BYŁO NAWET PONAD 10 TYSIĘCY OSÓB. LUDZI UPCHANO GĘSTO, WYPEŁNIAJĄC WŁAŚCIWIE KAŻDĄ WOLNĄ PRZESTRZEŃ.

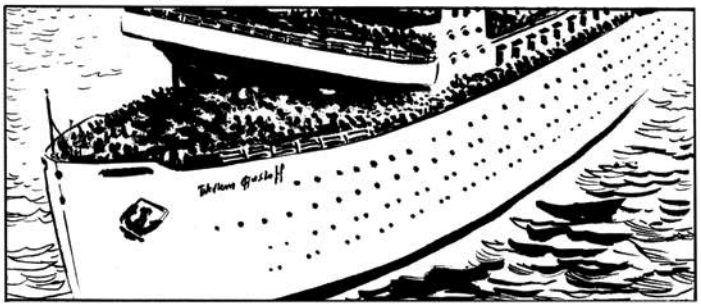

POZA TYSIĄCAMI NIEMIECKICH UCHODŹCÓW, NA POKŁADZIE BYŁO 918 OFICERÓW I MARYNARZY Z II DYWIZJI SZKOLNEJ OKRĘTÓW PODWODNYCH (II U-BOOT LEHR DIVISION), BLISKO 400 KOBIET Z KORPUSU POMOCNICZEGO KRIEGSMARINE, A TAKŻE WIELU RANNYCH ŻOŁNIERZY.

W SWÓJ OSTATNI REJS „WILHELM GUSTLOFF" WYPŁYNĄŁ 30 STYCZNIA 1945 ROKU. TOWARZYSZYŁ MU OKRĘT OSŁONY „LÖWE". NA STATKU WPROWADZONO CAŁKOWITE ZACIEMNIENIE, A WIELU PASAŻERÓW MYŚLĄC, ŻE SĄ JUŻ BEZPIECZNI UŁOŻYŁO SIĘ DO SNU. JEDNAK OD WYJŚCIA Z ZATOKI GDAŃSKIEJ „WILHELM GUSTLOFF" BYŁ OBSERWOWANY PRZEZ RADZIECKI OKRĘT PODWODNY „S-13". O GODZINIE 21 OKRĘT PODWODNY ZNALAZŁ SIĘ W ODLEGŁOŚCI OKOŁO 400 METRÓW OD „WILHELMA GUSTLOFFA" I KAPITAN „S-13" ALEKSANDR MARINESKO WYDAŁ ROZKAZ ATAKU.

ODPALONO TRZY TORPEDY.

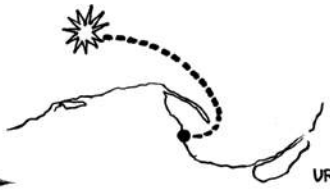

NA ZEWNĄTRZ BYŁO -18 STOPNI CELSJUSZA. WIĘKSZOŚĆ OSÓB PRZEBYWAJĄCYCH NA POKŁADZIE NIE MIAŁA SZANS NA DOSTANIE SIĘ DO NIELICZNYCH SZALUP. LUDZIE UMIERALI W LODOWATEJ WODZIE, WIELU NIE UDAŁO SIĘ NAWET WYDOSTAĆ NA POKŁAD I ZATONĘLI WRAZ ZE STATKIEM. URATOWANO JEDYNIE 1215 ROZBITKÓW. SZACUJE SIĘ, ŻE NA STATKU „WILHELM GUSTLOFF" MOGŁO ZGINĄĆ NAWET **9400** OSÓB SPOŚRÓD ZAŁOGI I PASAŻERÓW. A WIĘC **SZEŚCIOKROTNIE WIĘCEJ**, NIŻ NA POKŁADZIE „TITANICA".

eprasa.pl feb53ef4b7

Sławomir Cenckiewicz

/ Felieton

Dmowski a Bałtyk

Jeden obóz polityczny, spersonifikowany w osobie Romana Dmowskiego, konsekwentnie stawiał „od zawsze" kwestię swobodnego dostępu odrodzonej Polski do Morza Bałtyckiego. Słusznie zatem, kiedy w 1925 r. wyprawił się Dmowski na Pomorze, mógł się czuć jak dziedzic wizytujący swoje włości. Zwiedził: Toruń, Chełmno, Świecie, Tucholę, Chojnice, Starogard, Wielkie Chełmy, Wiele, Kościerzynę, Kartuzy, Wejherowo, Puck, Chłapowo, Gdańsk, Lubawę, Lidzbark, Tczew, Pelplin, Gniew, Nowe, Grudziądz, Nowe Miasto, Brodnicę i Srebrniki.

/ Już za Cesarstwa Niemieckiego uczeni niemieccy przestrzegali przed powstaniem nawet namiastki państwowości polskiej i chęci odzyskania przez Polaków dostępu do morza

Najkrócej geopolitykę Dmowskiego z okresu poprzedzającego wybuch pierwszej wojny światowej i podczas jej trwania ujął jego bliski współpracownik Stanisław Kozicki, pisząc: „zwycięstwo koalicji rosyjsko-francusko-angielskiej daje narodowi polskiemu widoki zjednoczenia wszystkich ziem polskich z dostępem do Bałtyku, podczas gdy zwycięstwo przymierza niemiecko-austriackiego musi doprowadzić do nowego rozbioru Polski, podyktowanego przede wszystkim przez Prusy".

Sam zaś Dmowski pisał do Ignacego J. Paderewskiego 3 lutego 1918 r. w ten sposób: „Gdyby intrygantom pokojowym udało się obecnie doprowadzić do zakończenia wojny, oznaczałoby to olbrzymie zwycięstwo polityczne państw centralnych, a właściwie Niemiec, bo przy upadku potęgi rosyjskiej i zupełnej dezorganizacji państwa carów, przy zakończeniu wojny bez odbudowania silnej Polski, zdolnej opierać się Niemcom, co możliwe jest tylko przy oparciu jej o Bałtyk, Niemcy zostają panami całej wschodniej Europy i zdobywają potęgę, której już później żadna koalicja nie będzie zdolna złamać".

Dmowski świetnie odczytywał prawidłowość niemieckiej geopolityki, która uznała – słusznie – że zamknięcie Polaków w pasie nizinnym bez naturalnego dostępu do Bałtyku zdeterminuje niemiecką kontrolę nad Polską. Nieprzypadkowo nawet w czasach niezagrożonej pozycji Cesarstwa Niemieckiego bardziej światli uczeni niemieccy przestrzegali przed powstaniem nawet namiastki państwowości polskiej, gdyż następstwem tego może być chęć odzyskania dostępu do morza. Dzięki współpracy z Eugeniuszem Romerem znał chociażby poglądy zwolennika determinizmu geograficznego – Fryderyka Ratzela, który już w 1903 r. pisał: „Jeślibyśmy stworzyli dzisiaj z Królestwa Kongresowego i z Galicji nowe Królestwo Polskie, mielibyśmy kraj cztery razy większy od Belgii wraz z Holandią, a z 14 milionami mieszkańców. Ale państwo to, odcięte od morza, zamknięte przez Rosję, Austrię i Niemcy, nigdy nie osiągnęłoby tego stopnia spoistości, a przeto i politycznego wpływu, co wymienione powyżej małe królestwa". W podobnym duchu wypowiedział się uczeń Ratzela – Alfred Hettner, który w 1904 r. pisał: „Trudno bowiem przyjąć, by którekolwiek z trzech państw, które Polskę niegdyś rozebrały, zrezygnowało z lekkim sercem ze swych polskich niegdyś posiadłości. Nawet jednak, gdyby Rosja, o czym mówiono, uwolniła Królestwo Kongresowe, na co chyba nigdy dobrowolnie by się nie zgodziła, bez dostępu do morza, a więc bez posiadania Prus, nie byłby ten kraj nigdy żywotny. Państwo niemieckie musiałoby płacić koszty tej imprezy, a przeto nie może się nigdy zgodzić na powstanie niepodległej Polski".

Świadectw, źródeł i studiów na ten temat jest cała masa, ale i tak przy okazji rocznic takich jak zaślubiny Polski z Bałtykiem (10 lutego 1920 r.) polska myśl zachodnia (w tym idea bałtycka), której twórcami i nośnikami byli przede wszystkim narodowi demokraci, jest jakby bezpańska. Pojawia się wprawdzie gen. Józef Haller, bo nie da się jego wymazać z ikonografii zaślubin w Pucku, ale nie dość, że przedstawia się go autonomicznie wobec obozu narodowego i Dmowskiego (który faktycznie powierzył mu przecież we Francji naczelne dowództwo Wojska Polskiego jesienią 1918 r.), to jeszcze śpiewa się mu „My, Pierwsza Brygada". Dysonansu tego nie jest w stanie uspokoić nawet myśl, że pieśń legionistów Piłsudskiego (wchodzącego do wojny u boku przymierza niemiecko-austriackiego, które dostępu Bałtyku Polakom nigdy nie obiecywało) ma od 2007 r. status „Pieśni Reprezentacyjnej Wojska Polskiego" w miejsce naturalnej „Bogurodzicy". No, ale to jest zupełnie inny temat… ©℗

eprasa.pl feb53ef4b7

#Dobry Kierowca

tworzy korytarz życia

ORLEN

Korytarz życia to przejazd dla pojazdów ratowniczych jadących do wypadku. Kierowcy rozjeżdżają się na boki robiąc miejsce. Auta stojące na lewym pasie zjeżdżają jak najbliżej lewej krawędzi jezdni, a te na prawym pasie (i środkowym) jak najbliżej prawej.

Bądź dobrym kierowcą, twórz korytarz życia i przepuszczaj pojazdy uprzywilejowane. Możesz uratować komuś życie.

www.dobrykierowca.orlen.pl

eprasa.pl